www.tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 41 (1083)
5-11.10.2020
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

LEWICA W PUŁAPCE WOJEN KULTUROWYCH

MILIONY ZAROBIONE NA COVID-19

PRZYCHODZI NASTOLATEK DO ORTOPEDY

Ma haki i teczki na każdego

DON MARIO

Mariusz Kamiński i Zbigniew Ziobro

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
41
9 771509 311003

FILM MARCINA BORCHARDTA

TONY HALIK
TU BYŁEM

W KINACH OD 30 WRZEŚNIA

scenariusz i reżyseria: Marcin Borchardt
obsada: Królowa Elżbieta II, Evita Peron, Richard Nixon, Fidel Castro, Edward Gierek, Tony Halik, Elżbieta Dzikowska
producentki: Karolina Gałuba, Małgorzata Małysa, **montaż:** Irena Siedlar PSM, **postprodukcja obrazu:** Jarek Streczewski SKF
muzyka: Stefan Wesołowski, **reżyseria dźwięku:** Radosław Ochnio, **kierowniczka produkcji:** Małgorzata Małysa

FURIA FILM | FINA | TVP | Jedynka | wyborcza | GŁOS KULTURY

eprasa.pl ce31bfa68a

CYTATY

ADAM BODNAR, rzecznik praw obywatelskich
Dochodzi do zmiany ustroju państwa, a ja nie chcę się z tym pogodzić, więc protestuję.
„Dziennik Gazeta Prawna"

OLGA TOKARCZUK, noblistka
Ciekawa jestem, kto pierwszy doznał tego uczucia, że świat jest w gruncie rzeczy niewielki i do ogarnięcia.
„Polityka"

PROF. BOGDAN WOJCISZKE, psycholog
Dobry związek może nie czyni ludzi bogatszymi, ale na pewno szczęśliwymi. Czyni nasze życie sensownym.
„Uroda Życia"

HUSSAIN AGA KHAN, fotograf podwodny
Jeden żywy rekin przyciągający turystów jest wart więcej niż jeden martwy sprzedany na mięso. To pływająca kopalnia złota.
„Forum"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Smutny dzień dla nauki

Gorzej być nie mogło. Nie na taką inaugurację roku akademickiego czekała społeczność Uniwersytetu Warszawskiego. Dla największej polskiej uczelni był to smutny dzień. Andrzej Duda przemawiający w sali Auditorium Maximum to widok przygnębiający. I obraźliwy dla wielu tysięcy absolwentów i pracowników UW. Zdecydowana większość z nich nie głosowała na Dudę. Nie głosowała z powodu fundamentalnych różnic w sprawie konstytucji i demokratycznego państwa prawa. Duda jako prezydent dobitnie pokazał, że te wartości niewiele dla niego znaczą. Łamał je tyle razy, że trudno okazywać mu szacunek, który należy się głowie państwa z urzędu. Trzeba dużej bezczelności, by przemawiać w tej sali, mając na koncie podpisywanie niekonstytucyjnych ustaw i nocne zaprzysięganie dublerów sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Przecież nie kto inny jak Duda poświęcił też sądy powszechne, oddając je pod ścisły nadzór Ziobrze. Nie miał oporów, podpisując ustawę napisaną na kolanie i uchwaloną w nocy. W niczym nie usprawniła ona pracy sądów. Jest jeszcze długa lista tego, co Duda zdążył przez pięć lat zepsuć, jego kłamstw i obietnic, których nie dotrzymał. Ponad 10 mln Polaków wie, że jego kariera polityczna, podobnie jak ostatnia kampania wyborcza, oparta była na budowaniu podziałów, wrogości wobec wielu grup społecznych oraz głoszeniu kłamliwych wersji historii najnowszej. A marne czyny obudował manifestacyjną pobożnością.

Jak w ogóle Duda znalazł się na UW? Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Sprawcą tego blamażu jest nowy rektor, prof. Alojzy Nowak. Cztery lata temu nie udało mu się wygrać wyborów, bo zarzucano mu powiązania z PiS. Teraz mu to nie przeszkodziło. Prof. Nowak jest członkiem Narodowej Rady Rozwoju przy prezydencie Dudzie. I członkiem rad nadzorczych w spółkach skarbu państwa. Nie słyszałem, by powiedział coś krytycznego o łamaniu przez Dudę konstytucji czy o jego homofobii i licznych nienawistnych mowach.

Pod rządami prof. Nowaka uniwersytet pomaszeruje na prawo. Wbrew nastrojom i poglądom uniwersyteckiej społeczności. Skończył się tam czas spokoju politycznego. Na prawo pomaszeruje nie tylko UW. Będziemy mieli kolejne place bitew.

Nominacja Przemysława Czarnka na ministra edukacji i nauki podpisana przez Dudę to kolejny etap wypychania Polski ze świata europejskich wartości. Zwykli ludzie protestują. A opozycja w parlamencie bierze miliony złotych dotacji i kombinuje, jak sobie poprawić byt. Wstyd. Ale kto zna jeszcze to słowo?

BĄKOWSKI

eprasa.pl ce31bfa68a

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA I OPINIE

8 **Robert Walenciak**
Don Mario

12 **Beata Igielska**
Za monopol na prawicowość

20 **Jakub Dymek**
Lewica w pułapce wojen kulturowych

44 **Lucjan Pawłowski**
Horyzont nie taki ciemny

KRAJ

16 **Lody na COVID-19**
Koronawirusowi miliarderzy

24 **W sieci wodnych kłusowników**
Coraz bardziej bezczelni na jeziorach

46 **Gdy dom jest miejscem pracy**
Praca zdalna w małym mieście

49 **Do lasu nie tylko po grzyby**
Sekrety wytrawnych zbieraczy

HISTORIA

28 **Pułkownik dwóch armii**
Syn zesłańca żołnierzem u Berlinga

ZAGRANICA

32 **Test niemożliwego?**
Niemiecki eksperyment z dochodem gwarantowanym

34 **Czas sądu**
Zmiany w Sądzie Najwyższym USA

36 **Czyszczenie Watykanu**
Korespondencja z Rzymu

40 **Rewolucja (nie) jeździ metrem**
Korespondencja z Chile

KSIĄŻKI

42 **Nicolas Sarkozy**
Czas burz

KULTURA

52 **Kariera na nowo**
– rozmowa z Mariuszem Kwietniem

55 **Qulturalia**

66 **Jan Szczepkowski. Dream State**

ZDROWIE

56 **Polscy uczniowie jak przygięte staruszki**
– rozmowa z dr. Maciejem Ozonkiem

OBSERWACJE

58 **Wierność i skoki w bok**
Monogamia w świecie zwierząt

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Smutny dzień dla nauki

15 **Jan Widacki**
Sucha kałuża

19 **Andrzej Romanowski**
Ręka podniesiona na Kościół

23 **Roman Kurkiewicz**
Edukator? Nie, kreatura

27 **Tomasz Jastrun**
Przemyśl myśli

39 **Wojciech Kuczok**
„To nie jest wojna"

49
KRAJ
DO LASU NIE TYLKO PO GRZYBY
Sekrety zbieraczy

52
KULTURA
KARIERA NA NOWO
– rozmowa z Mariuszem Kwietniem

58
OBSERWACJE
WIERNOŚĆ I SKOKI W BOK
Monogamia w świecie zwierząt

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

eprasa.pl ce31bfa68a

Prof. Bogusław Śliwerski
Oświatowa kontrrewolucja

Jak palono cerkwie w 1938 r.

Czechy i Słowacja
– druga fala koronawirusa

Dlaczego lewica jest wciąż na marginesie?

Lewica ma obowiązek przedstawiać swoje postulaty jak najradykalniej w sytuacji, gdy prawie cała scena polityczna jest prawicowa i narzuca swoją, coraz bardziej konserwatywną (żeby nie powiedzieć wsteczną) narrację społeczeństwu. Zgadzanie się na rolę liberalnego centrum odbiera lewicy rację bytu. *KB*

•

W polityce obowiązuje zasada: gdzie dwóch się bije, tam trzeci traci. A na boisku od dobrych 15 lat okłada się PO z PiS. I to oni podzielili emocje społeczne. Dlatego inne ugrupowania ze swoimi postulatami nie mają szans. Moim zdaniem dopóki lewica nie znajdzie lidera, który potrafi wejść w rolę tego drugiego z bójki, będzie balansowała na granicy poparcia. Bo może przekroczymy próg wyborczy, a może dobrniemy do dwucyfrówki – i tylko tyle. Odrębną kwestią jest czas, który pędzi, lada moment prawicowa wojna osiągnie pełnoletność. A to oznacza, że dzisiejszy wyborca, który w 2005 r. (gdy SLD straciło władzę) miał 15 lat, w roku kolejnych wyborów będzie 33-letnim dojrzałym wyborcą. I nie będzie znał innej polityki niż ta PO-PiS-owa. *Dariusz Staniszewski*

•

Zastąpienie SLD-owskiej geriatrii nowym pokoleniem zajętym sprawami od pasa w dół nic nie dało, a prosocjalny elektorat SLD przejęło PiS. Natomiast wychwalanie historii PRL i zajmowanie się gejami nie interesuje więcej niż kilkanaście procent głosujących, i to tylko wtedy, kiedy wszystkie ugrupowania startują z jednej listy. *Bartek Doborzyński*

Hulaj, grypo, wolna droga

Minister obiecuje zakup szczepionek, ale ich nie kupi, bo przecież nikt ich już nie sprzedaje. Niezakupione szczepionki przeniesie do tajnej rezerwy. A zaoszczędzone pieniądze wyda się na politykę „prorodzinną”. W lutym tajna rezerwa zostanie jeszcze tajniej zniszczona, bo już nie będzie potrzebna.

Adam Jaśkow

Co jest nie tak z coachingiem?

Kapitalizm zarabia najpierw, niszcząc ludzi, a potem jeszcze na doradzaniu im, jak się próbować bronić, ratować, zregenerować. Rady te są oczywiście bezwartościowe, ale spełniają główne kryterium kapitalizmu – przynoszą zysk doradcom.

Kapitalizm to system, który działał wyśmienicie tak długo, jak miał pod dostatkiem zasobów (w tym zasobów ludzkich) oraz przestrzeni do pozbywania się śmieci. Teraz dochodzi do ściany i albo sam się zniszczy, albo doprowadzi do zagłady ludzkość (z wyjątkiem garstki uprzywilejowanych). Czy katastrofa klimatyczna jest problemem dla kapitalizmu? Nic podobnego! Uprzywilejowani nadal będą ludziom wpychać produkty i technologie, które doprowadzą do zagłady 90% planety i populacji. Ale to nie szkodzi, bo 10% najbogatszych będzie mogło sobie pozwolić na zamieszkanie w prywatnych klimatyzowanych enklawach, z dala od obszarów, które spopielili i zatruli.

Radosław

ZDJĘCIE TYGODNIA

Jarosław Kaczyński otoczył miłością wszystkie zwierzęta. Hodowcy uznali jednak ten gest za sentymentalizm staruszka i podczas protestu rolników zaproponowali „zbawcy narodu” odejście na emeryturę. Warszawa, 30 września.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl ce31bfa68a

88% pracowników według raportu ManpowerGroup i HRlink **chce pozostać, w różnym zakresie, przy *home office*.** 13% liczy, że będzie mogło pracować z domu w pełnym wymiarze godzin swojego czasu pracy.

Prof. Włodzimierz Wróbel, sędzia Izby Karnej Sądu Najwyższego, jest Obywatelskim Sędzią Roku 2020. Został doceniony przez kapitułę plebiscytu organizowanego przez Fundację Court Watch Polska za edukację prawną młodzieży i podnoszenie świadomości prawnej społeczeństwa.

Tygodnik „Nie", założony i prowadzony przez Jerzego Urbana, obchodzi 30-lecie. Przemilczany przez władzę i konkurencję pisze o sprawach, które wołają o pomstę do nieba. Gratulujemy konsekwencji i pomysłów.

Paweł Mykietyn – muzyka, Grzegorz Jarzyna – teatr, Anna Piwkowska – literatura i Stanisław Wieczorek – plastyka otrzymali Nagrody im. Cypriana Kamila Norwida przyznawane przez Sejmik Województwa Mazowieckiego. Nagrodę specjalną „Dzieło życia" otrzymał dziennikarz, autor piosenek Marek Gaszyński.

Dr Jacek Wojarski z zespołem wykonał w Uniwersyteckim Centrum Klinicznym w Gdańsku przeszczep płuca u 70-letniego pacjenta.

9% dzieci i młodzieży w Polsce potrzebuje pomocy psychologicznej i psychiatrycznej (raport NIK).

Porozumienie rządu w sprawie transformacji górnictwa to kolejne oszustwo w długiej historii mamienia górników i ich rodzin. Zamiast sensownego programu jest zamiatanie problemów pod dywan, byle nie było strajków ani protestów.

Jak to jest ze ściekami w Polsce? **1183 miejscowości nie mają oczyszczalni i odprowadzają nieoczyszczone ścieki komunalne prosto do rzek i zbiorników.** A w 1283 miejscowościach są one niedostatecznie filtrowane.

Stanisław Karczewski, były marszałek Senatu z PiS, odznacza się niezwykłą zapobiegliwością o własne sprawy. **Najnowszy jego sukces to błyskawiczne szczepienie przeciwko grypie.** Polacy polują na szczepionki, a polityk dostał ją od ręki.

Ryszard Czarnecki, pisowski europoseł specjalizujący się w machlojkach z delegacjami, **musi przeprosić europosłankę PO Różę Thun za porównanie jej do szmalcownika.**

Zaniedbania proboszcza Zbigniewa K. doprowadziły do pożaru katedry w Gorzowie Wielkopolskim, wybudowanej w XVII w. Koszt prac remontowych oszacowano na 20 mln zł. Proboszcz przyznał się do winy i dobrowolnie poddał karze: rok w zawieszeniu i 7 tys. zł grzywny.

PRZEBŁYSKI

Kurski szczepi (w telewizji)

Od dawna wiemy, że rząd się wyżywi. A od czasu dojnej zmiany wiemy też, że rząd się zaszczepi. Lud czeka na szczepionki i tworzy komitety kolejkowe w aptekach. A rząd pokazał ludowi, że potrafi coś zrobić dobrze. Sobie! Ale nie tylko sobie, bo na szybką ścieżkę załapali się pracownicy telewizji Kurskiego. Zaszczepiono etatowców. Pewno za zasługi. I ze względów bezpieczeństwa. By nie zarazili polityków prawicy, kiedy będą z nimi rozmawiać na kolanach. Wiemy, że na szczepionki nie załapali się współpracujący ze szczujnią, ale bez umowy o pracę. Niech się bardziej starają. Jeszcze więcej wazeliny. I co godzinę nawalanka w Trzaskowskiego.

Lojalka Emilewicz

Liczenie na lojalność Jadwigi Emilewicz ma taki sens jak pójście do łóżka z kobrą. O Gowinie mówiła: „25 lat przyjaźni", a jak tylko prezes K. gwizdnął, to chęć utrzymania posady wicepremiera wygrała z przyjaźnią. Nie zdała, bidula, tego egzaminu. A posadę i tak straciła. I stempel wiarołomności zostanie jej na całe życie. Gowin nie mógł mieć złudzeń co do zachowania „przyjaciółki", od kiedy Emilewicz straciła słuch w Sejmie. Stała metr od Kaczyńskiego, a nie słyszała, co mówił. Jaki z tego wniosek? Zamiast pchać się na szczyty polityki, pora zadbać o zdrowie. Mąż też niedomaga. Ma kłopoty z pamięcią. Nie pamięta, jakim cudem znalazł robotę w PZU. Ani czym się zajmuje w Orlenie. Na szczęście o wypłatach oboje pamiętają.

Stadion wolny od Morawieckiego

Desperat albo kosmita? Premier Morawiecki w ramach akcji pozyskiwania przez PiS młodzieży stanął przed tłumem głównie młodych ludzi, którzy przyszli na Stadion Narodowy, by wysłuchać koncertu „Solidarni z Białorusią". Młodzi bezlitośnie go wygwizdali. Nie docenili desperacji, z jaką próbował coś gadać. Gwiżdżąc na Morawieckiego, mieli dla niego dość prosty przekaz. Koncert jest strefą wolną od polityków. Skąd oni wzięli ten pomysł?

Na kolanach i do ust

Szanujmy prawa wiernych

Rodakom narzekającym na rozmaite nieszczęścia możemy powiedzieć tak: ludzie, czym wy nam głowę zawracacie? Jęczycie bez sensu. Popatrzcie na abp. Andrzeja Dzięgę, metropolitę szczecińsko-kamieńskiego, to zobaczycie prawdziwe problemy. Na łamach „Naszego Dziennika" purpurat wyraził przekonanie, że „woda święcona wróci wszędzie do kropielnic". I że do kościołów wrócą wierni. A jak już wrócą, to powinni komunię przyjmować na kolanach i do ust. W wielu świątyniach mają wrócić w tym celu klęczniki, które to ułatwią. I problemy z wirusem znikną.

FOT. YOUTUBE (3), REPRODUKCJA/KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

epraca.pl ce31bfa68a

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy wszystkie umowy cywilnoprawne powinny być oskładkowane tak samo jak umowy o pracę?

ŁUKASZ KOMUDA,
analityk rynku pracy, Fundacja Inicjatyw Społeczno-Ekonomicznych

Promocja samozatrudnienia i przymykanie oczu przez instytucje państwa na zdominowanie całych branż przez umowy cywilnoprawne miały być odpowiedzią władz na 20-procentowe bezrobocie. Ten etap mamy już za sobą. Koszty? Chyba jedyny w Europie regresywny system podatkowy – im mniej zarabiasz, tym większy procent płacisz. Do tego stale rosnąca wyrwa w systemie finansów publicznych i zerwana solidarność międzypokoleniowa, niezbędna do funkcjonowania m.in. systemu emerytalnego. Także niepewni przyszłości i zarabiający byle jak młodzi ludzie pracujący bez etatu nawet do 30.-35. roku życia, co ma wpływ na dzietność w naszym kraju. Oraz nierówności dochodowe i majątkowe, których wzrost zagraża nie tylko spójności społeczeństwa, ale także dalszemu dynamicznemu wzrostowi gospodarczemu. Dlatego zrównanie obciążeń składkowych i podatkowych jest nam niezbędnie potrzebne.

DR JANINA PETELCZYC,
Katedra Ubezpieczenia Społecznego SGH

Oskładkowanie wszystkich umów-zleceń ma sens, jeśli zauważymy, że od kilku lat część tych umów już jest oskładkowana. Obowiązkowe składki płaci osoba, która nie jest objęta ubezpieczeniem z żadnego innego tytułu. Zastanawiającym rozwiązaniem jest jednak to, że jeśli ktoś ma kilka umów-zleceń, nie musi płacić składek od wszystkich, a tylko do wysokości minimalnej pensji. W tym kontekście rozszerzenie obowiązku ubezpieczeniowego ma sens: zarówno dla samej osoby ubezpieczonej (wyższe świadczenia nie tylko emerytalne, ale i wypadkowe czy rentowe), jak i dla finansów Funduszu Ubezpieczeń Społecznych. Należy jednak pamiętać, że takie oskładkowanie będzie niosło ze sobą dodatkowe obowiązki, np. konieczność objęcia pracowniczym planem kapitałowym (z możliwością wyjścia), co może być szczególnie trudne dla najmniejszych firm. Pod pewnymi warunkami mogą one nie przystępować do systemu, jednak objęcie obowiązkowym oskładkowaniem dodatkowych osób może zmienić ich sytuację.

DARIUSZ SZCZOTKOWSKI,
Stowarzyszenie Niskie Składki

Wszystkie formy zatrudnienia powinny być oskładkowane tak samo, czyli w ogóle nie powinno się od nich płacić składek. Niech obywatele sami decydują, gdzie się ubezpieczać na wolnym rynku i w jakim zakresie. Zróżnicowanie wymiaru ubezpieczenia społecznego uderza przede wszystkim w ludzi młodych i niestety zachęca ich do emigracji z naszego kraju.

Czytelnicy PRZEGLĄDU
KAROLINA BRONSON

Wszystkie, które są jedynym źródłem utrzymania osób nimi objętych i gwarancją ich przyszłej emerytury.

MICHAŁ CZARNOWSKI

Wszystkie umowy cywilnoprawne powinny być nie tyle oskładkowane, ile zgłaszane do inspekcji pracy, a potem powinno się skrupulatnie badać, czy w trakcie ich wykonywania nie występują znamiona stosunku pracy wymuszające zastosowanie umowy o pracę. Oskładkowanie „śmieciówek" spowoduje nasilenie zjawiska wypłacania dużej części wynagrodzenia „pod stołem", a zapłata widniejąca w umowie będzie groszowa, również odprowadzone od niej składki będą niewielkie.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl ce31bfa68a

Robert Walenciak

DON MARIO

Ma haki i teczki na każdego. Do czego tym razem Kaczyńskiemu potrzebny będzie Mariusz Kamiński

Mariusz Kamiński może liczyć na ogromny kredyt zaufania u Jarosława Kaczyńskiego.

W ciągu tygodni, kiedy dokonywała się rekonstrukcja rządu, do opinii publicznej docierały strzępy informacji, że w nowym rozdaniu zabraknie miejsca dla Mariusza Kamińskiego. Że już nie będzie on ministrem spraw wewnętrznych. Mówiono też o różnych powodach jego przyszłego odejścia – że naciska na to Mateusz Morawiecki albo że Kamiński musi się udać na paromiesięczne leczenie. Krążyły pogłoski, że padł ofiarą choroby alkoholowej, nie jest w stanie kierować ministerstwem, więc Kaczyński nie ma wyboru.

Rzeczywistość te wszystkie spekulacje zweryfikowała. Kamiński nie odszedł. Ma pod sobą policję, Centralne Biuro Śledcze, Centralne Biuro Antykorupcyjne, Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Straż Graniczną, Służbę Ochrony Państwa. Z punktu widzenia czystej władzy jest najpotężniejszym ministrem w rządzie. I – jak widać – nie do ruszenia. Na jego siłę składają się dwa elementy.

Pierwszy wynika z tego, że jego ludzie kontrolują ABW i CBA. To on stworzył Centralne Biuro Antykorupcyjne, on prowadził nabór do tych służb, a dziś ci ludzie są w najważniejszych punktach państwa. Niektórzy zresztą związali się z nim jeszcze wcześniej, na początku lat 90., gdy pracował w Generalnym Inspektoracie Celnym. Dlatego ruszyć Kamińskiego jest tak trudno – bo nawet jeśli on odejdzie, to jego ekipa zostanie.

Po drugie, Kaczyński mu ufa. To zaufanie bierze się pewnie z tego, że współpracują od lat i Kamiński zawsze był lojalny. No i z tego, że obaj podobnie widzą Polskę. „To niesamowite, jak bardzo Kaczyński na nim polega. Mimo że tyle razy Kamiński wpuścił go w kanał" – tak brzmi jedna z opinii.

Zakon

Gdy wybuchła afera reprywatyzacyjna w Warszawie i zatrzymany został były wicedyrektor Biura Gospodarki Nieruchomościami, dziennikarze „Gazety Wyborczej" dotarli do jego brata, Marcina Rudnickiego. A on opowiedział o wieloletnich związkach, które łączyły go z Kamińskim i jego głównym współpracownikiem – Maciejem Wąsikiem. Znali się jeśli nie z czasów licealnych, to ze studiów na Uniwersytecie Warszawskim i działalności w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów. „Tworzyliśmy grupę ludzi wyrosłych na pewnych ideach, trzymających się razem, pijących wódkę. Bywało, że raz w tygodniu z regularnością szwajcarskiego zegarka", mówił Marcin Rudnicki.

Potem gospodarzem imprez został jego brat Jakub. Marcin Rudnicki: „Mieszkał przy Włodarzewskiej. W jego mieszkaniu imprezy mocno zakrapiane, co weekend, w których brali udział Mariusz Kamiński, Maciej Wąsik i Ernest Bejda, odbywały się regularnie". I jeszcze jedno wspomnienie – wesele Ernesta Bejdy, na którym Wąsik i Jakub Rudnicki zaczęli się okładać pięściami. Trzeba było ich rozdzielać. A później pijany Kamiński miał całować żonę Rudnickiego po rękach, mówiąc, że zasłużyła na lepszego męża.

Te opowieści pokazują, jak tworzyło się środowisko Kamińskiego. Jak bardzo było ono hermetyczne, jak więzi osobiste górowały nad procedurami. Grupa kumpli najpierw działała w NZS, potem zakładała Ligę Republikańską, a potem miała coraz bliższe kontakty z Kaczyńskim. I była zafascynowana służbami specjalnymi.

To były czasy, kiedy władzę przejmowała Solidarność, więc dla takich

eprasa.pl ce31bfa68a

młodych zaangażowanych miejsce w instytucjach państwowych zawsze się znalazło. Kamiński zresztą próbował na początku lat 90. dostać się do UOP, ale oblał testy (on sam temu zaprzecza). Poszedł zatem pracować do GIC, pracował też w Biurze Kontroli w TVP Wiesława Walendziaka. Jego szefem, i w cłach, i w Biurze Kontroli TVP, był Witold Marczuk, bliski współpracownik Kaczyńskich. W ten sposób grupa Kamińskiego weszła w orbitę Porozumienia Centrum.

A potem już szli razem. W GIC pracował Ernest Bejda, a gdy tworzyło się CBA, w 2006 r. został zastępcą szefa tej służby – Mariusza Kamińskiego. Później Bejda pracował m.in. w spółce Srebrna, startował z list PiS do Sejmu, a gdy PiS zdobyło władzę, został szefem CBA. Od maja 2020 r. jest zaś w zarządzie PZU i w radach nadzorczych Alior Banku oraz TFI PZU.

W banku wylądował również Piotr Pogonowski. W latach 2008-2010 zajmował stanowisko dyrektora gabinetu szefa CBA. Był także współpracownikiem Srebrnej oraz członkiem rady programowej PiS. A po wygranych przez PiS wyborach w 2015 r. został szefem ABW. Tam w ciągu kilkunastu miesięcy awansował od stopnia kaprala do stopnia pułkownika. W styczniu 2020 r. odszedł z ABW, a 1 marca znalazł się w zarządzie NBP. W ABW na stanowisku szefa zastąpił go Krzysztof Wacławek, który zaczynał karierę w służbach w CBA.

Z kolei Maciej Wąsik to etatowy zastępca Kamińskiego. Był jego zastępcą w CBA. Potem pracował w spółce Srebrna i był radnym miasta Warszawy. W listopadzie 2015 r. został powołany na sekretarza stanu w KPRM jako zastępca koordynatora służb specjalnych Mariusza Kamińskiego. A gdy Kamiński objął MSWiA, Wąsik został tam sekretarzem stanu, zatrzymując przy tym stanowisko sekretarza Kolegium ds. Służb Specjalnych.

Kamiński nie szedł zatem do Kaczyńskiego z pustymi rękami. Miał ekipę – i ją utrzymał. Gdy Donald Tusk wyrzucił go z CBA, potrafił zachować w tej służbie wpływy, m.in. w delegaturze we Wrocławiu. To ta delegatura mogła się pochwalić agentem Markiem Falentą. Funkcjonariusz, który prowadził Falentę, pozyskał go jeszcze w czasach, gdy pracował w ABW. Przechodząc do CBA, przeniósł tam także swojego agenta i z nim pracował. Gdy PiS zdobyło władzę, awansował w strukturach Biura.

Innym funkcjonariuszem, który zrobił wielką karierę w CBA, był agent Tomek, czyli Tomasz Kaczmarek. Ulubiony agent Kamińskiego. To z jego poręki Kaczmarek dostał miejsce na listach PiS do Sejmu i przez cztery lata był posłem. Dziś ich drogi się rozeszły, a opowieści Kaczmarka są znakomitym źródłem umożliwiającym poznanie schematów myślenia i sposobu działania Kamińskiego.

Historia ludzi Kamińskiego jest więc przy okazji historią III RP. Opowieścią o tym, jak studenci w trampkach i flanelowych koszulach marzą o lepszej i sprawiedliwej Polsce, potem wchodzą do aparatu władzy i psują im się charaktery. Jak używają tego aparatu, żeby niszczyć przeciwników, żeby być u władzy.

Z punktu widzenia czystej władzy jest najpotężniejszym ministrem w rządzie. I jest nie do ruszenia.

Następnie idą do banków zarabiać kokosy. A i swoje dzieci tam lokują – jakiś czas temu głośno było o tym, jak prezes NBP Adam Glapiński wysłał syna Mariusza Kamińskiego jako przedstawiciela NBP do Banku Światowego, gdzie zarabia 200 tys. dol. rocznie. I tak kończy się rewolucja.

Trzech przyjaciół ze służb. Od lewej: Ernest Bejda, Maciej Wąsik, Mariusz Kamiński.

Krucjata

W mediach, w materiałach opisujących Kamińskiego sporo miejsca poświęcono analizie jego osobowości. Że jest bezkompromisowy – jeśli chodzi o swój antykomunizm i przekonanie, że Polskę oplatają korupcyjne układy, które trzeba wypalić żelazem.

Być może rzeczywiście były to mocne cechy jego charakteru, tylko że – patrząc na to, jak prowadzi służby – należy to już raczej do przeszłości. Ewentualnie trzeba do tych przymiotów dodać trzecią cechę – interesy polityczne. Wykorzystywanie służb do gry politycznej. Przykładów jest aż nadto.

Beata Sawicka. W październiku 2007 r., czyli w czasie kampanii wyborczej, ówczesna posłanka PO została nagrana, jak przyjmowała torbę z 50 tys. zł łapówki. Pokazano to podczas konferencji prasowej, w której brali udział Kamiński

eprasa.pl ce31bfa68a

i Zbigniew Ziobro. Kamiński wtedy mówił: teraz państwo już wiedzą, na kogo głosować. Przeliczył się – PiS przegrało tamte wybory, oddając władzę Platformie. A według ocen specjalistów od kampanii nie tylko niczego nie zyskało, pokazując zatrzymanie Sawickiej, ale wręcz straciło. Bo część wyborców oburzyła tak jawna ingerencja służb specjalnych w życie obywateli. W ten sposób Kamiński wyświadczył PiS niedźwiedzią przysługę.

Wcześniej CBA „błysnęło" w aferze gruntowej, skierowanej przeciw Andrzejowi Lepperowi, wtedy ministrowi rolnictwa. Miał on w zamian za łapówkę odrolnić ziemię na Mazurach i za to trafić do więzienia, a wtedy Kaczyński mógłby przejąć Samoobronę. Afera się nie udała, łapówka do Leppera nie dotarła, CBA zostało zdemaskowane, wszystko skończyło się gigantycznym kryzysem politycznym i przyśpieszonymi wyborami.

Ta afera zresztą będzie się Kamińskiemu odbijała przez lata. Nie w PiS, nie u Kaczyńskiego, ale przed wymiarem sprawiedliwości.

Rok 2007 był więc dziewiczym rejsem Mariusza Kamińskiego jako szefa CBA. Rejsem, podczas którego zatopił on politycznie PiS i Jarosława Kaczyńskiego. Dlaczego prezes nie miał do niego pretensji? Odpowiedź nasuwa się sama – może dlatego, że był wcześniej w te operacje wtajemniczony i dał mu na nie pozwolenie?

Jolanta Kwaśniewska. To była głośna i dość surrealistyczna operacja CBA i agenta Tomka. Kamiński, na podstawie niepotwierdzonych plotek, doszedł do wniosku, że Jolanta i Aleksander Kwaśniewscy ukrywają część dochodów. I to w ten sposób, że na podstawione osoby kupili willę w Kazimierzu Dolnym.

W związku z tym, w trybie pilnym, CBA rozpoczęło wielką operację, trwającą prawie dwa lata. Między jesienią 2007 a latem 2009 r. podsłuchiwało lokatorów willi i Kwaśniewskich. Jak wykazały późniejsze ustalenia, Kamiński i Wąsik złożyli do sądu 32 wnioski o podsłuchy. Kamiński przy tym oszukał sąd i prokuratora generalnego, informując, że willa pochodziła z przestępstwa, mimo że nie miał na to ani cienia dowodu.

Do tego skonstruowano całą wielką operację pod kryptonimami „Krystyna" i „Silver", w której brał udział agent Tomek. Miał on kupić od właścicieli willę, licząc, że przekażą pieniądze Kwaśniewskiej. Tymczasem nic takiego się nie stało.

Co więcej, w sierpniu 2009 r. Kamiński namawiał prokuratora generalnego do wydania zgody na zatrzymanie Kwaśniewskiej, mimo że nie miał do tego żadnych przesłanek. Gdy przyszedł z takim wnioskiem do prokuratora generalnego Andrzeja Czumy, ten go po prostu wyśmiał.

O tym, że Kamiński nie liczył się z faktami, że ważne dla niego było jedynie wsadzenie za kratki Kwaśniewskiej, świadczy zresztą niedawna spowiedź agenta Tomka w programie „Superwizjer". Dziennikarze przytoczyli tam stenogram z jego konfrontacji. Agent Tomek mówił do protokołu, że jego wcześniejsze zeznania były wynikiem rozkazów i poleceń Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. „Miałem wytworzyć przeświadczenie, że dom w Kazimierzu Dolnym należy do Jolanty i Aleksandra Kwaśniewskich – mówił. – Ja osobiście takiego przeświadczenia nigdy nie powziąłem, a moje notatki i złożone zeznania są efektem nacisków ze strony moich byłych przełożonych. W tamtym okresie informowałem bezpośrednio o tym Macieja Wąsika, jednakże nakazał mi on, abym w ten sposób zeznawał i sporządzał dokumenty, aby wytworzyć przeświadczenie, że dom w Kazimierzu Dolnym (…) mógłby w jakiś sposób nielegalny należeć do małżeństwa Kwaśniewskich. Pragnę z całą stanowczością potwierdzić, że w trakcie realizacji przeze mnie zadań służbowych nigdy takiego materiału dowodowego nie powziąłem, a były to tylko i wyłącznie insynuacje ze strony Macieja Wąsika".

Jeśli nawet Kamiński odejdzie, to jego ekipa zostanie.

Dziś możemy się śmiać z tamtej operacji CBA. Ale jeżeli popatrzymy na nią poważnie, to wkracza ona w świat paranoi i przestępstwa. I w pewnym momencie, jak widać, Kamińskiemu chodziło wyłącznie o to, żeby Kwaśniewskich zniszczyć i upokorzyć. A że po latach wygraliby w sądzie…

Gra

Służby kontrolowane przez Kamińskiego biorą pod lupę również ludzi PiS. Choć wygląda to dość podejrzanie.

Dosyć dobrze została w mediach opisana sprawa Bartłomieja Misiewicza. Była ona, jak się okazuje, elementem rozgrywki między Kamińskim

Po ciężkiej chorobie odszedł

Jacek Marciniak

Erudyta o szerokich zainteresowaniach.
Z żoną Klárą Molnár stworzyli wyjątkowe wydawnictwo Studio Emka.
Z sukcesami publikowali światową klasykę książek ekonomicznych i motywacyjnych.
Aktywnie angażował się w sprawy społeczne.
Był życzliwym mentorem lewicy.

Żegnamy Przyjaciela, intelektualistę i dobrego Człowieka

Z żoną Klárą i całą Rodziną
łączymy się w bólu i żalu

Jerzy Domański i Leszek Kamiński

28 września odszedł nieoczekiwanie
jeszcze jeden z naszej agory

JACEK MARCINIAK

Człowiek wielkiego serca i talentów,
wybitny wydawca.
Byłeś wspaniałym Przyjacielem
we wspólnym wspominaniu miasta naszej młodości.
Imponowałeś nam znajomością literatury,
kultury, sztuki i historii.
Takim Cię zapamiętamy.

Spoczywaj Jacku w spokoju.

Łącząc się dziś w żalu i smutku
z Klárą i całą Rodziną

żegnają Cię

warszawiacy ze Szczecina
Jan Bogutyn, Edward Kuczera, Piotr Łapa

eprasa.pl ce31bfa68a

Czy teraz Mariusz Kamiński będzie szukał haków na Zbigniewa Ziobrę?

i Macierewiczem. W tej wojnie dwóch polityków, dwóch wiceprzewodniczących PiS, początkowo górą był Macierewicz. To on m.in. utrącił pomysł Kamińskiego, by utworzyć Ministerstwo Bezpieczeństwa, które nadzorowałoby wszystkie służby specjalne w Polsce. Macierewicz nie miał ochoty oddawać Kamińskiemu zwierzchnictwa nad służbami wojskowymi, więc razem z ówczesnym szefem MSWiA Mariuszem Błaszczakiem do tego nie dopuścili.

Parę miesięcy później przyszedł czas rewanżu. Po kolejnych wpadkach rzecznika MON Bartłomieja Misiewicza, po tym jak miał on być pełnomocnikiem zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej, w kwietniu 2017 r. w centrali PiS przy Nowogrodzkiej zebrała się specjalna komisja. W jej skład weszli Joachim Brudziński, Mariusz Kamiński, Karol Karski i Marek Suski. Komisja po przesłuchaniu Misiewicza orzekła, że „Bartłomiej Misiewicz nie ma kwalifikacji do pełnienia funkcji w sferze administracji publicznej, spółkach Skarbu Państwa czy innych sferach życia publicznego".

Z przecieków, które dostały się do mediów, wiadomo, że o dyskwalifikacji Misiewicza zadecydowały zarzuty, które przedstawił Kamiński, opierając się na materiałach CBA. Tych zarzutów było ok. 40! Wynika więc z tego, że Misiewicz był rozpracowywany przez CBA od dłuższego czasu. Że zbierano na niego materiały, ale wszystkie te haki odkładano na później. I gdy przyszedł czas, Kamiński mógł Misiewicza zniszczyć, uderzając jednocześnie w Macierewicza.

W ostatnich dniach bardzo dużo jest w mediach informacji na temat Sławomira Nowaka, byłego ważnego polityka PO, zatrzymanego przez CBA. Zatrzymano też dwie inne osoby, które miały wręczać Nowakowi łapówki w zamian za stanowiska.

Symptomatyczne w tym wszystkim jest to, że o sprawie opowiada CBA, podczas gdy prowadząca śledztwo prokuratura milczy. Nie sposób poza tym nie zwrócić uwagi na wciąż powtarzane sugestie, że sprawa jest rozwojowa i że CBA sprawdza, czy o korupcyjnych praktykach Nowaka (mimo że jeszcze niczego mu nie udowodniono) wiedział jego przełożony, premier Donald Tusk. Między wierszami można zatem czytać, że śledztwo za chwilę dotyczyć będzie Tuska. I że to najbardziej interesuje CBA.

Oczywiste jest, że w ten sposób Kamiński buduje swoją pozycję w oczach tych, którzy Tuska chcieliby pogrążyć. A zwłaszcza w oczach jednej osoby – Jarosława Kaczyńskiego.

CBA nie wytłumaczyło się zresztą z innej jeszcze sprawy, również dotyczącej Nowaka. Otóż pierwsze zarzuty przedstawiono mu po wyborach prezydenckich. I przy okazji do mediów nieopatrznie dostała się informacja, że materiały obciążające Nowaka CBA otrzymało od strony ukraińskiej, i to wiele, wiele miesięcy temu. Prowadzono więc śledztwo, stosowano podsłuchy, użyto supertajnego systemu podsłuchu Pegasus, który Polska kupiła od Izraela. Pegasus jest przeznaczony do działań antyterrorystycznych. Pozwala na podsłuchiwanie telefonów i monitorowanie ich pamięci. A także na inwigilowanie urządzeń, z którymi obserwowany telefon się łączył.

Jeżeli przypomnimy, że obserwacja Nowaka trwała w czasie kampanii wyborczej, a był on częstym gościem w sztabie Rafała Trzaskowskiego, łatwo dojść do wniosku, że w ten sposób CBA mogło na bieżąco monitorować działania prezydenta Warszawy. W jakim stopniu wpłynęło to na kampanię wyborczą i taktykę obozu Dudy?

Prezes

Można do tego dodać jeszcze jedną refleksję – otóż eksponując rolę CBA w zatrzymaniu Nowaka i sugerując, że to dobra droga, by „wyjść" na Tuska, Kamiński budował swoją pozycję wewnątrz obozu PiS i u prezesa. Zwłaszcza że był to czas rekonstrukcji rządu. Pytanie tylko, czy Kamiński musiał dokonywać takiej mistyfikacji, żeby utrzymać poparcie prezesa. Chyba jednak nie, chyba to poparcie nie zależy od bieżących trendów.

Kaczyńskiego z Kamińskim wiąże bowiem nie tylko wspólna praca przez ostatnie kilkanaście lat, ale i podobny pogląd na świat. Kaczyński, podobnie jak Kamiński, uznaje, że Polską rządzą skorumpowane koterie, wywodzące się z dawnej nomenklatury oraz Platformy Obywatelskiej. Trzeba więc walczyć z „postkomunistami" i ludźmi Tuska. Tu Kamiński

Adam Glapiński wysłał syna Mariusza Kamińskiego jako przedstawiciela NBP do Banku Światowego, gdzie zarabia 200 tys. dol. rocznie.

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER, MICHAŁ DYJUK/FORUM, ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

eprasa.pl ce31bfa68a

i Kaczyński nadają na jednej fali. Obaj też nie mają skrupułów, by działać na granicy prawa czy na prawo się nie oglądając. Pognębienie przeciwnika, władza – oto rzeczy najważniejsze. Doskonale to widać w zeznaniach agenta Tomka, gdy opowiadał, jak był zmuszany do kłamania w sprawie willi w Kazimierzu.

Ale widać to i w innej sprawie – w aferze gruntowej. Sąd jednoznacznie ocenił udział w niej Kamińskiego, wówczas szefa CBA, skazując go na trzy lata więzienia i zakaz zajmowania stanowisk publicznych przez dziesięć lat. Na trzy lata więzienia skazany został także jego zastępca Maciej Wąsik.

Zdaniem sądu Mariusz Kamiński, „wykorzystując swoje stanowisko, przekroczył swe uprawnienia jako szef CBA przy tzw. aferze gruntowej w 2007 r.”. Według sądu CBA podżegało do korupcji, nie było też podstaw prawnych ani faktycznych do wszczęcia operacji dotyczącej odrolnienia gruntu w Ministerstwie Rolnictwa. A jeżeli tak, to cała operacja miała inny cel – nie walkę z korupcją, tylko złapanie Andrzeja Leppera w sidła.

I o to toczy się dziś publicystyczny bój – czy Kamiński i stojący za nim Kaczyński traktują służby jako narzędzie do walki z korupcją, przestępstwami, zagrożeniami dla Polski, czy jako narzędzie do sprawowania władzy. Do zbierania haków, niszczenia przeciwników politycznych. A cała ta walka z korupcją to przykrywka, opowieść dla naiwnych.

Przypomnijmy – właśnie po tym wyroku prezydent Andrzej Duda jedną z pierwszych swoich decyzji ułaskawił Kamińskiego i jego współpracowników, by mógł on objąć ministerialne stanowisko. Całe PiS, z Kaczyńskim na czele, stało wówczas po stronie Kamińskiego, pokrzykując na sąd, że skazuje bohatera walczącego z przestępcami.

Tylko że fakty nie są po stronie Kamińskiego. Luka VAT-owska, którą miał zlikwidować rząd PiS, rośnie i dobija wielkością do tej z okresu rządów PO. Dziwnie wygląda historia mafii lekowej, która w czasach PiS nadzwyczajnie urosła. Nie mówiąc już o mafii śmieciowej, bo płyną do Polski śmieci z całego niemal świata. Najgorsze świństwo. Rośnie poza tym, od roku 2015, przestępczość. Mimo że z racji starzenia się społeczeństwa i ogólnego wzrostu poziomu życia powinna ona spadać. Okazuje się więc, że pomysł PiS na policję, polegający na wyrzuceniu doświadczonych policjantów (bo są złego pochodzenia) niekoniecznie daje dobre rezultaty.

Nic nie wiemy także o sukcesach ABW. W ostatnich tygodniach w Europie mamy do czynienia z prawdziwym pogromem rosyjskich szpiegów dyplomatów. Są łapani na gorącym uczynku, podczas spotkań z agentami, i wydalani. Dzieje się tak w Norwegii, Słowacji i Austrii. Oczywiście ujawnienie szpiega to niekoniecznie sukces kontrwywiadu, lepiej go złapać i przejąć, czyli załatwić sprawę po cichu. Ale znając zapał polskich służb do chwalenia się różnymi osiągnięciami, trudno zakładać, że coś takiego miało miejsce. Raczej przyjmijmy wariant przeciwny – że Rosjanie czują się w Polsce niemal jak w domu i polskich służb się nie obawiają.

Ta hipoteka obciąża Kamińskiego. To dowód na jego nieudolność. Dlaczego zatem Kaczyński go trzyma i wspiera? Czyżby było tak, że co innego w nim ceni i do innych spraw, jako ten zaufany, który nie cofa się przed niczym, jest mu potrzebny?

A jeżeli tak, to do czego tym razem Kaczyńskiemu potrzebny będzie Mariusz Kamiński? Nawet nie do końca dysponowany. Czy do walki z Platformą? Do ścigania Tuska? A może do gier wewnętrznych? Nikt nie ma przecież wątpliwości, że oto zaczyna się walka na haki między Zbigniewem Ziobrą, który walczy o polityczne życie, a pisowskim establishmentem. Bo prawica wchodzi w etap wojen wewnętrznych. A do takiej gry Kaczyński będzie potrzebował fightera, sprawdzonego w boju, któremu w decydującym momencie nie drgnie nawet powieka.

Prawica wchodzi w etap wojen wewnętrznych. A do takiej gry Kaczyński będzie potrzebował fightera, któremu w decydującym momencie nie drgnie powieka.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Beata Igielska

„Szanowny Panie Dariuszu Piontkowski. Ja w sprawie tęsknoty. (...) Nie był Pan dobrym ministrem edukacji, ale to w sumie nic nowego, gdyż generalnie w Polsce nie było dobrych ministrów edukacji (...). Będę za Panem tęsknił, gdyż nie spodziewałem się, że na Pana miejsce można powołać kogoś o wiele gorszego. (...) Patrząc z dystansu, to muszę przyznać, że był Pan lepszym ministrem od Anny Zalewskiej, co w sumie nie jest wielką sztuką, ale Pan nigdy nie wzbił się na właściwe dla niej rewiry arogancji. Pan po prostu był i trwał. (...) Próbowałem sobie wyobrazić, że Pana następca, Przemysław Czarnek, czyta wyliczankę »Sroczka kaszkę warzyła«, a ciągle wychodzi mu coś w rodzaju »Mein Kampf«, ewentualnie »Król Edyp« (...). Nauczyciele, oczywiście, nic nie robią w tej sprawie. Środowisko akademickie przeszło w większości na nauczanie zdalne, więc jeszcze bardziej oderwało się od rzeczywistości. Gdyby rolnicy dostali takiego ministra, wyruszyliby kombajnami na Warszawę. Górnicy zeszliby pod ziemię, ewentualnie spalili parę opon i uzyskaliby szybką zmianę na stanowisku”. To fragment facebookowego wpisu polonisty Pawła Lęckiego z Sopotu, obserwowanego przez prawie 40 tys. użytkowników. Diagnoza w punkt. Lecz nie polityczna, bo ta jest właściwie środowiskom nauczycielskiemu i akademickiemu obojętna. Niemniej jednak odpowiedź na pytanie, dlaczego homofob z KUL został ministrem połączonych resortów, może być jeszcze bardziej bolesna niż diagnoza Lęckiego. Mówiąc jego językiem, cóż, taki mamy klimat.

Ideologiczne porządki

Filip Ilkowski, politolog z UW, uważa, że sięgnięcie po Przemysława Czarnka to, po pierwsze, pokazanie ziobrystom, że nie mają monopolu na prawicowość, bo oto jest ktoś bardziej prawicowy niż oni. Rzeczywiście, Czarnek, adiunkt z habilitacją w Katedrze Prawa Konstytucyjnego na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, był wymieniany jako straszak na Zbigniewa Ziobrę, czyli jako nowy minister sprawiedliwości. Po drugie, zdaniem Ilkowskiego Jarosław

eprasa.pl ce31bfa68a

Za monopol na prawicowość

Dlaczego Przemysław Czarnek wylądował w fotelu ministra edukacji i nauki?

Przyszły minister edukacji i nauki ręka w rękę z abp. Markiem Jędraszewskim. Lublin, 18 stycznia 2020 r.

Kaczyński po raz kolejny pokazał własną moc, to, że nie przejmuje się żadną krytyką i robi, co chce. – Ale najgorsze dla mnie jest to – mówi Ilkowski – że rządzący naprawdę wierzą w ideologiczną wojnę, w osaczenie Polski przez złowrogie siły, którym oni dadzą odpór i wreszcie zaprowadzą ideologiczne porządki.

Inni politolodzy nieśmiało przebąkują, że Czarnek to tylko trampolina do sięgnięcia po Konfederację. A prawda może być też błaha – ławka kadrowa PiS jest krótka i nie mieli lepszego kandydata na stanowisko ministra edukacji i nauki. Z wypowiedzi marszałka Ryszarda Terleckiego wynika, że jedynie silna osobowość może pociągnąć zmianę podstaw programowych, czytaj: mieć siłę kontynuowania reformy Zalewskiej i Gowina, choć nie wiadomo, jaki miałby być kierunek zmian i czy Czarnek nie wchodzi do ministerstwa z czymś już gotowym.

Czarnek o jakże wyrazistych poglądach i o określonej przeszłości, dał np. samorządowcom medale za walkę z LGBT. 25 kwietnia 2019 r., jako wojewoda lubelski, w czasie sesji sejmiku województwa zachęcał radnych do głosowania za przyjęciem stanowiska sprzeciwiającego się „wprowadzeniu ideologii LGBT do wspólnot samorządowych". Jacek Bury, obecnie senator, był wtedy radnym wojewódzkim Koalicji Obywatelskiej. „Zapowiedział obecnym na sesji, że w razie uchwalenia projektu zaprosi prezydium Sejmiku na uroczystość do Lubelskiego Urzędu Wojewódzkiego oraz [cytat:] »będę mógł uhonorować państwa, przedstawicieli sejmiku, stosownym medalem i dyplomem w związku z mam nadzieję uchwałą, którą państwo dzisiaj podejmiecie«", czytamy w zawiadomieniu do prokuratury złożonym w czerwcu przez senatora Burego. Aż 24 radnych zagłosowało za podjęciem tego dziwacznego stanowiska.

Czy to korupcja polityczna? Prokuratura odmówiła wszczęcia śledztwa w tej sprawie. Faktem jest, że 16 maja 2019 r. wojewoda na sesji sejmiku uhonorował samorządowców za głosowanie, wręczył im medale i dyplomy. Odznaczeni to m.in. Sejmik Województwa Lubelskiego, miasto Ostrów Lubelski, miasto Urzędów, powiat świdnicki, powiat rycki.

Inteligentny i ma parcie na szkło

Czarnek jest dość gruntownie wykształcony, mimo niskiej, by nie rzec żadnej, cytowalności w bazach międzynarodowych, jak również zarzutów, że habilitację dostał nie do

FOT. WOJCIECH KOZIOŁ/FORUM

eprasa.pl ce31bfa68a

końca zgodnie z prawem, bo promotor był współautorem jego prac. Jest inteligentny i wie, co mówi. A mówi to, co większości naszego społeczeństwa zapewne się podoba: homoseksualiści są fe, baby mają rodzić dzieci, a te już urodzone należy karcić fizycznie. Sprawdziło się to w jego mateczniku na Lubelszczyźnie, dlaczego nie miałoby się sprawdzić w wielkiej polityce. No i sprawdza się. Wraz z falami Radia Maryja oraz TVP Info wypływa Czarnek na wyżyny. W ostatnich wyborach parlamentarnych – startując z drugiego miejsca na liście PiS – zrobił 13. wynik w Polsce, dostał aż 87 tys. głosów. Jako minister edukacji i nauki migiem się zorientuje, że swoją homofobię, autentyczną czy też wykalkulowaną politycznie, musi odłożyć na półkę, a zacząć łapać inne konteksty. Dlatego prof. Marcin Matczak, prawnik, przestrzega na Facebooku: „Nie atakujcie ministra Czarnka za jego poglądy. W ten sposób ułatwicie mu znakomicie sprawę – zamiast rozwiązywać rzeczywiste problemy nauki i edukacji, będzie ciągle robił to, co on i PiS najbardziej lubią: będzie udawał, że broni czegoś ważnego, ciągle atakując coś wymyślonego".

– Przemysław Czarnek jest politykiem w pełni podzielającym i reprezentującym poglądy obecnie rządzącej partii, którego zadaniem będzie nadzorowanie realizacji jej programu na tym odcinku – mówi działacz edukacyjny Jarosław Pytlak, od 1990 r. dyrektor Zespołu Szkół STO na warszawskim Bemowie. – Program został wdrożony przez Annę Zalewską, przyjęty kurs utrzymał Dariusz Piontkowski, więc nowemu ministrowi pozostaje jedynie pilnowanie steru. Nieco bardziej interesujące jest, kto zostanie wiceministrem odpowiedzialnym za edukację i czy ta osoba będzie choć trochę czuć środowisko oświatowe. Już wiele lat czekamy na takiego szefa, a otrzymujemy kolejnych namiestników politycznych. I to jest naprawdę problem – konkluduje.

Diagnoza dla Przemysława Czarnka byłaby więc dość okrutna: oto chciwy, łasy na stanowiska, inteligentny facet plecie w mediach, co mu ślina na język przyniesie, bo to daje mu popularność, bo te media bezrefleksyjnie kopiują jego słowa.

Krzysztof Baszczyński, wiceprzewodniczący ZNP, skupia się na wypowiedzi Czarnka dla PAP. Że jego głównym zadaniem będzie odbudowa etosu nauczyciela, że stawia na wartości. – Czy więc nie skończy się to znów ocenianiem nauczycieli przez pryzmat zasług etyczno-moralnych? – zastanawia się Baszczyński.

Dlaczego człowiek o takich poglądach został zatrudniony jako profesor na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim?

– Trzeba wszak wychować nowego Polaka. Nie patrzę na homofobiczne wypowiedzi Czarnka. Skoro prawica nazywa go wyrazistą postacią, to od takiej postaci oczekiwałbym zawalczenia o budżet na edukację i naukę i o podniesienie prestiżu zawodu nauczyciela. Oraz zdecydowania, jak urządzić szkoły w związku z pandemią.

Dlaczego profesor KUL?

Jedno może dziwić – dlaczego człowiek o takich poglądach został zatrudniony jako profesor na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i prowadzi zajęcia w Katedrze Prawa Konstytucyjnego w Instytucie Nauk Prawnych. Ma przecież na koncie postępowanie dyscyplinarne, bo gdy zaroiło się od jego mocnych wypowiedzi, do władz uczelni popłynęły apele o wyrzucenie go z uniwersytetu. KUL odciął się od słów posła, uznając, że jego wypowiedź „nie była związana z jego działalnością akademicką i w żaden sposób nie może być utożsamiana ze stanowiskiem uczelni".

Odnośnie do swojej profesury na KUL sam Czarnek napisał: „Widzę i słyszę, że informacja ta wywołała duże poruszenie w kręgach lewicowo-lewackich, które wnosiły o wyrzucenie mnie z KUL. A tu taka niemiła niespodzianka. Uspokajam i wyjaśniam: jak się pracuje, pisze, publikuje, to się awansuje. Żadna sensacja. Powodzenia". Internauci o tej profesurze: „Brawo! Absolwenci będą bardzo »cenieni« na rynku pracy. Poziom seminarium, czyli technikum pogrzebowo-weselne...". Inny stwierdza ze smutkiem: „To jest uniwersytet, który powstał w 1918 r., a więc szkoła z historią. I teraz wykolejeńcy mentalni mają tam dziuplę, by deprawować i szerzyć patologię społeczną. PiS doprowadziło do zniszczenia polskiego Kościoła".

Przemysław Czarnek nie ukrywa swojej miłości do Kościoła. Pytanie zatem, czy katolicyzm powinien mieć coś wspólnego z rasizmem bądź faszyzmem. Jego wypowiedzi bulwersują także katolików. Tu nadmienić wypada, że gdy KUL odciął się od jego poglądów, w oświadczeniu zacytował Katechizm Kościoła Katolickiego (1935): „Należy (...) przezwyciężać (...) wszelką formę dyskryminacji odnośnie do podstawowych praw osoby ludzkiej, czy to (...) ze względu na płeć, rasę, kolor skóry, pozycję społeczną, język, religię, ponieważ sprzeciwia się ona zamysłowi Bożemu".

Imiona na murze

Bracia Waglewscy, Fisz Emade Tworzywo, zainspirowani z pewnością wypowiedziami ministra Czarnka, piszą piosenkę „Kurz", świetną muzycznie, o słowach jak brzytwa. Ma prawie 300 tys. wyświetleń, ludzie link do niej przekazują sobie przez komunikatory internetowe. „Popatrz, posłuchaj, oni nie są równi normalnym ludziom (...). A co ty zrobisz, pyta się mnie ekspert internetowy, co ty zrobisz, jeśli twój syn, jeśli twoja córka oznajmi ci, że są jak oni. (...) Zrobię im obiad, podam deser, poczytam książkę, powiem, żeby odrobili lekcje. Tak zrobię".

Kto zostanie wiceministrem odpowiedzialnym za edukację i czy ta osoba będzie choć trochę czuć środowisko oświatowe?

Bo nie można odwrócić się, ot tak, i zapomnieć homofobicznych wypowiedzi przyszłego ministra edukacji i nauki, gdy kolejny nastolatek prześladowany na tym tle popełnia samobójstwo, jak ci, których imiona wypisano na ministerialnym gmachu.

Beata Igielska
b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ce31bfa68a

Z Galicji

Jan Widacki

Sucha kałuża

Ostatnia rekonstrukcja rządu była czymś więcej niż zwykłą rekonstrukcją. To wielki ustrojowy eksperyment, na skalę światową. Rząd jak to rząd, musi mieć premiera. No to ma. Formalnie jest nim nadal Mateusz Morawiecki. Ale ten formalny premier jest w ostrym konflikcie z ministrem sprawiedliwości-prokuratorem generalnym Zbigniewem Ziobrą. Konflikt ten ma nie tylko osobisty charakter (no trudno, czasem dwaj panowie się nie lubią), ponieważ Ziobro swoimi działaniami niszczącymi niezależność wymiaru sprawiedliwości raz po raz ściąga na Polskę gniew Unii Europejskiej i utrudnia Morawieckiemu prowadzenie polityki. Mało tego, podejmuje samodzielnie, nie konsultując tego ani z premierem, ani z ministrem spraw zagranicznych, różne inicjatywy na arenie międzynarodowej, które Polskę i jej rząd ośmieszają i gniew Brukseli potęgują.

Chciało PiS pozbyć się Ziobry z rządu, ale nie było to możliwe. Bez Ziobry i jego posłów rząd straciłby sejmową większość. Musiał więc Ziobro w rządzie zostać. Został, ale dzięki osobliwej konstrukcji tego rządu znalazł się pod kontrolą. Ponieważ jednak, jak wielokrotnie już pokazał, za nic miał premiera, a sam Morawiecki dotąd jako nadzorca Ziobry się nie sprawdził, do rządu wszedł Jarosław Kaczyński. Jako wicepremier. Aby mógł skutecznie nadzorować, a gdy trzeba – temperować Ziobrę, stworzono specjalnie dla niego i specjalnie dla tej sytuacji Komitet Rady Ministrów ds. Bezpieczeństwa. Nazwa Komitet ds. Bezpieczeństwa nie najlepiej co prawda się kojarzy (w PRL był przed Październikiem ‘56 taki twór, który zastąpił Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, czyli szefostwo UB, nie mówiąc już o Komitecie Bezpieczeństwa Państwowego w ościennym mocarstwie, w skrócie KGB), ale mniejsza o skojarzenia. Wicepremier Kaczyński będzie nadzorował ministra sprawiedliwości, ministra spraw wewnętrznych i ministra obrony narodowej. Założenie jest takie, że skoro Morawiecki sobie z Ziobrą nie potrafił poradzić, to poradzi z nim sobie Jarosław Kaczyński.

Nikt chyba nie ma wątpliwości, że najważniejszą osobą w tym rządzie będzie nie premier, tylko wicepremier. To z nim, nie z premierem będą wszystko uzgadniać ministrowie. To jemu będą się podlizywać. To jego nadal będzie słuchał premier Morawiecki. Powie ktoś: premier i tak dotąd wszystko uzgadniał z Jarosławem Kaczyńskim i wykonywał jego polecenia. To prawda. Ale dotąd wykonywał polecenia Jarosława Kaczyńskiego jako szefa partii, która utworzyła i wspiera rząd. Teraz będzie słuchał poleceń swojego zastępcy. A to już nie tylko konstytucyjna, ale nawet logiczna nowość. Nie byłoby prościej, gdyby Jarosław Kaczyński zwyczajnie został premierem? Widać nie chciał. Może stan zdrowia mu nie pozwala, a może po prostu czuje, że w sytuacji, gdy Polska ma tyle konfliktów z Unią Europejską, politykę trzeba robić w Brukseli, aby zaś ją robić, trzeba jednak władać jakimś językiem obcym? W dodatku aby ją robić skutecznie, trzeba tym językiem władać nawet nieco lepiej niż prezydent Duda. Morawiecki języki zna, na europejskich salonach może udawać, że w Polsce praworządność i prawa człowieka mają się świetnie, a po ostatnich nominacjach, szczególnie na stanowisku ministra edukacji od żłobka po nominację profesorską, to nawet lepiej niż świetnie.

Ostatnia rekonstrukcja rządu była czymś więcej niż zwykłą rekonstrukcją. To wielki ustrojowy eksperyment, na skalę światową.

No właśnie, ten resort, który ma się zająć edukacją nowego pokolenia Polaków patriotów, objął Przemysław Czarnek. Jegomość ten jest już od dawna aktywny w sferze publicznej, nieraz miał okazję ujawnić poglądy, wiemy, czego się spodziewać, wiemy, jakiego Polaka będzie nam chciał wyhodować pan minister, posługując się całym swoim superresortem. Biedne dzieci nasze i wnuki! Dla pana ministra osoby homoseksualne to „dziwacy”, małżeństwa jednopłciowe to coś tak niewyobrażalnego jak „sucha kałuża”. Kobiety mają rodzić dzieci i gotować mężom obiady.

Pan minister jest doktorem habilitowanym w zakresie prawa konstytucyjnego. Jak sobie radzi w swoim politycznym środowisku, dla którego konstytucja to właśnie taka „sucha kałuża”, którą bardzo trudno sobie wyobrazić?

A jak z punktu widzenia prawa konstytucyjnego wygląda rząd, na czele którego stoi premier podwładny swojego zastępcy? To dopiero „sucha kałuża”!

Jak się okazuje, stąpając po „suchych kałużach”, można w Polsce nieźle się ubłocić.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ce31bfa68a

18 sierpnia firma Biomed-Lublin SA ogłosiła rozpoczęcie produkcji pierwszej partii polskiego leku na COVID-19.

Lody na COVID-19

Wystarczy sensacyjna zapowiedź leku na koronawirusa, by notowania spółki poszybowały na szczyt

Marek Czarkowski

Przypadek instruktora narciarskiego, który zgarnia kilka milionów złotych na sprzedaży Ministerstwu Zdrowia niespełniających norm maseczek, czy byłego handlarza bronią, kasującego dziesiątki milionów za potencjalną dostawę respiratorów, to barwne, lecz marginalne przykłady, jak się nie narobić i zarobić na COVID-19.

Duże pieniądze zdobywa się inaczej. A co najważniejsze – zgodnie z prawem. Najlepiej przez Giełdę Papierów Wartościowych. Podstawowy warunek – trzeba mieć dobrą historię.

Senator podtrzymuje notowania

Jednym z tegorocznych ulubieńców inwestorów jest spółka Biomed-Lublin Wytwórnia Surowic i Szczepionek, obecna na głównym parkiecie stołecznej giełdy od stycznia 2015 r. W przeszłości produkowała szczepionki przeciw wściekliźnie, czerwonce, durowi brzusznemu i chorobie Heinego-Medina. W ostatnich latach były to tylko preparaty lecznicze, wyroby medyczne i odczynniki laboratoryjne. Ostra konkurencja i zobowiązania sprawiły, że kurs akcji Biomedu od kilku lat oscylował wokół 1 zł.

Pandemia zmieniła wszystko. Jeszcze 13 marca br. akcję spółki można było nabyć za 58 gr. 3 kwietnia ten sam walor kosztował 4,25 zł! A potem było już tylko lepiej – 3 sierpnia notowania Biomedu osiągnęły szczyt – 30 zł!

Skąd ten wzrost? Było jasne, że przed takimi firmami pandemia otwiera nowe możliwości. A pod koniec maja spółka poinformowała o planach stworzenia produktu leczniczego zawierającego immunoglobuliny, czyli przeciwciała, do terapii chorych na SARS-CoV-2. Miały one być uzyskiwane z osocza ozdrowieńców.

29 lipca Biomed zawarł umowę z Samodzielnym Publicznym Szpitalem Klinicznym nr 1 w Lublinie oraz Instytutem Hematologii i Transfuzjologii, której przedmiotem była realizacja projektu „Badania nad wytworzeniem swoistej immunoglobuliny ludzkiej z osocza dawców po przebytej infekcji wirusowej SARS-CoV-2 i jej zastosowaniem terapeutycznym u pacjentów z COVID-19". Projekt ów został sfinansowany kwotą niemal 5 mln zł przez Agencję Badań Medycznych.

Inwestorzy co prawda uwielbiają takie wiadomości, lecz szybko wracają na ziemię. Dlatego 11 sierpnia cena akcji Biomedu spadła do 15,10 zł. By ponownie ruszyła w górę, potrzebne były kolejne dobre wieści.

I oto 23 września senator PiS dr Grzegorz Czelej ogłosił na Twitterze: „Mamy polski lek na COVID-19! Lek, który działa. Lek, który zabija COVID-19". Kierownictwo spółki na specjalnie zorganizowanej konferencji prasowej ogłosiło, że wyprodukowano 3 tys. ampułek leku z osocza pozyskanego z krwi osób, które przeszły zakażenie SARS-CoV-2.

Prezes Marcin Piróg zapowiedział, że badania kliniczne z udziałem pacjentów rozpoczną się w IV kwartale tego roku. A po ich pozytywnym

eprasa.pl ce31bfa68a

zakończeniu lek będzie służył ratowaniu życia. Uczestniczący w konferencji senator Czelej zaapelował, by jak najszybciej dopuszczono go do użytku w „trybie epidemicznym", o którym, co prawda, nikt nie słyszał, lecz kto by się przejmował takim drobiazgiem. Wiadomość, że mamy polski lek na COVID-19, obiegła wszystkie media.

Tego dnia kurs akcji Biomedu skoczył z 15,65 zł do 21,30 zł, by w kolejnych dniach ustabilizować się na poziomie 16 zł. Dlaczego? Okazało się, że zapowiedzi były zbyt entuzjastyczne. Pojawiły się wątpliwości, czy przedstawiciele spółki mogli użyć nazwy lek, czy powinni raczej mówić o „kandydacie na produkt medyczny". Komisja Nadzoru Finansowego zapowiedziała, że przyjrzy się sprawie.

Co będzie dalej? Należy się spodziewać kolejnych optymistycznych komunikatów giełdowych. I wzrostów notowań akcji. Dopóki koronawirus będzie z nami, notowania takich spółek jak Biomed-Lublin będą się utrzymywały na przyzwoitym poziomie. Gdy pandemia minie, wróci szara codzienność z 60-70 gr za akcję.

Koronawirusowy miliarder

Podobna historia stała się udziałem notowanej na giełdzie New Connect niewielkiej spółki 4Mass. Na co dzień zajmuje się ona produkcją i dystrybucją kosmetyków. W marcu br. za jedną akcję płacono nikczemne 14 gr. 7 lipca cena wzrosła do 22 gr. Lecz gdy następnego dnia w oficjalnym komunikacie zarządu pojawiła się informacja, że 4Mass wprowadza do obrotu maseczki medyczne, notowania ruszyły. 28 lipca za jedną akcję trzeba było zapłacić 3,90 zł. Był to potężny wzrost. Po czym – jak zwykle – nastąpił zjazd. W sierpniu, gdy cena akcji 4Mass oscylowała wokół 1 zł, pojawiły się komunikaty informujące, że części swoich pakietów pozbywają się członkowie zarządu spółki. Co było do przewidzenia. Jeśli bowiem kupowali jej akcje po 12-13 gr, a sprzedawali po 80-90 gr, zysk był imponujący. Nie tak wielki jak przy cenie 3,90 zł, za to pewny i wolny od podejrzeń o manipulację kursem.

Bez wątpienia jednak królem wzrostów notowań akcji na rodzimym parkiecie jest krakowska spółka Mercator Medical SA zajmująca się produkcją rękawic medycznych oraz dystrybucją materiałów medycznych jednorazowego użytku. Działa na rynku polskim, w niektórych krajach Europy Środkowo-Wschodniej i w Rosji. W połowie lutego br. jej akcje kosztowały ok. 10 zł, a 27 września rekordowe 467 zł! Prezes i największy akcjonariusz spółki Wiesław Żyznowski dołączył do grona giełdowych miliarderów. Przed wybuchem pandemii szacowano, że posiadany przez niego pakiet akcji wart był 55 mln zł. Dziś może to być nawet 2,6 mld zł! Żyznowski podchodzi do tego spokojnie. W wywiadzie udzielonym „Pulsowi Biznesu" powiedział, że nie czuje się „koronawirusowym miliarderem", co najwyżej „ulotnym miliarderem", poza tym firma „nie jest i nie będzie na sprzedaż".

W ostatnich dniach byliśmy świadkami niezwykłego wzrostu notowań akcji poznańskiej spółki Inno-Gene (czyli Innowacyjna Genetyka), prowadzącej działalność w różnych sektorach biotechnologii. Zajmuje się ona inwestycjami w nowatorskie rozwiązania. Jej prezesem i głównym udziałowcem jest Jacek Wojciechowicz.

16 września br. Inno-Gene opublikowała komunikat, w którym podała, że jej spółka zależna o nazwie Centrum Badań DNA zgłosiła wniosek patentowy dotyczący zestawu do szybkiej diagnostyki infekcji SARS-CoV-2, opartego na technice RT-LAMP. To bardzo dokładny test genetyczny umożliwiający identyfikację wirusa w ciągu kilku minut. Kurs akcji spółki oscylował wówczas wokół 21 zł.

28 września Centrum Badań DNA poinformowało o wpłynięciu zamówienia od indyjskiej firmy BI Biotech India Private Limited z siedzibą w New Delhi na 250 tys. testów RT-LAMP, które mają trafić na subkontynent do 31 grudnia br. Następnego dnia akcje spółki Inno-Gene kosztowały 45 zł. I pomyśleć, że pod koniec lutego płacono za nie 2,50 zł.

Ciekawym przypadkiem jest Mabion SA. Firma powstała w celu wprowadzania na rynek leków biotechnologicznych najnowszej generacji. Jej największym udziałowcem jest Twiti Investments Limited z siedzibą na Cyprze. Rok temu notowania akcji Mabionu wahały się w przedziale 80-100 zł, by pod koniec marca br. spaść do 19 zł. Przyczyną były problemy związane z rejestracją oraz dopuszczeniem do sprzedaży na terenie Stanów Zjednoczonych leku onkologicznego MabionCD20. Dlatego inwestorów nie zdziwił komunikat władz spółki z 14 września, w którym informowano o zawarciu porozumienia z australijską firmą Vaxine Pty Ltd dotyczącego wypracowywania uzgodnień w sprawie potencjalnego rozwoju procesu produkcji i komercjalizacji produktu Covax-19™, mogącego stanowić szczepionkę na COVID-19. Tego dnia za jedną akcję Mabionu trzeba było zapłacić 40 zł. A 10 dni później tylko 30 zł. Być może spadek notowań miał coś wspólnego z informacją, że opisane porozumienie może zostać wypowiedziane przez każdą ze stron, jeśli do 30 października nie zostanie zawarta stosowna umowa końcowa. Na razie zatem akcjonariusze tej spółki na pandemii nie zarabiają.

13 marca br. akcje Biomedu można było kupić po 58 gr. 3 sierpnia kosztowały już 30 zł.

Zdumienie inwestorów wywołał natomiast Maciej Wieczorek, prezes spółki Celon Pharma, która niezależnie od pandemii dobrze sobie radzi na giełdzie. 22 września podczas wideokonferencji poinformował on, że Celon Pharma planuje opracowanie leku na koronawirusa. „W połowie 2022 r. będziemy gotowi do podania leku pacjentom, na początku zdrowym ochotnikom, a następnie na przełomie 2022 i 2023 r. – w zależności od rozwoju pandemii i dostępności zainfekowanych pacjentów – również szerszemu gronu pacjentów", zapowiedział prezes Wieczorek.

Skoro w pierwszej połowie 2021 r. możemy już dysponować skuteczną szczepionką, lek, nad którym rozpoczęła prace Celon Pharma, może się okazać produktem niszowym. Mimo to na początku września br. Narodowe Centrum Badań i Rozwoju przyznało spółce 38,9 mln zł dofinansowania na rozwój terapii na SARS-CoV-2.

FOT.BARTŁOMIEJ WÓJTOWICZ/REPORTER

eprasa.pl ce31bfa68a

Wyścig po szczepionkę

Za granicą w najlepszej sytuacji znalazły się wielkie koncerny farmaceutyczne, które natychmiast podjęły prace nad szczepionką na COVID-19. Zaczął się niewidziany dotychczas wyścig zespołów badawczych. Nagrodą dla tych, którzy pierwsi opracują skuteczną szczepionkę lub lek, będzie nie tylko sława, ale i zyski liczone w miliardach dolarów i euro.

W połowie sierpnia br. szwedzko-brytyjski koncern AstraZeneca występujący wspólnie z Uniwersytetem Oksfordzkim uzgodnił z Komisją Europejską podstawę umowy ramowej na zakup 300 mln wyprodukowanych dawek szczepionki po wykazaniu, że jest ona bezpieczna i skuteczna w stosunku do COVID-19, z możliwością zakupu kolejnych 100 mln dawek. Na razie nie ogłoszono ceny.

18 września KE podpisała kolejną umowę. Tym razem na zakup 300 mln dawek szczepionki wyprodukowanej przez konsorcjum francuskiej firmy farmaceutycznej Sanofi z brytyjskim koncernem GlaxoSmithKline (GSK). Bruksela prowadziła też rozmowy z koncernem Johnson&Johnson, niemieckim start-upem CureVac oraz firmą biotechnologiczną Moderna. W sumie Komisja zgromadziła 16 mld euro na sfinansowanie wsparcia badań, produkcji oraz zakupu szczepionki.

W połowie lipca br. CNBC, powołując się na wyższego rangą urzędnika administracji Donalda Trumpa, podała, że Stany Zjednoczone zamierzają mieć 300 mln dawek szczepionki przeciw COVID-19 do początku 2021 r. Proces produkcyjny ma być w toku, mimo braku gwarancji skuteczności. Najbardziej zaawansowane są prace koncernu Johnson&Johnson oraz wspomnianej już spółki Moderna. Firma Johnson&Johnson otrzymała 1 mld dol. wsparcia rządowego. Administracja Trumpa, która nie poradziła sobie z rozprzestrzenianiem się pandemii – dotychczas zmarło ponad 200 tys. obywateli USA – jest bowiem bardzo zainteresowana tym, by skuteczna szczepionka trafiła do pacjentów przed listopadowymi wyborami prezydenckimi. Mogłoby to zwiększyć szanse Donalda Trumpa na reelekcję, jest jednak mało prawdopodobne.

Królem wzrostów notowań jest krakowska spółka Mercator Medical. W połowie lutego jej akcje kosztowały mniej więcej 10 zł, a 27 września 467 zł!

30 lat temu ukazał się pierwszy numer tygodnika „NIE”, o czym przypomina najnowszy, tysiąc pięćset sześćdziesiąty siódmy numer tygodnika „NIE”.

Pula dla oszustów

Jednocześnie po obu stronach Atlantyku pojawiły się firmy i organizacje usiłujące sięgać po pieniądze publiczne w związku z pandemią. Spory rozgłos towarzyszył sprawie ultrakonserwatywnych organizacji chrześcijańskich lobbujących przeciw aborcji, które otrzymały miliony dolarów umarzalnych pożyczek w ramach programu pomocy od rządu USA. Wśród beneficjentów znalazła się American Family Association, która w przeszłości opisywała homoseksualizm jako „zły i niebezpieczny wybór” i obwiniała gejów o Holokaust. Dotację otrzymało również Amerykańskie Centrum Prawa i Sprawiedliwości, czyli antyaborcyjna grupa aktywistów kierowana przez jednego z adwokatów Donalda Trumpa, Jaya Sekulowa.

Swoją pulę starali się też zgarnąć przestępcy. 1 czerwca br. grupa hakerów zaatakowała komputery zespołu pracującego nad lekami przeciw COVID-19 na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Francisco. Pracownicy działu informatyki tej uczelni musieli odłączyć komputery, by zapobiec rozprzestrzenianiu się niebezpiecznego oprogramowania. W wyniku tajnych negocjacji zgodzono się zapłacić hakerom 1,14 mln dol.

FBI schwytało 27-letniego Kenzleya Ramosa z Lawrenceville w stanie Georgia, który namawiał przedsiębiorców, by z jego pomocą „czerpali zyski z pandemii COVID-19”. Reklamował się w internecie jako wykwalifikowany handlowiec zajmujący się handlem walutami na rynku Forex. Przekonywał potencjalnych inwestorów, że rynek akcji się rozpada i jeśli nie chcą stracić pieniędzy, powinni mu je powierzyć. Obiecywał 300% zysku. Teraz grozi mu 25 lat więzienia.

W Europie Zachodniej przestępcy tak się rozbestwili, że już na początku kwietnia br. Komisja Europejska rozesłała specjalne pisma do organizacji konsumenckich, ostrzegając przed oszustami, dla których pandemia oznaczała okazję do szybkich zysków. Pod koniec marca br. urzędy ochrony konsumentów w krajach UE przyjęły wspólne stanowisko w sprawie pandemii COVID-19. Ostrzeżono też operatorów platform internetowych.

W Polsce Tomasz Chróstny, prezes Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów, na początku kwietnia ostrzegał przed oszustami oferującymi przez internet niestandardowe walory, waluty, dobra lub surowce, których zakup ma „gwarantować” stałe i bezpieczne zyski, a także przed specjalnymi ubezpieczeniami od wirusa, „cudownymi” suplementami diety czy instytucjami proponującymi skuteczną szczepionkę, za którą trzeba było zapłacić z góry. Ostrzeżenia pewnie okazały się skuteczne, gdyż nie słychać, by nad Wisłą odnotowano wzrost liczby oszustw związanych z pandemią.

Tak czy inaczej, kupując akcje spółki medycznej lub biotechnologicznej, która zapewnia, że podjęła prace nad skutecznym lekiem lub szczepionką na koronawirusa, bądźmy ostrożni. To zawsze się opłaca.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ce31bfa68a

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Ręka podniesiona na Kościół

„Każda ręka podniesiona na Kościół to ręka podniesiona na Polskę", mówił Jarosław Kaczyński świeżo po przejęciu władzy: 5 grudnia 2015 r. w Toruniu. Mówił to akurat dwa dni po zaprzysiężeniu przez Andrzeja Dudę sędziów dublerów Trybunału Konstytucyjnego. Faktyczny koniec III Rzeczypospolitej zbiegł się w ten sposób z projektem jej końca jako państwa świeckiego.

Dziś Polska jest nie tylko państwem *de facto* wyznaniowym: jest państwem partii. Lecz Kościół? Jego rola w naszej historii bynajmniej nie jest jednoznaczna. Owszem, nikt nie będzie kwestionował, że Kościół Polskę stworzył – wprawdzie nie jako państwo (to dokonało się już w czasach pogańskich), ale jako organizm włączony w Europę, jako wspólnotę, spajaną przez metropolię gnieźnieńską i kult św. Stanisława. Jednak Kościół w Polsce – to zjawisko swoiste. Będąc jednym z najmłodszych Kościołów w Europie, do dziś zachował naiwną gorliwość neoficką, czasem (jak w praktyce Radia Maryja) o cechach tyleż groteskowych, co barbarzyńskich. Rozziew polskiego Kościoła z Kościołami zachodniej Europy jest widoczny gołym okiem. Ale też staż chrześcijaństwa w Polsce jest dziś na poziomie XIV-wiecznych Włoch bądź XV-wiecznej Francji.

Ten rozziew obejmuje też instytucję papieża. I nie tylko papieża Franciszka. Już u progu ery nowożytnej polscy biskupi – wbrew stanowisku ówczesnego papieża – wymagali od prawosławnych przechodzących na katolicyzm powtórnego chrztu (rebaptyzacji). W XVI w. ks. Piotr Skarga – znów wbrew papieżowi – domagał się od unitów wprowadzenia celibatu i porzucenia ich języka liturgii. Pod koniec tego stulecia – też wbrew sugestiom papieża – polscy biskupi storpedowali projekt Jana Zamoyskiego powstania prawosławnego patriarchatu w podległym królowi Polski Kijowie. Kościół polski, na przekór obiecującym średniowiecznym początkom, zamiast łączyć Polaków z Europą, a polskich katolików z papieżem, zamykał naród w bezpiecznym, katolickim getcie. A przy tym wchodził w kolizję z racją stanu wieloreligijnego państwa. Jezuicka kontrreformacja, stawiająca sobie za cel uczynienie z Polski organizmu religijnie jednolitego, musiała prędzej czy później doprowadzić część poddanych do szukania oparcia w mocarstwach ościennych. W ten sposób doszło do rozbiorów.

„Polsko, twa zguba w Rzymie!", pisał Juliusz Słowacki. Wołanie to, zrozumiałe po potępieniu przez papieża powstania listopadowego, pomijało niebezpieczeństwo bliższe, czające się w poczynaniach polskich biskupów. O ich postawie w czasie zaborów można jednak dyskutować. Natomiast trudno nie dostrzec, że nawet w Polsce niepodległej Kościół wszedł w konflikt z papieżem, i to znów na tle politycznym. Gdy bowiem w roku 1922 Pius XI zakazał biskupom kandydowania do parlamentu, ci – w osobach Adama Sapiehy i Józefa Teodorowicza – zakaz ten złamali, pozwolili się wybrać i dopiero po kolejnych naciskach Watykanu złożyli senatorskie mandaty. Skądinąd ci sami biskupi najgoręcej protestowali przeciw konkordatowi – nawet po jego podpisaniu w 1925 r. robili wszystko, by nie dopuścić do ratyfikacji. Polscy biskupi byli zawsze bardziej politykami niż ojcami duchowymi.

Nikt nie chce podnosić ręki na Kościół. Każdy jednak, kto dobrze życzy państwu, ale i każdy, kto dobrze życzy chrześcijaństwu, powinien dążyć do ograniczenia świeckiej pozycji Kościoła. Polski Kościół nie może stawiać się ponad prawem. Nie może prowadzić własnej polityki, niezgodnej z polską racją stanu, polityki odgradzającej nas od Europy i stającej w kontrze wobec papieża. Przecież powinien nas łączyć z Europą, a polskich katolików łączyć z papieżem. Nie może też być instancją najwyższą, wyrokującą o słuszności konkretnych rozwiązań ustawodawczych. Nie może bez kontroli państwa prowadzić katechizacji w państwowych szkołach. I bez kontroli państwa nie może nauczać w seminariach – sączyć alumnom antypaństwowe treści, tak często potem widoczne w nauczaniu księży. Kościół rzymskokatolicki w Polsce nie może być *plus catholique que le pape*.

Polscy biskupi byli zawsze bardziej politykami niż ojcami duchowymi.

Szymon Hołownia nie jest moim idolem, ale jego słowa, że „za daleko to zaszło", oddają istotę rzeczy. Konkordat przedwojenny wymagał przynajmniej od biskupów przysięgi na wierność Rzeczypospolitej. W konkordacie obecnym nie ma o tym mowy. A i tak jest on przez stronę kościelną nieustannie naruszany. Państwo w państwie. O. Tadeusz Rydzyk mówił już w 2014 r.: „Mnie jako katolika prawo nie obowiązuje".

Nikt nie chce podnosić ręki na Kościół. Ale państwo – państwo Polaków, a nie państwo partii – musi umieć upomnieć się o swoje.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ce31bfa68a

Lewica w pułapce wojen kulturowych

Po roku obecności lewicy w parlamencie jej sondaże słabną

Jakub Dymek

Rok obecności lewicy w nowej formule nie będzie raczej okazją do toastów szampanem. Kawioru – choć z innych powodów – też nie ma co się spodziewać. I choć nie jest to może najgorszy moment dla politycznej lewicy w III RP, z pewnością nie jest najlepszy.

Rocznica obecności koalicji trzech lewicowych partii w Sejmie tuż-tuż, jednak ta sama siła, która weszła do parlamentu z poparciem 12% (i potencjałem na więcej), błąka się dziś w kolejnych sondażach blisko progu wyborczego. Wypada nawet gorzej, jeśli w badaniach uwzględniana jest (istniejąca wciąż jako byt wirtualny) partia Szymona Hołowni – wówczas w kolejnych sondażach ląduje niżej niż poprzeczka 5%. To, powiedzieliby złośliwi, i tak więcej niż 2% Roberta Biedronia w wyborach prezydenckich, od których ten zjazd się zaczął.

Co się stało z dwucyfrowym poparciem, dlaczego nie przyszły powyborcze rozliczenia i na czym polega pułapka wojen kulturowych, w którą wciągnął lewicę Zbigniew Ziobro?

Siła, która weszła do parlamentu z poparciem 12% – i potencjałem na więcej – błąka się dziś blisko progu wyborczego.

Premia za zjednoczenie i błędy debiutantów

Nawet najbardziej surową analizę należy zacząć od słów uznania dla procesu, który mimo wszystkich trudności lewicę do Sejmu wprowadził. Można podkpiwać z „trzech tenorów", ale to zdolność Roberta Biedronia, Włodzimierza Czarzastego i Adriana Zandberga do schowania choć na chwilę *ego* i puszczenia w niepamięć wzajemnych uszczypliwości umożliwiła wspólny start i dała reprezentację liczącą prawie pięćdziesięcioro posłanek i posłów. Gdyby wtedy w partii Razem wygrała frakcja trzymania się osobno (a taka była i jest!) albo SLD uwiodła wizja oparcia się na „żelaznym elektoracie" i wystartowania samodzielnie – mogłoby w parlamencie nie być żadnej lewicy. Dziś zażenowani niskimi wynikami sondażowymi sympatycy czerwono-fioletowego klubu muszą pamiętać, że suma potencjałów i energii trzech komitetów jest wciąż większa niż trzech osobnych, poobijanych partii. Słowem, od trwania w koalicji gorszy będzie tylko jej rozpad.

Niestety, początkowy impet szybko wyparował za sprawą serii ciosów, które lewica albo zadała sobie sama, albo dostała od dobrze jej życzących sojuszników w mediach. Dość przypomnieć – opisywaną obszernie przeze mnie na łamach PRZEGLĄDU – sagę z wyborem kandydata na prezydenta z przełomu roku. Najpierw Adrian Zandberg zabłysnął świetnym wystąpieniem w Sejmie – sławnym już „kontrexposé" – co uczyniło go w oczach wielu naturalnym pretendentem do tej roli. Następnie w OKO.press i na stronach Onetu ukazały się artykuły, które obiecywały kandydatkę – sfeminizowany i równościowy elektorat dwóch młodszych koalicjantów, Razem i Wiosny, zaczął już nawet do tej plotki się przywiązywać. Gdy więc Lewica musiała wycofać się z obietnic, których nigdy sama nie składała, a kandydatem ostatecznie został Robert Biedroń – przyszło rozczarowanie. I to zanim kampania prezydencka mogła na dobre się rozpocząć.

Ten schemat się powtarzał. Błędy w kampanii Biedronia nie były wymuszone przez przeciwników. Medialni sojusznicy zaś, chcący kandydatowi Lewicy pomóc – pudrując jego słabości albo dla odmiany atakując lubianego przez szeroki elektorat lewicowy Trzaskowskiego – szkodzili. Skończyło się, jak wszyscy pamiętają, historycznie słabym wynikiem – gorszym nawet od rezultatu Magdaleny Ogórek sprzed pięciu lat.

Jednak dla dzisiejszej kondycji polskiej lewicy tak naprawdę ważne jest to, co stało się potem i co trwa do dziś.

Logika wojen kulturowych

Nic dziwnego, że skoro Robert Biedroń uzyskał tak marny wynik, lewicowcy gorliwie rzucili się w ogień wojen kulturowych, które natychmiast po wyborach rozniecił Zbigniew Ziobro. Każda okazja, by sprawić, że sympatycy zapomną o upokorzeniu, i przypomnieć o sobie, była dobra. To jednak była pułapka.

eprasa.pl ce31bfa68a

Radosny początek obecnej kadencji, 13 listopada 2019 r. Dziś to już przeszłość.

Mechanizm wojen kulturowych, który wykorzystała prawica, opiera się na kilku prostych krokach. A olbrzymia instytucjonalna przewaga rządzących nad opozycją właściwie gwarantuje w tej grze powodzenie. Działa to następująco: najpierw PiS wyciąga budzące emocje zjawisko – migrację do Europy, parady równości albo edukację seksualną w szkołach – i grozi atakiem na mniejszości. Przeważnie retorycznym, bo rzeczywiste akty przemocy wygodniej władzy jednak przemilczeć. Lewica w słusznym odruchu zrywa się na pomoc atakowanym i potępia rządzących. TVP i sprzyjające władzy media nagłaśniają zaś prawdziwy i zmyślony „radykalizm" protestów, strasząc dla odmiany falą ideologicznej przemocy wymierzonej w katolików, zwykłych Polaków, konserwatywną milczącą większość. Po dwóch aktach tego spektaklu władza może już spokojnie zrobić krok w tył i powiedzieć: widzicie, my próbujemy spokojnie rządzić, a opozycja tylko mniejszości i mniejszości, o zwykłych Polakach ani słowa.

Uruchomienie polaryzacji rzadko kiedy towarzyszy jakimkolwiek ruchom ustawodawczym. Najczęściej chodzi tylko o stworzenie pretekstu, aby partię władzy publicznie skojarzyć z pojęciami normalności i większości, a przeciwników władzy z nienormalnością i mniejszością. To prymitywne – ale działa.

W pułapce Ziobry

To oczywiście pułapka, bo żadna siła deklarująca przywiązanie do praw człowieka i wrażliwość na krzywdę słabszych nie może zignorować tych kampanii zaczepnych. To jednak gwarantuje, że Zbigniew Ziobro ma dowolność w wybieraniu czasu, tematu i bohaterów tego starcia.

Tak z całą pewnością było tego lata. Gdy aktywiści LGBT zawiesili na warszawskich pomnikach tęczowe flagi, a prokuratura odwdzięczyła się zatrzymaniami, padła pierwsza salwa. Następnie aresztowanie Margot w związku z szarpaniną z udziałem anarchistyczno-tęczowego kolektywu Stop Bzdurom i towarzyszące mu demonstracje w Warszawie otworzyły front na dobre. Z punktu widzenia logiki władzy nawet lepiej, że żadnych kontrowersji nie trzeba było dodatkowo wymyślać. A liberałowie i lewica pogrążyli się też w polemice na temat taktyk i strategii ruchu LGBT+ w Polsce. Lewica, jako że stanęła za osobami LGBT+ bezwarunkowo, najbardziej zdecydowanie i niczym nie niuansując swojego stanowiska, stała się uczestnikiem rozgrywki, której panem był kto inny.

Od trwania w koalicji gorszy będzie tylko jej rozpad.

Raz jeszcze trzeba zaznaczyć, że to nie do końca wybór – lewica podąża za słusznym etycznym instynktem i działa w zgodzie z wyznawanymi przez siebie wartościami. Ale jest w tej walce słabsza. Bezpośrednim zaś skutkiem tych wydarzeń jest to, że znów kojarzy

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

eprasa.pl ce31bfa68a

się – czy tego chciała, czy nie – ze sprawami kulturowymi.

Nieudana ucieczka do przodu

Niektórzy na to się oburzą. Jak to!? Przecież lewica zajmuje się mnóstwem innych spraw, a nie tylko wojną kulturową! To prawda, ale zupełnie pozbawiona znaczenia. W grze politycznej nikt nie ogląda się na to, czy wizerunek tego lub innego ugrupowania jest prawdziwy. Przeciwnicy wykorzystają cudze słabości – tym chętniej, im bardziej ktoś musi się borykać z niekorzystnym stereotypem. PiS przez lata nie udało się zrzucić wizerunku partii staroświeckiej, PO, cokolwiek by robiła, nie może się uwolnić od etykietki neoliberałów – nawet gdy próbuje w obietnicach społecznych przelicytować resztę konkurencji.

Pomysły socjalne i postępowy program społeczny trzeba umieć ze sobą połączyć.

Dowodem na to, że Lewica zdaje sobie sprawę z problemu, jest tuzin innych aktywności i zagadnień, o których posłowie i posłanki starają się mówić: od sprzeciwu wobec budowy obwodnicy Kłodzka po krytykę zaniedbań w miejskich spółkach w Warszawie. A dodatkowo ucieczka w merytokrację – Lewica rozpoczęła maraton konwencji i spotkań programowych w miastach, które podsumuje listopadowy kongres.

Jednak pułapka jest rzeczywista. Nowe badania, które zlecił klub Lewicy, mówią, że koalicja SLD-Wiosna-Razem ma szansę pozyskać głosy przede wszystkim w dużych miastach, wśród wykształconych i lepiej zarabiających. Wśród wyborców, którzy „wolą LGBT od PRL" i właśnie poparcia dla mniejszości oraz retoryki obrony praw człowieka od Lewicy oczekują. Nie jest więc tak, że w tej kulturowej taktyce nie ma żadnej logiki. Ale to trend, który wzmacnia tylko jedną z przynajmniej trzech nóg, którymi polska lewica powinna podążać. Dodajmy też, że ten marsz pod górę na jednej nodze będzie coraz trudniejszy, bo PiS konsekwentnie realizuje pomysły społeczne – od podwyżki płacy minimalnej po oskładkowanie umów-zleceń i leki dla seniorów – które normalnie powinna proponować socjaldemokracja.

Tradycyjny elektorat lewicowy w dzisiejszych wojnach kulturowych się nie odnajduje.

Tradycyjny elektorat lewicowy – klasa pracująca, mieszkańcy mniejszych i postprzemysłowych miast, PRL-owska inteligencja i osoby w ogóle cieplej myślące o Polsce Ludowej – w ogóle w dzisiejszych wojnach kulturowych się nie odnajduje. Życzliwi krytycy, tacy jak dr hab. Przemysław Sadura czy red. Rafał Kalukin z „Polityki", a także Michał Syska na łamach PRZEGLĄDU, zwracają na to uwagę, przypominając, że pomysły socjalne i postępowy program społeczny trzeba umieć ze sobą połączyć.

Oddech konkurencji

Tu zaś trzeba wrócić do początku tego tekstu – rocznicy obecności w parlamencie, złych sondaży i pojawienia się Hołowni. Badania mówią bowiem Lewicy, po roku od parlamentarnego debiutu w tej formule, jeszcze jedną rzecz – Polacy, nawet jej przychylni, nie wiedzą, po co ona im jest. Tak olbrzymią część konfliktu politycznego zajmuje rywalizacja PO-PiS, że nikomu jeszcze nie udało się skutecznie wbić w nią klina.

Lewica zaś skubana jest z obydwu stron (innej metafory, bo „imadła", użył Michał Syska). Co to znaczy? PiS przejmuje sprawy socjalne, a PO retorykę praw człowieka, ogólnie pojętej otwartości i sprzeciwu wobec zamordyzmu. Miejsce na siłę i socjalną, i wolnościową istnieje tylko teoretycznie. W praktyce Polacy myślący „socjalnie" i ci „obywatelscy" to często rozłączne grupy, szczute też na siebie nawzajem przez dwie dominujące siły. Ten mechanizm funkcjonuje również w innych krajach Europy, a nawet do pewnego stopnia w USA. Pocieszenie, choć marne, jest dla lewicy w Polsce takie, że analogiczne tortury przeżywają partie socjaldemokratyczne i centrolewicowe na całym demokratycznym świecie.

Tyle że w Polsce – jakkolwiek nieprawdopodobnie by to brzmiało – konkurencja dla Lewicy tylko rośnie. O te same przyczółki – miasta, wykształconych, zamożnych i otwartych – biją się już wszyscy. PO i cała Koalicja Obywatelska, nowy ruch Hołowni, a nawet PiS, które od dawna ostrzy sobie zęby na miasta i chce odbić chociaż ich część. Szczególnie ruch Polska2050, po tym jak „zdezerterowała" do niego ambitna posłanka Lewicy Hanna Gill-Piątek, łowi w tej samej wodzie. Merytokratyczny zwrot obiecała także Platforma. Postulatami okołopostępowymi – od praw zwierząt po zieloną transformację i ochronę mniejszości – szermują na opozycji wszyscy poza konfederatami.

Polacy, nawet ci Lewicy przychylni, nie wiedzą, po co ona im jest.

Potencjały na opozycji jednak nie dodają się, lecz dzielą – i tak Lewica notuje 4%. Pytanie, czy sama wyciągnie się z tego dołka za uszy.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

Z wielkim żalem zawiadamiamy,
że 20 września 2020 roku
w wieku 75 lat odszedł

Ś.P.

Grzegorz Małetka

inżynier budownictwa drogowego.
Kochany Mąż, Ojciec, Dziadek, Przyjaciel,
człowiek wielkiego serca,
życzliwy ludziom, o dużym dorobku zawodowym i licznych zainteresowaniach, wierny czytelnik „Przeglądu".

Żegnaj, pozostaniesz na zawsze w naszych sercach.

Żona i Syn z Rodziną

eprasa.pl ce31bfa68a

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Edukator? Nie, kreatura

W sumie to zastanawiające, że tzw. rekonstrukcja rządu, jego przebudowa, w 40-milionowym europejskim kraju nie wywołuje specjalnych poruszeń, analiz, konieczności skomentowania, uznania bądź krytyki. Jakbyśmy pogodzili się z tym, że prezes Polski jest jeden, a reszta to przypisy petitem (dla tych, którzy nie kochają tak jak ja sztuki drukarskiej, dopowiem, że petit to rozmiar czcionki drukarskiej o wielkości ośmiu punktów – czyli niewielkiej). Jest jeden wyjątek. I nie jest nim wszechmądry Gowin, który w tym losowaniu trafił na resort pracy, choć niemal równie dobrze mógł na cokolwiek innego – tu lista pozaabsurdalnej niekompetencji i nieprzygotowania do pełnionej funkcji obowiązuje już od dawna. To po prostu człowiek, który z zawodu jest i będzie ministrem, a czego – nie ma już najmniejszego znaczenia, bo stoi za nim kilkunastu posłów. Nie jest to także rumianozłowrogość ministra sprawiedliwości, który podobno był rozsadnikiem poprzedniego rządu Mateusza Morawieckiego i być może taka jego rola – czekanie. Jarosław „Polskę zbaw" też czekał na stanowisko mesjasza polskiej prawicy kilka dekad – i się doczekał. I tak dalej, i bez końca, czy ich, tych ministrów, jest 10, czy 40, nie ma co gadać. Mogę wyjaśnić, dlaczego wicepremierem został nadprezes, który – w przeciwieństwie do swojego pomazańca na prezydenckim stolcu – naprawdę się uczy, bo widać, że się nauczył. Nadzorując Ministerstwo Sprawiedliwości i ministerstwa siłowe, będzie miał po prostu ustawowo uzasadniony dostęp do akt i dokumentów, do których i tak co prawda miał i ma dostęp, ale po najdłuższych rządach PiS ktoś mógłby chcieć go tym razem rozliczyć (w przeciwieństwie do tamtych chwil z lat 2005-2007, za które go nigdy nie rozliczono).

Ale w tej koronie ministrów jest perła, perła, która wzbudza najżywsze reakcje i pomruk niedowierzania wymieszany z grozą, oburzeniem i poczuciem: „jakby nam kto w pysk strzelił". To nowy minister edukacji i nauki, dotychczasowy poseł, wcześniej wojewoda lubelski, Przemysław Czarnek, który tytułowany jest profesorem, choć wszystkie szczeble akademickiej kariery zawdzięcza jednemu i temu samemu promotorowi, równocześnie współautorowi własnych prac. Ale marność kompetencji naukowych to nic w porównaniu do złotoustości powołanego najważniejszego „nauczyciela".

Od lat – wydawałoby się, jednak na marginesie politycznym – wykwitały co jakiś czas jego skandaliczne, nieakceptowalne wypowiedzi. Warto przypomnieć skromny wybór. Z zażenowaniem cytuję, ale zamykam oczy: „Brońmy nas przed ideologią LGBT i skończmy słuchać tych idiotyzmów o jakichś prawach człowieka czy jakiejś równości. Ci ludzie nie są równi ludziom normalnym i skończmy wreszcie z tą dyskusją"; „Pierwszego dziecka nie rodzi się w wieku 20-25 lat, tylko około trzydziestki. To ile tych dzieci można urodzić? Takie są konsekwencje, jeśli tłumaczy się kobiecie, że nie musi robić tego, do czego została przez Pana Boga powołana"; „Kobieta ma funkcję kreowania ogniska domowego. Uderzenie w rodzinę idzie zawsze przez kobietę i od tego jest feminizm, tzw. wyzwolenie kobiet, czyli walka z rodziną"; „Nie ma wątpliwości, że cała ta ideologia LGBT wyrastająca z neomarksizmu, a ten z marksizmu, pochodzi z tego samego korzenia co niemiecki narodowy socjalizm hitlerowski, który jest odpowiedzialny za wszelkie zło II wojny światowej, zniszczenie Warszawy i zamordowanie powstańców. Korzeń jest ten sam" (cytaty za „Gazetą Wyborczą" i OKO.press).

W normalnej sytuacji dla kogoś takiego w europejskim kraju nie byłoby miejsca w żadnym zakamarku sceny publicznej. A w Polsce? Zostaje ministrem edukacji. Jest kością, którą rzuca nam Kaczyński, mistrz politycznej prowokacji. W każdym jego gabinecie (bo nigdy nie były to gabinety Marcinkiewicza, Szydło, Morawieckiego) jest ktoś taki, kto zogniskuje gniew, spolaryzuje konflikt jeszcze mocniej, przesunie polityczną ścianę jeszcze bardziej w prawo i doprowadzi do białej gorączki adwersarzy. Jest więc Czarnek nikim, jest kością i ochłapem rzuconym mediom i politykom. I będą się żreć, będą, będziemy wyć. Po to jest ta nominacja. Środowisko, złamane niepowodzeniem strajku nauczycielskiego, raczej nie wykrzesze z siebie protestu, który umiałby go usunąć. A to jedyny sposób i reakcja. Tu przestrzeni na rozmowę nie ma żadnej. To jest ta jedna z dziwnych sytuacji, których jeszcze przed paroma laty nie mogliśmy sobie wyobrazić – żądanie dymisji jest uzasadnione, zanim taka postać zacznie czymkolwiek zarządzać. Czarnek precz. Tu naprawdę nie ma o czym gadać.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ce31bfa68a

W sieci wodnych kłusowników

Kłusownictwo na jeziorach i rzekach nadal jest zjawiskiem powszechnym

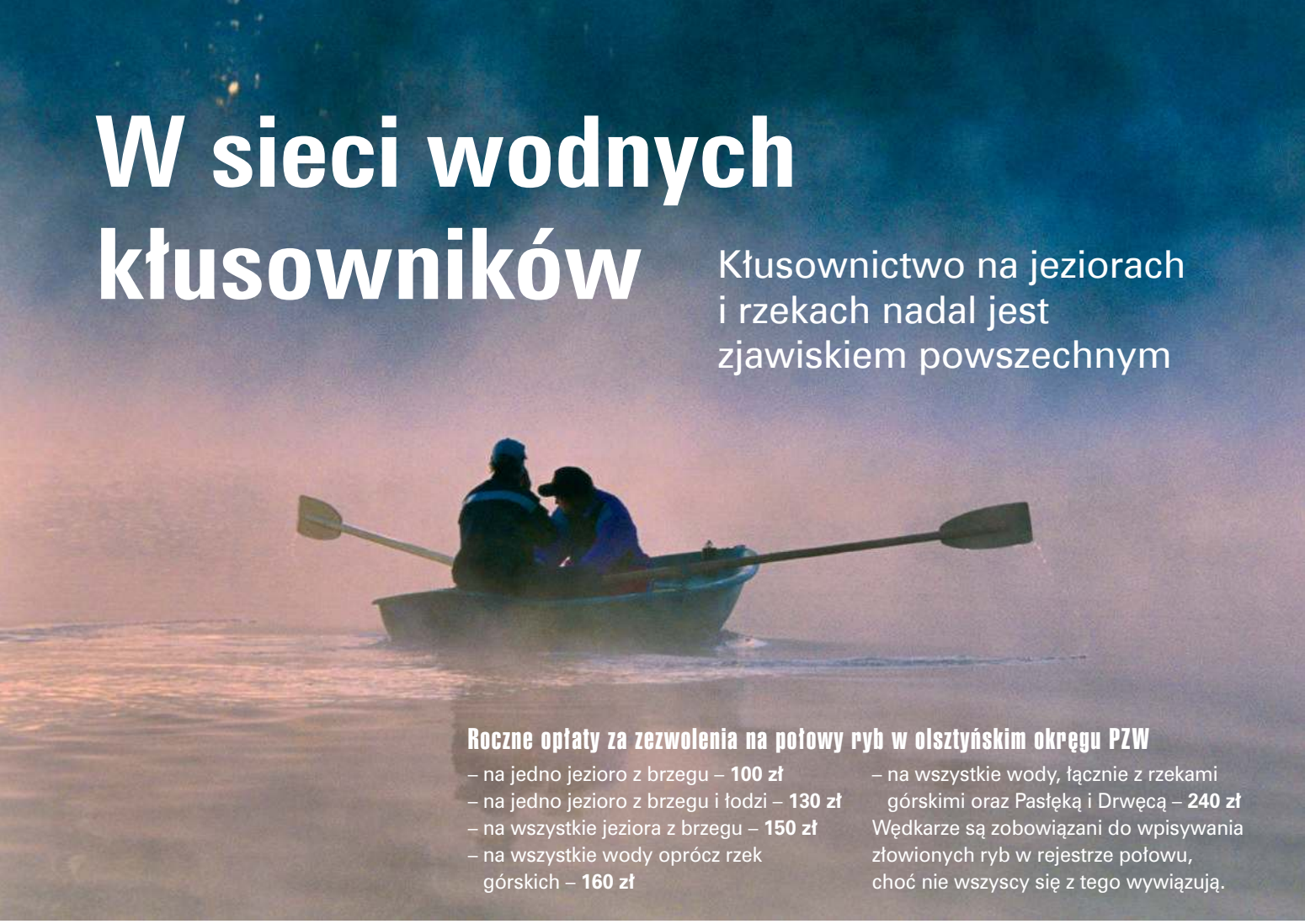

Roczne opłaty za zezwolenia na połowy ryb w olsztyńskim okręgu PZW

– na jedno jezioro z brzegu – **100 zł**
– na jedno jezioro z brzegu i łodzi – **130 zł**
– na wszystkie jeziora z brzegu – **150 zł**
– na wszystkie wody oprócz rzek górskich – **160 zł**
– na wszystkie wody, łącznie z rzekami górskimi oraz Pasłęką i Drwęcą – **240 zł**

Wędkarze są zobowiązani do wpisywania złowionych ryb w rejestrze połowu, choć nie wszyscy się z tego wywiązują.

Marek Książek

W dawnych czasach kłusownicy wypływali na wodę, żeby zdobyć pożywienie dla swoich biednych rodzin. Dzisiaj nielegalnie łowią ryby dla zarobku. Tym samym wyciągają z kieszeni pieniądze wędkarzom, którzy z własnych składek muszą uzupełniać stan zarybienia w dzierżawionych przez nich akwenach.

– Wystarczy przejść brzegiem jeziora, żeby natknąć się na kłusowników, którzy bez skrępowania proponują: „Może świeżego sandacza pan kupisz? Prosto z wody!” – opowiada Józef Jackiewicz, prezes Zarządu Okręgu Polskiego Związku Wędkarskiego w Olsztynie, obejmującego niemal 140 rzek i jezior w regionie.

Kamieniami w strażników

Choć prezes jest także społecznym strażnikiem rybackim, takie odzywki pomija milczeniem, bo nie chce się afiszować swoimi funkcjami w PZW. Strażnicy w ogóle wolą działać dyskretnie, nie pokazywać twarzy i nie ujawniać nazwisk, żeby nie wchodzić kłusownikom w oczy, bo to może się skończyć tragicznie. Nie licząc już takich incydentów jak podrzucanie desek nabitych gwoździami na podjazd, którym strażnicy dowożą łódkę do jeziora. A niedawno „nieznani sprawcy” przebili trzy opony w prywatnym aucie prezesa Jackiewicza.

– Gdy ostatnio nasi strażnicy płynęli nocą po kanale i ściągali nielegalne sieci, zostali obrzuceni kamieniami. Na szczęście nikt nie dostał w głowę i wyszli z tej akcji cało – dodaje prezes. Dlatego zalecił, aby podczas nocnych patroli dwóch strażników płynęło łodzią, a jeden ubezpieczał ich z brzegu. I żeby przynajmniej raz na jakiś czas patrolowali w asyście policji lub Państwowej Straży Rybackiej (PSR). Bo straż w Polskim Związku Wędkarskim ma charakter typowo społeczny; nawet mandatów nie może nakładać, co najwyżej sprawdzić, czy osoba napotkana na wodzie lub brzegu ma kartę wędkarską i zezwolenie na połów ryb na konkretnym akwenie, ewentualnie czy nie zaśmieca terenu. Może łowiącego pouczyć, a przede wszystkim zarekwirować sprzęt kłusowniczy. W pierwszym półroczu 2020 r. na obszarze olsztyńskiego okręgu PZW Społeczna Straż Rybacka przeprowadziła 172 akcje kontrolne, w tym 49 wspólnie z PSR, trzy razem z policją i jedną z Państwową Strażą Graniczną. Społecznicy skontrolowali w sumie 1239 osób, w tym dziewięcioro nieletnich. Jako sankcję główną zastosowali pouczenie (wobec 146 osób), 23 sprawy przekazali zawodowcom (PSR), osiem do policji i jedną do sądu.

Warszawiacy lubią świeże rybki

„Połów” sprzętu okazał się nad wyraz obfity. Strażnicy odebrali kłusownikom cały arsenał, w tym 100 wontonów, 27 żaków, siedem drygawic, tyleż samo raczników, do tego przestawy i samołówki węgorzowe oraz jeden szarpak – te nazwy laikowi mogą powiedzieć niewiele, ale rybacy znają je dobrze.

eprasa.pl ce31bfa68a

Józef Jackiewicz (z lewej) i Władysław Kudzbalski od lat walczą z kłusownikami, nz. nad Jeziorem Długim w Olsztynie.

– Wszystkie te siatki są niszczone komisyjnie przez PSR, policję lub w okręgu PZW. Zresztą każdy wyjazd musi być zgłaszany naszym kolegom z zawodowej straży, żeby się nie dublować i żeby jeden drugiemu nie wchodził w paradę. Zwłaszcza że z „państwowcami" współpracuje się nam znakomicie – dodaje Władysław Kudzbalski, skarbnik okręgu PZW i komendant społecznej straży z Kętrzyna.

Taki sprzęt jest dostępny na każdym przyjeziornym targowisku, ale siatki, siateczki i zastawy można kupić przez internet. Kiedyś z zamówieniem trzeba było jeździć do Zakładów Sieci Rybackich w Korszach, ale bez problemów kupowały je tylko państwowe gospodarstwa. Prywatny właściciel stawów musiał dołączyć plik dokumentów, zaświadczeń i certyfikatów. Dzisiaj nie ma z tym kłopotu, w internecie można zamówić sieć o takiej wielkości oczek, jaka jest nam potrzebna. Kupują nie tylko mieszkańcy miejscowości znad warmińsko-mazurskich jezior.

– Zaobserwowałem, że coraz częściej kłusownictwo uprawiają warszawiacy – kontynuuje prezes Jackiewicz. – Latem byłem nad jeziorem Gil Wielki w gminie Miłomłyn, bo moje przedsiębiorstwo budowlane stawia w tym rejonie domy. I słyszałem, jak turysta ze stolicy zagadał do miejscowego, o którym wiedział, że kłusuje: „Zjedlibyśmy dziś świeżą rybkę na kolację?". Na co gospodarz: „Nie da rady, wszystkie siatki mi zabrali". Gość uśmiechnął się tylko i odpowiedział: „To chodź do samochodu, nowe siateczki ci przywiozłem". Bo ten turysta sam się nie odważy nielegalnie łowić, tylko zleca to doświadczonemu kłusownikowi za trzy piwa albo flaszkę wódki. Obaj nie wiedzieli, że jestem strażnikiem, dlatego nie krępowali się ubijać przy mnie takiego interesu.

– Bary, smażalnie, restauracje wezmą każdą ilość ryb od kłusownika – zwraca uwagę Władysław Kudzbalski. – Właściciel zakupi np. 5 kg na fakturę, a resztę od kłusownika, że wystarczy i na wesele. Czyli jest popyt, a jak jest popyt, to kłusownictwa tak szybko się nie zlikwiduje. Trochę jest to walka z cieniem, ale walczyć trzeba, tak jak policja z piratami drogowymi.

Nocne wypady na jezioro

– Takiemu kłusownikowi nie opłaca się nawet pracować. Wyjdzie nocą na połów, rano zaniesie ryby do knajpy albo sprzeda na rynku zwanym Manhattanem i żyje jak gość – potwierdza Józef Jackiewicz. W czasach dzikiego kapitalizmu zjawisko kłusownictwa rozszerzyło się na rybaków wcześniej zatrudnionych w państwowych gospodarstwach rybackich. Firmy te zlikwidowały etaty rybaków połowowych, ale ludzie zostali. W zasadzie powinni założyć działalność gospodarczą i łowić dla gospodarstw na zlecenie. Ale wtedy musieliby opłacać ZUS i podatki, pomniejszające znacznie ich dochody. Wolą więc łowić na czarno, odsprzedając gospodarstwu część połowów, a drugie tyle lub nawet więcej sprzedając na lewo. A gdy strażnik – zawodowy lub społeczny – zapyta takiego delikwenta, czy łowi legalnie, ten odpowiada, że na zlecenie gospodarstwa, podając jego nazwę i dokładny adres.

– Nie ma sposobu, żeby wyeliminować ten proceder, a przecież powinny się tym zainteresować urzędy skarbowe i lokalne samorządy – podkreśla prezes Jackiewicz, którego ta sytuacja bardzo irytuje.

Zanikła już, co prawda, metoda kłusownictwa polegająca na ogłuszaniu ryb w wodzie prądem, bo za to grozi więzienie. Z siatkami jest bezpieczniej, bo nawet jeśli strażnicy je znajdą, siedzący na brzegu kłusownik mówi: „To nie moje". Na prąd już się nie łapie, za to rozwijają się sposoby z wykorzystaniem środków łączności.

Coraz częściej kłusownictwo uprawiają warszawiacy.

Dzwoni do PZW taki „kłusior", jak go określają strażnicy, informując, że na jakimś jeziorze znalazł siatkę. Strażnik odpowiada, że nie może tam przyjechać, bo akurat ma patrol na innym, odległym, i kłusownik już wie, że może bezkarnie łowić na wskazanym przez siebie. Albo dzwoni i celowo wprowadza w błąd, że ktoś kłusuje na konkretnym akwenie, strażnicy tam jadą i nic podejrzanego nie widzą. Taki fałszywy telefon daje kłusownikowi swobodę działania na innym jeziorze, gdzie może hasać do woli.

– Ale my też mamy swoje sposoby – chwali się Władysław Kudzbalski.

FOT. MAREK KSIĄŻEK, ADAM ŁAWNIK/EAST NEWS

eprasa.pl ce31bfa68a

– Kiedyś zajechaliśmy z „państwówką” nad jezioro, oni opłynęli je z jednej strony, my z drugiej, potem niby bez efektów wycofaliśmy się na brzeg, a „kłusiory” uznały, że już jest spokój i znów wychodzą z siatką. A my ich bierzemy z zaskoczenia: „Dzień dobry, mamy was!”.

Strażnicy także dysponują coraz lepszym sprzętem. Mieszkający w Ostródzie prezes Jackiewicz opowiada, że tamtejszy komendant posterunku PSR zakupił aparat fotograficzny, który przybliża obraz z 2 km! Z dużej odległości zrobił zdjęcie kłusownikowi. Ten, gdy podpłynął do niego patrol, udawał niewinnego. Wtedy strażnicy pokazali mu fotkę, na której widać było nie tylko numer łodzi, ale i twarz kłusownika zapuszczającego siatkę w wodę. Strażnicy „państwówki” mają już poza tym noktowizory, po 36 tys. zł sztuka, co bardzo im ułatwia patrolowanie akwenów, jako że kłusownicy wychodzą na wodę nocą. No i państwowi mają eleganckie mundury, których społecznicy mogą tylko pozazdrościć. Co prawda, nie wyruszają na akcje w cywilnych ubraniach, mają nawet odznaki na rękawach, ale zazwyczaj są to mundury gorszej jakości. Trafiają się jednak sponsorzy, np. starosta kętrzyński, który obiecał kupić najlepszej straży PZW w okręgu, którą kieruje Władysław Kudzbalski, nowe umundurowanie – za 5 tys. zł. W zeszłym roku przekazał im lornetki, a wcześniej radiotelefony, gumowe buty i latarki o długim strumieniu światła.

– Za każdą taką pomoc jesteśmy wdzięczni – akcentuje skarbnik Kudzbalski. – Utrzymujemy się tylko ze składek członkowskich i opłat za zezwolenia na połowy, z czego musimy opłacić utrzymanie biura, dzierżawę akwenów i regularne ich zarybianie oraz na zawody wędkarskie, w tym dla najmłodszych. Trzeba dobrze tańcować, żeby się wyrobić z gotówką na paliwo do trzech samochodów służbowych i do łodzi patrolowych.

Bary, smażalnie, restauracje wezmą każdą ilość ryb od kłusowników.

Społecznikowska żyłka do ścigania

Olsztyński okręg PZW ma ok. 8,5 tys. członków, czyli tych wędkarzy, którzy opłacają składki w wysokości 100 zł rocznie i – zazwyczaj – wykupują zezwolenia na połów ryb na jednym akwenie lub większej ich liczbie (kartę wędkarską dostaje się jedną na całe życie, chyba że się ją zgubi). Ale np. mazowiecki okręg skupia już 67 tys. wędkarzy, toteż w kasie ma proporcjonalnie więcej. Okręgi wydzierżawiają jeziora od Wód Polskich, wprowadzonej z początkiem 2018 r. nowej struktury administrującej państwowymi akwenami. Gospodarka PZW znajduje się pod lupą różnych ciał kontrolnych, w tym z urzędów marszałkowskich, które w razie niegospodarności czy słabych efektów zarybiania mogą wydać negatywną opinię co do przedłużenia dzierżawy. Albo zalecić wystawienie jeziora na ponowny przetarg, w którym mogą brać udział osoby prywatne. Działacze PZW pracują społecznie, więc chwała im za to, że poświęcają swój czas dla wędkarzy, a strażnicy wręcz narażają własne życie. Dlaczego to robią? Bo mają – *nomen omen* – żyłkę społecznikowską!

Na terenie olsztyńskiego okręgu PZW, obejmującego ponad 20 tys. ha rzek i jezior, działa sześć powiatowych komend Społecznej Straży Rybackiej (Olsztyn, Ostróda, Bartoszyce, Kętrzyn, Iława i Szczytno) z setką strażników, choć w akcjach zwykle uczestniczy 60-70%.

– Boli nas jednak, że nie trafia do nas choćby drobny procent od wystawianych mandatów, a przecież mamy zasługi w walce z kłusownictwem – wyznaje Władysław Kudzbalski. Mimo to cieszy się, że ta walka przynosi efekty. Ostatnio koledzy z powiatu ostródzkiego nie ściągnęli z wody żadnej kłusowniczej sieci.

– W ostatnim czasie notujemy spadek kłusownictwa sieciowego – potwierdza Szymon Bobrycki, komendant posterunku Państwowej Straży Rybackiej w Olsztynie. – Ale kłusownictwa do końca nie wytrzebimy, bo chociaż niektórzy pod wpływem zaostrzonych kontroli z niego rezygnują, dla innych jest to życiowa pasja. Po prostu kłusowanie sprawia im przyjemność.

Chociaż PSR ma do dyspozycji cały pakiet środków represyjnych, komendanta Bobryckiego martwią niskie kary sądowe za przestępstwa kłusownicze. Bo czy grzywna 500 zł działa odstraszająco? Tyle że sąd zarządza także przepadek mienia, w tym łodzi, więc jest szansa, że kłusownik długo nie wypłynie na jezioro.

Marek Książek

KSIĄŻKA

Waldemar Mierzwa, Mirosław Gworek
Mazury na jeziorach i w kuchni
Oficyna Retman, Dąbrówno 2020

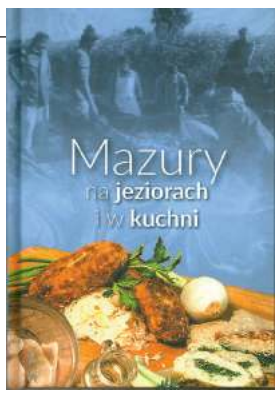

Nie pierwszy raz Waldemar Mierzwa, jako autor i wydawca, przekazuje czytelnikom książkę odwołującą się do historii regionu, a przy okazji – do smaków Warmii i Mazur. A co może być bardziej charakterystycznego, przynajmniej dla turysty, niż smak rybki prosto z jeziora? Tę część publikacji wziął na siebie współautor – Mirosław Gworek, syn mazurskiego rybaka, prezentując przepisy na zupę szczupakową, węgorza po mazursku czy karasia w śmietanie z pieca. Ale dla miłośników historii prawdziwą gratkę stanowią opowieści o początkach rybactwa na terenach byłych Prus Wschodnich, kiedy przesiedleńcy z Polski centralnej lub Kresów Wschodnich musieli pokonywać wiele przeszkód technicznych i organizacyjnych, by zaspokoić zapotrzebowanie rodaków na ten przysmak. Z czasem tę branżę wzmocniono od strony naukowej, powołując w Olsztynie Instytut Rybactwa Śródlądowego, a w Wyższej Szkole Rolniczej – wydział rybacki. Atutem książki Mierzwy i Gworka są opowieści rybaków, dla których łowienie ryb to źródło utrzymania, lecz i pasja. Pobrzmiewa w nich nuta tęsknoty za przeszłością, zanim na jeziora wkroczył drapieżny (jak szczupak) kapitalizm.

Marek Książek

eprasa.pl ce31bfa68a

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Przemyśl myśli

W pociągu do Przemyśla, gdy rusza, jak zawsze uczucie odbijania od brzegu i oddalania się od swoich problemów... po drodze Tarnów... w tych okolicach spędzał młodość mój ojciec, w Tarnowie jest ulica jego imienia. Już ciemno za oknem. Ten coraz wcześniej zapadający zmierzch kojarzy mi się z depresją i starością. Pociąg będzie niedługo kończył bieg, to mnie też z nim łączy. Czytam analizy polityczne, potem czytam Leśmiana, poeta nie miał pojęcia o polityce, nic z niej nie rozumiał. Ja rozumiem ją za dobrze jak na poetę. Na Festiwalu Poezji, na który jadę, mamy mówić o Leśmianie albo o Czechowiczu, do wyboru. Ile razy byłem w Przemyślu, nie tylko z poetyckich okazji, jeszcze w epoce PRL! Miałem wieczór autorski na strychu domu Marka Kuchcińskiego, był wtedy opozycjonistą, a nie człowiekiem pisowskiej mafii. Jak zdumiewająco układają się czasami losy ludzi. Kilkanaście lat temu w Przemyślu ostatni raz widziałem Julka Kornhausera, który wtedy nie wiedział, że spotkają go dwa nieszczęścia: jedno to udar, drugie córka, która będzie żoną Dudy.

Te przemyskie spotkania nakładają się na siebie w tej samej ramie magicznego miasta. Rynek starannie odnowiony, ale poza nim wiele domów nadal czeka na nowe tynki, a jakby wypiękniały. Przemyśl nie został zburzony w czasie ostatniej wojny, w czasie pierwszej był słynną twierdzą, ale wtedy w miejsce ruin budowano jeszcze ładne domy. Architektoniczna katastrofa to okres Polski Ludowej.

Rano w szkole spotkanie z uczniami liceum. I jak zawsze po takim spotkaniu nadzieja, że gdy dorosną, przejmą Polskę i będzie ładniejsza i bardziej tolerancyjna. Ale ilu z nich wyjedzie, 30%? Krwotok emigracji trwa. Potem z G. w kawiarni na rynku, jej syn też wyjechał, znamy się od wielu lat, miała kiedyś sklepik ze starociami na rynku. Teraz jest rzeczoznawcą dzieł sztuki. I znowu o tym PiS ciemno i pesymistycznie. Obiad na zamku, poeci są, że tak powiem, różnej jakości, nie mnie jednak oceniać. Jest Adam Zagajewski, serdecznie z nim. I jest Józek Baran, który już się na mnie nie boczy, a boczył się, bo zawsze mu się zdawało, że jestem wybrańcem losu, a on losu ofiarą. Teraz już wie, że jestem nie mniej do niego pognębiony.

Koncert poświęcony Leśmianowi i Czechowiczowi. Dominika Ostałowska czyta wiersze, Leszek Żądło gra na saksofonie. Leszek mieszka pod Monachium, był przez wiele lat mężem aktorki Barbary Kwiatkowskiej, tak kiedyś uwielbianej za talent i urodę. Człowiek, serdeczna dusza. Czy pani Dominika pamięta, że wiele lat temu wpisałem jej do tomu swoich wierszy dedykację z błędnym jej imieniem? Głupio teraz o to pytać i przepraszać. Zostawiam to więc w szczelnie zamkniętym słoiku, który stoi na półkach obok innych, gdzie są zawekowane moje liczne wstydy. Podchodzi do mnie wiceprezydent miasta, bardzo serdecznie rozmawia i nagle grzecznie pyta: „A pan jeszcze pisze?”. Poczułem się doprawdy stary. Pisarze niemal zawsze piszą do końca, nawet jak są już na samym końcu drogi, często coś jeszcze notują. Inaczej bywa z reżyserami. W Halo Radio rozmawiałem z Felkiem Falkiem, autorem „Wodzireja”. Ma lat 80, od dziesięciu nie zrobił filmu, nie dlatego, że nie może – nie chce mu się już, kręcenie filmu wymaga wielkiej energii, szczególnie teraz, gdy filmy robi się bardzo szybko. Mówimy o tym, że Wajda był tu fenomenem, robił filmy do końca. Drugim rozmówcą jest mój stary kolega, Andrzej Titkow, dokumentalista. On z kolei bardzo chce robić filmy, ale odrzucają mu wszystkie pomysły. Rozgoryczony. Jest inwazja młodych dokumentalistów, starym trudno teraz się przebić. Andrzej jak każdy dokumentalista po cichu marzy, by robić filmy fabularne, podobnie krytycy to często niezrealizowani artyści.

> Ilu młodych ludzi wyjedzie, 30%? Krwotok emigracji trwa.

W ładnej sali widowiskowej na zamku nasze wypowiedzi o Leśmianie i o Czechowiczu. Na szczęście krótko, nie ma czasu. Ja zaczynam od wspomnienia ojca, spotkał Leśmiana niedługo przed jego śmiercią. Potem z wysokich schodów na rynku czytamy wiersze. Rynek przemyski niezwykły, bo z jednej jego strony domy stoją na wzniesieniu. I z tego wzniesienia biegną schody na plac. Publiczność siedzi na dole. Jest nas chyba z dziesięć poetyckich sztuk. Znany poeta mówi mi na ucho: „Poeci mówią wiersze, które im się nawzajem nie podobają, do nielicznej publiczności, która nic z tego nie rozumie, bo na ucho trudno rozumieć wiersze”. A jednak porusza, że ten festiwal odbył się mimo zarazy, było jeszcze w jego ramach kilka imprez. Przemyśl myśli i czuje.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

eprasa.pl ce31bfa68a

Pułkownik dwóch armii

Michał Karbownicki – syn polskiego zesłańca, który został oficerem u Berlinga

Tomasz Okonek

Spoza gór i rzek
Wyszliśmy na brzeg.
Czy stąd niedaleko już
Do grających wierzb, malowanych zbóż?
Wczoraj łach, mundur dziś!
Ściśnij pas, pora iść!
Ruszaj, Pierwszy Korpus nasz,
Spoza gór i rzek – na Zachód marsz!

Tak brzmią słowa „Marszu Pierwszego Korpusu" i w pewien sposób obrazują losy wielu żołnierzy armii gen. Zygmunta Berlinga. Zanim mogli włożyć polski mundur, musieli przejść wiele „gór i rzek", pokonując na swojej drodze liczne przeszkody, często doświadczając rodzinnych tragedii.

Historia polskich żołnierzy, których szlak bojowy prowadził ze Związku Radzieckiego, i okoliczności, w jakich przyszło im walczyć, są szczególnie dziś wykorzystywane do celów politycznych. Większość naszych polityków (niestety, także z lewicy), zwłaszcza ta wychowana na historii według IPN, często nie zna realiów tamtego wojennego okresu. Generalizuje, wydaje publicznie osądy, skazując żołnierzy, którzy z „orłem piastowskim" na czapce przelewali krew za Polskę, na niepamięć, wrzucając ich wszystkich do worka zdrady narodowej. Tym żołnierzom Wojska Polskiego odbiera się polskość, ukazuje ich jako winnych wprowadzenia komunizmu w Rzeczypospolitej. Przeszłość nie jest jednak czarno-biała. Wielu z tych żołnierzy było również ofiarami ustroju stalinowskiego.

Oprócz Polaków lub obywateli polskich w Wojsku Polskim sformowanym w Związku Radzieckim służyli obywatele ZSRR. Niektórzy byli Rosjanami i nie mieli z Polską nic wspólnego, inni zostali obywatelami Związku Radzieckiego przymusowo po 17 września 1939 r., gdy w wyniku zajęcia wschodnich obszarów II RP znaleźli się z rodzinami na terytorium państwa radzieckiego. Byli też tacy, którzy mieszkali w ZSRR od zakończenia wojny polsko-bolszewickiej i zawarcia traktatu ryskiego. Jeszcze inni mieli polskie pochodzenie – ich przodkowie byli zesłańcami z czasów carskich – ale zintegrowali się z krajem urodzenia.

Olbrzymia większość szeregowych żołnierzy, zanim trafiła do obozu w Sielcach nad Oką, zamieniając „wczorajszy łach" na polski mundur, pracowała rozrzucona po olbrzymim obszarze Kraju Rad. Ludzie ci rąbali tajgę, pracowali w fabrykach i kołchozach, wydobywali surowce w kopalniach.

Kadra oficerska Wojska Polskiego w latach 1943-1945 w znacznej mierze składała się z oficerów Armii Czerwonej. Niektórzy byli z pochodzenia Polakami i do berlingowców przyszli na ochotnika (np. gen. Jan Mierzycan), części kazano i traktowali to jako karę (np. ppłk Anatol Wojnowski). Byli wśród nich także Rosjanie, szczególnie wśród oficerów lotnictwa, artylerii, łączności, broni pancernej. Oficerowie ci trafiali w środowisko polskie, nierzadko nie znając języka polskiego ani uwarunkowań kulturowych ludzi, którymi przyszło im dowodzić. Część się zniechęciła i na własną prośbę powróciła do Armii Czerwonej, wielu jednak w trakcie służby szybko nauczyło się języka i zżyło z żołnierzami.

Dziś, w czasach dominacji polityki historycznej narzucanej przez prawicę i IPN, o wojsku, które szło od Lenino do Berlina, mówi się jako o polskojęzycznym. A Sławomir Cenckiewicz, dyrektor Centralnego Archiwum Wojskowego, pozwala sobie na haniebne stwierdzenia, że „żołnierze 1. i 2. Armii Wojska Polskiego nie są Wojskiem Polskim", a ich szlak bojowy „nie jest częścią historii oręża polskiego".

Trzeba jasno powiedzieć, że ci, którzy deprecjonują udział Wojska Polskiego w pokonaniu III Rzeszy i wyzwoleniu Polski, dopuszczają się kłamstwa, nie tylko historycznego. I zanim zaczną obrażać tych żołnierzy i ich potomków, niech poznają losy takich ludzi jak ppłk Michał M. Karbownicki, dowódca 12. Pułku Artylerii Haubic, którego życie splotło się z tragicznymi wydarzeniami XX w.

Lwów 1969 r. Miejscowy listonosz śpieszy z listem. Wie, że musi on być ważny, bo na kopercie widnieje pieczątka sądu wojskowego. I ma osobiście doręczyć go adresatowi – płk. Michałowi Karbownickiemu. Ten odbiera przesyłkę i bez pośpiechu czyta list, w którym suchym, prawniczo-urzędniczym językiem informuje się, że on, Michał Maksymowicz Karbownicki, urodzony w 1907 r. w Majkopie (obecnie autonomiczna republika Adygei, leżąca u podnóża Kaukazu – przyp. aut.), syn Maksyma Ryszarda Karbownickiego i Heleny Iwanowny, został w pełni zrehabilitowany jako ofiara terroru stalinowskiego.

Kiedy Michał Karbownicki doczytał list do końca, spojrzał w stronę domowników i z całej siły zgniótł papier, po czym bez słów wyrzucił go do śmieci. Dla niego (syna polskiego zesłańca – rewolucjonisty), ofiary stalinowskich czystek, oficera i bohatera wojennego, którego po wojnie, zamiast awansować i nagrodzić, znowu zesłano do jakiegoś odległego rejonu ZSRR, to postanowienie nie miało już znaczenia. Nie tylko dlatego, że nie chciał wracać do minionych lat, tego, co widział i przeżył. Rodzinnej tragedii, śmierci najbliższych.

Karbownicki właściwie powinien się nazywać Karbowski. Tak pierwotnie brzmiało nazwisko ojca, Maksyma, urodzonego w Radomiu w 1879 r., co poświadczają dokumenty, odnalezione po latach poszukiwań w różnych archiwach. Maksym Karbowski za działalność w Polskiej Partii Socjalistycznej oraz udział w strajku w Radomiu został zesłany w 1905 r. nad Kubań.

Jakie były przyczyny zmiany? Są dwie możliwości. Albo nastąpiła z powodu błędu rejestrującego pisarza, albo, co bardziej prawdopodobne, młody Karbowski, który nie chciał

eprasa.pl ce31bfa68a

Michał Karbownicki z trzecią żoną Alicją i najstarszym synem Bronisławem.

narażać rodziny na represje, celowo zataił prawdziwe nazwisko.

Po upadku caratu w 1917 r. Maksym pozostał w Majkopie. Tam przecież miał żonę i czworo dzieci – Michała, Kazimierza, Lidię i Eugenię.

W latach 20. Michał pracował w banku. Jednak monotonne życie pośród weksli i rachunków nie za bardzo mu odpowiadało. Marzył o karierze wojskowej, wstąpił więc do Oficerskiej Szkoły Artylerii w Odessie, którą ukończył na początku lat 30. Przykładał się do nauki, toteż wydawało się, że kariera w armii jest mu bezwzględnie pisana.

Nadeszło jednak lato 1937 r. Na mocy rozkazu nr 00485 szefa NKWD Nikołaja Jeżowa z 11 sierpnia 1937 r. w Związku Radzieckim rozpoczął się Wielki Terror. Nie ominął on mieszkających w ZSRR Polaków i osób pochodzenia polskiego. Szacuje się, że w ramach tzw. operacji polskiej zginęło ok. 100 tys. Polaków, a według niektórych historyków prawie 200 tys.

Represje dotknęły również Karbownickich. W 1938 r. senior rodu Maksym wraz z synami Kazimierzem i Michałem zostali aresztowani. W ramach akcji antypolskiej uznano ich za szpiegów i poddano brutalnemu śledztwu. Według oficjalnej informacji, którą otrzymała rodzina, Maksym Karbownicki zmarł w trakcie śledztwa. Młodszego syna, zaledwie 27-letniego Kazimierza, skazano na karę śmierci pod zarzutem szpiegostwa, przynależności do Polskiej Organizacji Wojskowej oraz „prowadzenia działalności szkodniczej i powstańczej". Wyrok wykonano 5 września 1938 r.

Po latach Karbowniccy dowiedzieli się, że Maksym także został rozstrzelany. W systemie stalinowskim osobom rozstrzelanym często przypisywano śmierć naturalną, by w ten sposób zmniejszyć statystykę wykonanych wyroków śmierci.

Michał Karbownicki, doświadczony oficer artylerii, od razu po przybyciu do obozu w Sielcach został zastępcą dowódcy do spraw liniowych 1. Pułku Artylerii Lekkiej.

Michał Karbownicki też został oskarżony o szpiegostwo. Przesiedział w więzieniu dziewięć miesięcy. W 1939 r. został zwolniony, ponieważ nie udowodniono mu winy. Prawdopodobnie życie uratowało mu jego wykształcenie wojskowe, bo Związek Radziecki szykował się do wojny z Finlandią.

Alicja Dobrzańska.

W stalinowskim państwie represje dotykały również członków rodziny osób oskarżonych o działalność antypaństwową. Tak było w przypadku pierwszej żony Michała. Walentyna Karbownicka, urodzona w 1910 r., także w Majkopie, została oskarżona o szpiegowską działalność dywersyjną i skazana na pięć lat poprawczego obozu pracy. Nigdy nie wyszła na wolność. Zmarła 6 sierpnia 1945 r. w obozie w Akmolińsku (dziś Nur-Sułtan, stolica Kazachstanu – przyp. aut.).

Znów w wojsku

Zwolniony z więzienia Michał Maksymowicz Karbownicki wrócił do wojska. Walczył w wojnie zimowej z Finlandią, a po napaści Niemiec na ZSRR dowodził plutonem w 30. Irkuckiej Dywizji. Bronił m.in. Krymu i Krasnodaru. Za tę kampanię został odznaczony Orderem Aleksandra Newskiego.

Wiosną 1943 r. w Sielcach nad Oką pod patronatem Związku Patriotów Polskich powstawała polska dywizja im. Tadeusza Kościuszki. Michał Karbownicki, będący z pochodzenia Polakiem, do tego znający dobrze język polski, został do niej przydzielony. Doświadczony oficer artylerii (wówczas w stopniu majora) od razu po przybyciu do obozu w Sielcach został zastępcą dowódcy do spraw liniowych 1. Pułku Artylerii Lekkiej. Był nim do września 1943 r. Później do kwietnia 1944 r. był szefem sztabu 1. Brygady Artylerii Armat im. Józefa Bema, następnie został dowódcą 12. Pułku Artylerii Haubic w 3. Warszawskiej Brygadzie Haubic. Funkcję tę pełnił do 29 kwietnia 1945 r. Pułk sformowano we wsi Ugrojedy (okolice Sum) na mocy rozkazu dowódcy 1. Armii Polskiej w ZSRR gen. Zygmunta Berlinga. Żołnierze tego pułku brali udział w walkach o przyczółki na zachodnim brzegu Wisły, w przełamaniu Wału Pomorskiego i forsowaniu Odry. Szlak bojowy zakończyli 8 maja 1945 r. pod Stolzenhagen.

Płk Karbownicki był dowódcą wymagającym, ale sprawiedliwym, nie unikał kontaktów z szeregowymi żołnierzami. Razem z nim służył Włodzimierz Muś, późniejszy generał, dowódca Korpusu Bezpieczeństwa

eprasa.pl ce31bfa68a

Jan Karbownicki przy grobie dziadka.

Wewnętrznego. Tak wspominał Karbownickiego: „Krążyła o nim fama, że nie lubi oficerów polityczno-wychowawczych, a w ogóle ma kłótliwy charakter, toteż udałem się do niego z małą tremą. Ku mojemu miłemu rozczarowaniu Karbownicki okazał się uprzejmym gospodarzem, rozmownym i oczytanym oficerem, dobrze mówiącym po polsku i nawet dowcipnym. Mimo dużej różnicy w stopniach wojskowych był w stosunku do mnie taktowny i zawsze mogłem liczyć na jego życzliwość i pomoc. W późniejszych walkach frontowych spotykaliśmy się dosyć często na punktach obserwacyjnych i stanowiskach dowodzenia, już jako dobrzy starzy znajomi".

We wspomnieniach zarówno Musia, jak i Aleksieja Fedczenki (oficer ACz, który od 1944 r. służył w 12. Pułku Artylerii Haubic i napisał książkę wspomnieniową „Mój wkład w zwycięstwo 1941-1945", mowa o dobrych relacjach żołnierzy pułku z ludnością polską, a nawet wspólnych mszach, w których uczestniczyli żołnierze Karbownickiego oraz okoliczni mieszkańcy. Duże wrażenie na oficerach, którzy byli Rosjanami i przybyli z Armii Czerwonej, robił „element religijny" włączony do cyklu żołnierskiej służby. Modlitwa, kapelan, dzielenie się opłatkiem w czasie wigilii wywoływały wśród nich niemałą konsternację.

Takie działania dowódcy nie mogły pozostać niezauważone przez kilku czujnych nadgorliwców z aparatu politycznego 1. Armii WP. Karbownicki był przez nich cały czas traktowany z nieufnością „jako syn szpiega". Opisane poniżej zdarzenie nie jest anegdotą. Pokazuje, jaki był stosunek do osób podejrzanych o „odchylenie polityczne".

Podczas ciężkich walk oddział artyleryjski pod dowództwem Karbownickiego ręcznie przeciągał za pomocą lin sporo ważące haubice 122 mm na pozycje wygodne do prowadzenia ognia. Na skutek tego starła się farba pokrywająca działa. Wówczas ktoś napisał na dowódcę donos, z którego miało wynikać, że „w pułku zagnieździł się polski szpieg psujący mienie socjalistyczne poprzez obdrapywanie sznurami farby na haubicach". Sprawa na szczęście zakończyła się umorzeniem.

Modlitwa, kapelan, wigilijne dzielenie się opłatkiem wywoływały niemałą konsternację wśród oficerów, którzy przybyli z Armii Czerwonej.

Te i inne opinie zbierane przez zelotów politycznych stały się w latach powojennych przyczyną zmierzchu kariery zawodowej ppłk. Karbownickiego. Krótko po wojnie był dowódcą artylerii w 16. Dywizji Piechoty, a w czerwcu 1945 r. został inspektorem artylerii w Dowództwie Okręgu Wojskowego Nr II – Pomorze w Gdańsku.

Po wojnie miał szansę pozostać w Polsce i pewnie, mimo różnych donosów, byłby w niej, szczególnie po śmierci Stalina, doceniony za swoje zasługi. W grudniu 1946 r. wrócił jednak do ZSRR – zadecydowały względy osobiste. Miał skomplikowaną sytuację rodzinną z powodu dwóch poprzednich małżeństw, zobowiązania alimentacyjne.

Alicja

W 1947 r. Michał ożenił się po raz trzeci, tym razem z pochodzącą z zamożnej szlacheckiej rodziny Alicją Karlowną Dobrzańską. Jej ojciec był komendantem straży pożarnej we Lwowie. Po 17 września 1939 r., napaści ZSRR na Polskę, Alicja stała się obywatelką radziecką. Represje dotknęły również jej rodzinę. Jej ojca rozstrzelano, a ją deportowano do północnego Kazachstanu.

W 1943 r. udało się jej stamtąd wydostać i dotrzeć do 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Trafiła do batalionu kobiecego. W 12. Pułku Artylerii Haubic była instruktorem sekcji polityczno-wychowawczej. Tam poznała Michała Karbownickiego. Po wojnie wróciła do ukochanego Lwowa. Nie tylko na szeregowych żołnierzach robiły wrażenie jej ogłada i szacunek dla podwładnych.

Tak wspominał późniejszą żonę swojego dowódcy Aleksiej Fedczenko, oficer 12. Pułku Artylerii Haubic: „Po śniadaniu codziennie przez 2-3 tygodnie »szlifowaliśmy« język polski. Nauczycielką była pani Dobrzańska, chociaż z akcentem, ale dobrze władała językiem rosyjskim. Była średniego wzrostu, miła, inteligentna, opanowana. Zachowywała się wśród nas swobodnie, traktowała nas po przyjacielsku, była rok lub dwa lata starsza od większości z nas. Nic o sobie nie mówiła, niewiele o niej wiedzieliśmy. Miała stanowisko – instruktor ds. politycznych, stopień – podporucznik. Pracowała w kwaterze głównej pułku. Oprócz nauki języka polskiego mówiła nam o szczegółach służby w Wojsku Polskim, o sposobie życia i zwyczajach Polaków. Niewiele jednak mówiła o przedwojennej historii Polski. Opowiadała też o etyce i zachowaniu się polskiego oficera. Te dwutygodniowe zajęcia dały nam niezbędną podstawę do kształtowania relacji z polskimi żołnierzami".

Wnuk Michała Karbownickiego, Jan, zna rodzinną opowieść związaną z Alicją Dobrzańską. Żołnierze pułku

FOT. ARCHIWUM RODZINNE

eprasa.pl ce31bfa68a

pod Warszawą schwytali i przyprowadzili obdartego mężczyznę, który podawał się za Polaka. Ów człowiek mówił dobrze po polsku, twierdził, że udało mu się uciec Niemcom i że jest oficerem polskiej przedwojennej armii. Dobrzańska porozmawiała z nim, zaproponowała pomoc. Oficer jednak wydawał się jej podejrzany. Jako przedwojenna panienka z dobrego domu była bardzo wyczulona na kindersztubę. Tymczasem mężczyźnie, który podawał się za polskiego oficera, ewidentnie brakowało ogłady. Gdy weszła do ziemianki, nie wstał na powitanie kobiety, a gdy zaproponowała, aby zdjął płaszcz, pozwolił, by kobieta mu go odwiesiła... Dobrzańska podzieliła się swoimi wątpliwościami i po dokładniej rewizji okazało się, że pod wierzchnią odzieżą rzekomy polski oficer miał niemiecką bluzę mundurową. Był żołnierzem Wehrmachtu i w przebraniu próbował przedostać się do swoich.

Emeryt budowlaniec

Ppłk Michał Karbownicki, bohater czasów wojny, po powrocie do Związku Radzieckiego został zesłany do Kuszki, mieściny w Tadżykistanie. Nie on jeden tego doświadczył. Taki los bardzo często spotykał oficerów radzieckich, którzy służyli w Wojsku Polskim, a po wojnie wrócili do ZSRR. Byli podejrzani, zaznali wszak Zachodu, nawet tego w polskim wydaniu.

Michał Karbownicki rozumiał, że nie tylko droga po wojskowe zaszczyty jest przed nim zamknięta. Nie chciał być w armii dłużej, niż musiał. Kiedy osiągnął odpowiedni wiek, złożył wniosek-raport o emeryturę. Była ona, nawet jak na wojskowego, dość skąpa i aby jakoś żyć, Karbownicki musiał nadal pracować. Zatrudnił się w firmie budowlanej zajmującej się remontem mieszkań. Zmarł po ciężkiej chorobie w 1977 r. Został pochowany na cmentarzu Janowskim we Lwowie, leży w grobie razem z trzecią żoną Alicją, zmarłą we Lwowie w 1996 r.

Dalsze losy Karbownickich

Michał Karbownicki miał trzy żony i trzech synów: Bronisława, Stanisława i Jerzego. Pamięć o ppłk. Karbownickim przetrwała głównie dzięki synowi Stanisława, Janowi.

Jan Karbownicki urodził się w 1976 r. w Krasnodarze w Rosji. Dorastał, mieszkając w tzw. komunałce, gdzie żyło po kilka rodzin, korzystających z jednej łazienki i wspólnej kuchni. Trudna sytuacja materialna Karbownickich wynikała z niechęci ojca Jana do partii komunistycznej. Stanisław, syn bohatera wojennego, był studentem medycyny, ale ze względu na to, co system stalinowski uczynił z jego rodziną, w odróżnieniu od wielu kolegów nie zapisał się do partii. Dlatego praktykę zawodową odbywał w jakimś zapomnianym zakątku Sachalinu, skąd powrócił do Krasnodaru dopiero po kilku latach. W Krasnodarze przez 41 lat pracował jako chirurg onkolog. Mieszkał skromnie, ratując życie licznym pacjentom za skromne państwowe wynagrodzenie.

Jego syn po maturze dostał się na Wydział Prawny Kubańskiego Uniwersytetu Państwowego w Krasnodarze. Jako wykwalifikowany prawnik Jan podjął pracę w milicji w charakterze śledczego wydziału kryminalnego. Morderstwa, kradzieże, narkotyki, prostytucja, oszustwa. Służba była ciężka, często całodobowa i ryzykowna. Po kilku latach, w stopniu kapitana, zakończył pracę w milicji i zatrudnił się w jednej z firm na stanowisku radcy prawnego. Ożenił się, ma żonę Annę i córkę Paulinę.

Jan Karbownicki języka polskiego nauczył się samodzielnie, został aktywnym działaczem organizacji polonijnych. Od 2012 r. należy do Związku Organizacji Polskich Jedność w Rosji, pełniąc obowiązki wiceprezesa. Jest czynnym redaktorem naczelnym portalu Polaków w Rosji oraz członkiem kolegium redakcyjnego pisma Polaków w Rosji „Wiadomości Polskie". W ramach wolontariatu w rodzinnym Krasnodarze prowadził naukę języka polskiego dla początkujących, organizował również liczne spotkania i imprezy polonijne. Pisze artykuły, prowadzi zajęcia z kultury polskiej. Został członkiem Rady Polonijnej przy Ambasadzie RP w Moskwie oraz uczestnikiem Forum Międzynarodowego Mediów Polonijnych.

Od 2019 r. mieszka z rodziną w Warszawie na podstawie karty stałego pobytu. Stara się o obywatelstwo polskie.

I tak po ponad stu latach rodzina Karbownickich powróciła do kraju przodków. Kraju, o który walczył ich dziadek Michał i pradziadek Maksym.

Tomasz Okonek

eprasa.pl ce31bfa68a

Jan Opielka

Test niemożliwego?

Niemcy sprawdzają, jak na człowieka wpłynie fakt, że za samo istnienie dostanie co miesiąc 1,2 tys. euro

Ciekawy to eksperyment. Niemieccy badacze starają się dowiedzieć, w jaki sposób bezwarunkowy dochód podstawowy (BDP) wpłynie na ludzi, na ich zachowania i na to, jak będą postrzegać rolę pracy. Koncepcja BDP zakłada, że każdy obywatel powinien mieć prawo otrzymania od państwa stałej kwoty niezbędnej do życia. Gdy więc w sierpniu br. ogłoszony został projekt i nabór do niego, w zaledwie kilka dni zgłosiło się ponad milion zainteresowanych. Chcieli wziąć udział w eksperymencie, podczas którego przez trzy lata otrzymają miesięcznie 1,2 tys. euro – bez żadnych warunków, po prostu za bycie człowiekiem i mieszkańcem kraju. Ostatecznie taką kwotę będzie otrzymywało 20 uczestników projektu.

Badacze stawiają pytania: jak gwarantowane minimum egzystencji zmieni nasze postrzeganie siebie i działanie, czy można odejść od prymatu i przymusu pracy zarobkowej? A jeśli tak, to czy spowoduje to zaangażowanie się w sferę społeczną, międzyludzką, artystyczną?

Pomysł wprowadzenia bezwarunkowego dochodu podstawowego popiera dziś co drugi mieszkaniec Niemiec. Jednocześnie 80% pytanych jest za tym, aby nie był on tak całkowicie bezwarunkowy – i żeby bogaci nie mieli dostępu do tego świadczenia. Więc jak to jest? I jak ma być?

Bez żadnych ograniczeń

W głośnym projekcie, pilotowanym przez stowarzyszenie Mein Grundeinkommen (Mój Dochód Podstawowy), nie ma żadnych ograniczeń co do uczestnictwa (trzeba mieć 18 lat i mieszkać w Niemczech). Aby wykluczyć jakikolwiek wpływ na wynik badań, całość wypłacanych kwot pochodzi z drobnych darowizn osób prywatnych. Dotychczas projekt wsparło prawie 150 tys. osób. W jego realizacji stowarzyszenie współpracuje z Niemieckim Instytutem Badań nad Gospodarką (DIW) oraz renomowanym Instytutem im. Maxa Plancka ds. Badań nad Dobrami Wspólnymi. Jednym z pomysłodawców projektu i twarzą stowarzyszenia jest Michael Bohmeyer. „Po raz pierwszy w historii badamy BDP w jego radykalnej wersji: to znaczy kompletnie bezwarunkowej. Dotychczas w tej kwestii dominuje raczej wiara i ideologia, mówi się bądź o lenistwie wskutek darmowych pieniędzy, bądź o nadziei na godne życie. My chcemy to zastąpić wiedzą o BDP", powiedział w jednym z wywiadów telewizyjnych. Dlatego badane będą nie tylko zmieniające się warunki zewnętrzne życia uczestników, ale i stan ich psychiki. Pobierane będą nawet próbki włosów, aby zmierzyć zmiany poziomu stresu. Sam Bohmeyer jest współwłaścicielem firmy IT, a z tego tytułu czerpie regularną dywidendę. Jak mówi, to jego osobisty dochód podstawowy i to go naprowadziło na pomysł powszechnego BDP. Oraz projektu badawczego.

Trzy lata, podczas których uczestnicy będą regularnie badani, to sporo czasu – wystarczająco, aby do świadczenia się przyzwyczaić. A w 2024 r., gdy pierwsza faza eksperymentu się skończy, sytuacja społeczno-ekonomiczna i tak będzie już inna. Bo niezależnie od wyników projektu pomysł wprowadzenia świadczeń gwarantowanych – po raz pierwszy wyrażony już w latach 50. i 60. – nie przez

eprasa.pl ce31bfa68a

przypadek właśnie obecnie szybko zyskuje zwolenników. Doświadczamy powszechnej automatyzacji procesów produkcji i usług, likwiduje się miejsca pracy szczególnie w przemyśle, a roboty, komputery i algorytmy zastępują ludzi – czy to w produkcji maszyn, czy w kierowaniu samochodami, nawet w tworzeniu treści dziennikarskich. Z szacunków i badań wynika, że postępująca cyfryzacja i rozwój sztucznej inteligencji w bliskiej przyszłości przyczynią się do zniknięcia ponad połowy dzisiejszych miejsc pracy. Analiza McKinsey Global Institute po głębszym badaniu w 2017 r. prognozowała zniknięcie już do 2030 r. ok. 800 mln miejsc pracy. Choć jednocześnie autorzy raportu liczą na to, że powstaną zawody i zadania, których dziś jeszcze nie ma.

Obowiązek obywatelski zamiast pracy

BDP ma na świecie wielu zwolenników, od miliardera Elona Muska, rewolucjonizującego przemysł samochodowy i wyprawy w kosmos, po greckiego polityka Janisa Warufakisa, współtworzącego paneuropejską lewicę. Podczas gdy jedni widzą w dochodzie podstawowym sposób na to, aby zapobiec przyszłym rozruchom wywołanym przez miliony bezrobotnych i zepchniętych na margines ludzi, drudzy dostrzegają w nim szansę na radykalną zmianę społeczeństw na lepsze.

Jedną z najbardziej znanych postaci promujących BDP jest w Niemczech Richard David Precht. Według niego istnieją trzy podstawowe możliwości, które będzie mógł wybrać człowiek mający to świadczenie. „Pierwszą jest konsumpcja, drugą rozrywka, a trzecią i najlepszą bogactwo świata wewnętrznego. Można jednak je wspierać jedynie w ramach kompletnie odmienionego systemu edukacyjnego", pisze Precht. Znany filozof i autor książek widzi też niebezpieczeństwa wynikające z braku poczucia obowiązku – dlatego jest za wprowadzeniem obowiązków obywatelskich, m.in. jednorocznej, obowiązkowej służby cywilnej lub socjalnej po ukończeniu szkoły. W jej ramach młodzi ludzie mogliby pracować w szeroko pojętym sektorze usług socjalnych, w domach starców, klubach młodzieżowych itp. Kolejny rok socjalny powinien według niego zostać odpracowany przed rozpoczęciem pracy zawodowej. „Bo nie robimy ludziom przysługi, jeśli zabieramy im obowiązki".

Praca i obowiązki to kluczowe pojęcia w tej dyskusji. Według Silke Bothfeld, profesorki zarządzania politycznego na uniwersytecie w Bremie, BDP ma jednak kilka istotnych wad – a wszystkie wiążą się z jego potencjalnym wpływem na pracę. „W pierwszym rzędzie powinno chodzić o zmianę »złej pracy« na »dobrą pracę«. Na tym tle nierealistyczne jest zniesienie przymusu pracy, jak żądają tego główni zwolennicy BDP – pisze Bothfeld. – Żądanie to składane jest zwykle w imieniu osób, które pracują w rzekomo złych warunkach", to zaś ukazuje paternalistyczne traktowanie tych ludzi. „Nawet z prostych czynności ludzie czerpią społeczne uznanie, czują się potrzebni. Dlatego prawdziwie emancypacyjna polityka musi działać na rzecz emancypacji w pracy, a nie na rzecz wyzwolenia z pracy".

Wszystkim po równo

Przeciwnicy BDP są nie tylko na uczelniach, ale również w polityce. W rządzącej chadecji (CDU) zdecydowanie przeważają głosy przeciwników; według tej partii ustawowa płaca minimalna wystarcza. Kanclerka Angela Merkel już kilka lat temu mówiła, że według niej BDP „to nie jest dobry pomysł", ponieważ jest przeciwieństwem zasady, że „solidarne państwo opiekuńcze pomaga wówczas, gdy jest taka potrzeba". Podobnie sytuacja wygląda w socjaldemokracji (SPD), której jednak bliżej do realizacji jakiejś nowej formy świadczeń. W Berlinie wprowadzono co prawda podstawowy dochód solidarnościowy, ale tu chodzi głównie o dotowanie prac publicznych dla osób bezrobotnych. W samej SPD powstał pomysł tzw. świadczenia obywatelskiego, który jednak daleko odbiega od koncepcji BDP, szczególnie pomysłu bezwarunkowości. Dlatego liderzy SPD w 2019 r. ustalili, że „dochód podstawowy jest błędem".

Najbliżej do pomysłu BDP jest Zielonym – choć to tylko jedna z opcji przy reformowaniu systemu zabezpieczeń społecznych i walki z ubóstwem.

Dalej na lewo, od związków zawodowych po partię Die Linke, słychać liczne głosy sprzeciwu. Wielu obawia się, że wskutek wprowadzenia BDP inne świadczenia socjalne zostałyby zaniechane, a wszyscy obywatele otrzymywaliby tyle samo, mimo że mają skrajnie różne warunki życiowe, a zatem różne potrzeby. Faktycznie koncepcja BDP zakłada, że inne świadczenia (dla bezrobotnych, rodzinne, dodatki mieszkaniowe itd.) zostaną zniesione. W ten sposób, pisze związkowiec i polityk Die Linke Ralf Krämer, BDP mógłby posłużyć przedstawicielom kapitału do zniszczenia fundamentów państwa socjalnego, a nawet prawa pracy. „Z powodu ogromnych sum, które dodatkowo musiałyby być redystrybuowane – w przypadku gdy BDP wynosić będzie 1,2 tys. euro miesięcznie, to jedna trzecia całego dochodu narodowego Niemiec – nie będzie możliwe, aby kapitał i bogaci to sfinansowali. Pod względem polityczno-ekonomicznym i jednocześnie biorąc pod uwagę stosunek sił w kapitalizmie, musimy się raczej obawiać, że kapitaliści wykorzystaliby BDP do rozbicia istniejącego państwa opiekuńczego, praw pracowniczych oraz umów zbiorowych i dalej naciskali na obniżenie płac".

Do udziału w badaniu bezwarunkowego dochodu podstawowego w ciągu kilku dni zgłosiło się ponad milion osób.

Natomiast zwolennicy BDP argumentują, że uwolnienie od przymusu pracy spowodowane gwarantowaną kwotą na życie raczej wzmocni pracowników i pracownice najemne. Jeśli pewne warunki nie będą przez pracodawcę spełniane lub jeśli warunki pracy okażą się karygodne, łatwiej z takiej pracy zrezygnują. Powinni też mniej się obawiać wstąpienia do związków zawodowych tam, gdzie te są dziś przez przedsiębiorstwa gnębione. 1,2 tys. euro wydaje się zatem niebagatelną siłą nacisku na pracodawcę.

Jak będzie? Do 10 listopada zbierane są zgłoszenia. Wyniki badania za ponad trzy lata.

■

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl ce31bfa68a

CZAS SĄDU

Losy nominacji do Sądu Najwyższego zdecydują o przyszłości amerykańskiej demokracji

Mateusz Mazzini

W ostatnich latach jej osoba stała się jednym z najwyrazistszych symboli w amerykańskiej polityce. Choć miejsce w najważniejszej instytucji amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości zajęła już dawno, bo w 1993 r., polityczna reorientacja Stanów Zjednoczonych zmusiła ją do wyjścia na pierwszy plan tamtejszego konfliktu światopoglądowego. Gdy naród wybierał na prezydenta mizoginistycznego, seksistowskiego i pełnego nienawiści do mniejszości celebrytę, ona mimowolnie weszła w rolę jego ideologicznego przeciwieństwa. Dla wielu progresywnych, liberalnych Amerykanów była po odejściu z Białego Domu Baracka Obamy ostatnią postacią, która dawała nadzieję na poszerzenie praw obywatelskich w społeczeństwie. Niektórzy wielbili ją tak bardzo, że utrwalili jej wizerunek w popkulturze – na muralach, koszulkach, w memach czy grafikach masowo udostępnianych w mediach społecznościowych. Film dokumentalny o jej życiu i karierze prawniczej podbił festiwal w Sundance. Jej zdrowie i kondycja stały się obiektem zainteresowania całej amerykańskiej opozycji, do tego stopnia, że plan ćwiczeń przygotowany dla niej przez osobistego trenera z miejsca przerodził się w kanon dbania o formę fizyczną osób starszych.

Ruth Bader Ginsburg, bo o niej mowa, do niedawna samotnie trzymała pochodnię nadziei progresywnej Ameryki.

18 września 2020 r. Ginsburg przegrała walkę z przerzutami wywołanymi przez nowotwór trzustki, na który cierpiała od 2009 r. Jej śmierć miała nie tylko symboliczny charakter. Ci, którzy ją opłakiwali, płakali jednocześnie nad przyszłością Stanów Zjednoczonych. Odejście Ruth Bader Ginsburg oznacza bowiem zmiany w Sądzie Najwyższym – instytucji, która w praktyce ma największy wpływ na życie codzienne Amerykanów i w której zasiada się dożywotnio. Spod sędziowskich młotków jej dziewięcioosobowego składu wyszły najbardziej przełomowe politycznie i społecznie decyzje ostatnich dziesięcioleci, od likwidacji segregacji rasowej po legalizację małżeństw jednopłciowych. Amerykański Sąd Najwyższy jest w ustrojowej architekturze tego kraju dokładnie tym, co obiecuje jego nazwa – ciałem doprawdy najwyższym. Stoi ponad prezydentami, partiami, Kongresem i ideologią. Wyżej jest tylko konstytucja i idea prawa. Problem w tym, że ta ostatnia może być interpretowana na wiele sposobów. Od tego, kto owej interpretacji dokonuje, zależeć będzie przyszłość milionów. Od tego, kto tę osobę wybierze – przyszłość amerykańskiej demokracji.

Zgodnie z prawem kandydatów do Sądu Najwyższego wybiera prezydent, akceptuje ich Kongres. Obie te instytucje znajdują się obecnie w rękach Partii Republikańskiej. Choć demokraci mają większość w Izbie Reprezentantów, jakikolwiek ich sprzeciw wobec konserwatywnej kandydatury wskazanej przez Biały Dom zostanie stłamszony w Senacie, kontrolowanym już przez republikanów. W praktyce oznacza to, że kogokolwiek na miejsce Ruth Bader Ginsburg wskaże Donald Trump, osoba ta zostanie nowym sędzią Sądu Najwyższego. A ponieważ zmarła niedawno prawniczka była jedną z ostatnich liberalnych

Amy Coney Barrett, ultrakatolicka prawniczka, matka siedmiorga dzieci i idolka ruchu pro-life, jest idealną kandydatką na sędzię według konserwatystów.

eprasa.pl ce31bfa68a

postaci w jego składzie, uzupełnienie go przez republikanów oznaczać będzie przewagę konserwatystów w stosunku 6:3.

Kwestią sporną jest w tej chwili nie to, czy im się uda, ale czy powinni w ogóle próbować. Wybory przecież lada moment. Jeśli wierzyć sondażom, za trzy miesiące Ameryka zaprzysięgać będzie nowego prezydenta – przewaga Joe Bidena nad Donaldem Trumpem osiąga już nawet 10 pkt proc. Czy w takim razie obecny główny lokator Białego Domu powinien mieć prawo wprowadzać do Sądu Najwyższego swojego kandydata, skoro legitymizacja jego rządów słabnie, a one same wkrótce mogą stać się przeszłością?

O to właśnie toczy się największa od lat awantura w amerykańskiej polityce. Kiedy bowiem Barack Obama pod koniec swojej drugiej kadencji chciał nominować liberalnego sędziego Merricka Garlanda za hiperkonserwatywnego Antonina Scalię, republikanie podnieśli raban. Uważali, że Obama łamie normy i zwyczaje amerykańskiej państwowości już przez samą próbę nominowania Garlanda. Lindsey Graham, jeden z najbardziej znanych republikańskich senatorów, argumentował wówczas, że w roku wyborczym kandydatów do Sądu Najwyższego w ogóle nie powinno się proponować. Przysięgał nawet publicznie, że zająłby to samo stanowisko, gdyby chodziło o nominata jego opcji politycznej: „Chcę, byście użyli moich własnych słów przeciwko mnie, gdyby do tego doszło".

Jak widać, jedna kadencja prezydencka może zmienić czyjś punkt widzenia. Dzisiaj bowiem Graham, szef senackiej Komisji Sprawiedliwości, robi wszystko, by przepchnąć prezydenckiego kandydata jeszcze przed listopadowymi wyborami. Skonfrontowany z własną wypowiedzią przez dziennikarzy magazynu „Rolling Stone" wzruszył jedynie ramionami i powiedział, że demokraci zrobiliby to samo. W identycznym tonie wypowiadają się niemal wszyscy pozostali senatorowie republikanów. To kluczowe w kontekście parlamentarnej matematyki, bo tylko rozbicie republikańskiej większości w Senacie dałoby jakiekolwiek szanse na zablokowanie albo chociaż przesunięcie w czasie planu Trumpa i Grahama.

Ten pierwszy wybrał już zresztą swojego kandydata, a raczej kandydatkę. Jest nią Amy Coney Barrett, ultrakatolicka prawniczka, była protegowana wspomnianego Antonina Scalii. Podobnie jak jej dawny szef radykalnie sprzeciwia się aborcji, małżeństwom jednopłciowym, znana jest też z niechęci do legislacji federalnych i regulowania pracy przedsiębiorstw. Ten ostatni pogląd sprawia, że trudno będzie po niej się spodziewać przychylności wobec coraz częstszych pozwów wnoszonych przez aktywistów klimatycznych.

Amerykański Sąd Najwyższy stoi ponad prezydentami, partiami, Kongresem i ideologią. Wyżej jest tylko konstytucja i idea prawa.

Przede wszystkim jednak Barrett jest tzw. oryginalistką. Oznacza to, że konstytucję Stanów Zjednoczonych interpretuje literalnie i w kontekście – również społecznym – czasów, w których powstawała, oraz pierwotnych intencji jej twórców. Taka postawa zabija wszelkie marzenia o progresywnych decyzjach sądu z nią w składzie. W XVIII w. nikt nie myślał przecież o zrównaniu praw białych i czarnych, mężczyzn i kobiet, o prawach dzieci czy zwierząt. Oryginalizm jest także niesamowicie ważny dla samego Trumpa, który liberalnych prawników nie lubi, nie ufa im i uważa za uprzywilejowaną kastę. Dlatego Barrett, matka siedmiorga dzieci, idolka amerykańskiego ruchu *pro-life*, jest jego kandydatką idealną. Trudno wyobrazić sobie kogoś bardziej odmiennego od Ruth Bader Ginsburg.

Co w praktyce będzie oznaczać jej wejście do Sądu Najwyższego? Dzięki niej miejsce w historii zyska sam Trump. Barrett byłaby już trzecim wskazanym przez niego sędzią, po zachowawczym Neilu Gorsuchu i kontrowersyjnym, oskarżanym o molestowanie Bretcie Kavanaugh. Więcej – czterech – miał tylko Richard Nixon. Skoro zaś konserwatywni sędziowie zyskają zdecydowaną większość w składzie sądu, nie tylko spadną szanse na kolejne przełomowe wyroki, jak chociażby ten z 2015 r., narzucający wszystkim stanom legalizację małżeństw jednopłciowych. Dużo bardziej niebezpieczna jest perspektywa odwrócenia niektórych tego typu decyzji.

Oryginaliści mogą próbować na nowo zdelegalizować aborcję czy prawnie sankcjonować ograniczanie praw wyborczych. Amerykańska historia zna takie przypadki. Kiedy w 1965 r. Sąd Najwyższy na fali przemian społecznych i ruchu praw obywatelskich likwidował wszystkie bariery stojące przed czarnoskórymi obywatelami próbującymi zarejestrować się do głosowania, optymiści wierzyli, że to ostateczny koniec wyborczej segregacji. W 2013 r., w kontrowersyjnej sprawie Hrabstwo Shelby przeciwko Holderowi, ten sam organ stwierdził jednak, że dwa podpunkty zalegalizowanej wówczas ustawy o prawach wyborczych są niezgodne z konstytucją, więc ograniczenia na Południu mogą wrócić. Tym samym pod względem porządku prawnego Ameryka cofnęła się o pół wieku.

W tym legislacyjnym mroku jest jednak światełko ideologicznej nadziei, parafrazując tytuł eseju Rebecki Solnit. Jak zauważa dr hab. Łukasz Korporowicz z Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego, poglądy sędziów Sądu Najwyższego często ewoluują w trakcie kadencji.

Zmarła niedawno Ruth Bader Ginsburg była jedną z ostatnich liberalnych postaci w składzie Sądu Najwyższego.

„Przewodniczący Sądu Najwyższego, sędzia John Roberts, choć nominowany przez republikańskiego prezydenta George'a W. Busha, w ostatnich latach coraz częściej zbliża się do poglądów sędziów, którzy powołani zostali przez prezydentów z Partii Demokratycznej", podkreśla Korporowicz. Pojawiają się też głosy niezadowolenia wśród republikanów. Przeciwko prezydenckiej nominacji przed wyborami opowiedziały się już dwie senatorki partii: Lisa Murkowski i Susan Collins. To wciąż za mało, by zatrzymać cały proces, ale wystarczająco dużo, by wyrazić sprzeciw. Od czegoś przecież trzeba zacząć. ■

FOT. OLIVIER DOULIERY/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl ce31bfa68a

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Rzymu

Czyszczenie Watykanu

Papież Franciszek skłonił do dymisji kard. Giovanniego Angela Becciu zamieszanego w skandale finansowe w Sekretariacie Stanu

To był grom z jasnego nieba, choć ci, którzy obserwują sprawy watykańskie, spodziewali się już od czerwca, że nowy skandal wybuchnie z dnia na dzień.

W czwartek, 24 września, papież Franciszek przyjął ustąpienie kard. Giovanniego Angela Becciu ze stanowiska prefekta Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych i z przysługujących mu przywilejów kardynalskich. Zgodnie z tym, co udało się ustalić włoskim mediom, decyzja kard. Becciu jest związana z dochodzeniem w sprawie operacji finansowych Sekretariatu Stanu Stolicy Apostolskiej, które rozpoczęło się rok temu i dotyczyło m.in. zakupu przez Watykan za miliony euro luksusowej nieruchomości przy Sloane Avenue w Londynie. Zakup został dokonany w 2013 r., kiedy Becciu pełnił funkcję substytuta do spraw ogólnych w Sekretariacie Stanu, powierzoną mu w 2011 r., jeszcze za czasów Benedykta XVI. Teraz jednak sprawa się rozszerzyła i dotyczy dokumentów, które Massimiliano Coccia, dziennikarz tygodnika „L'Espresso", mógł przejrzeć i na ich podstawie opublikować wyniki dziennikarskiego śledztwa. Tekst „Biznes w Watykanie. Miecz Franciszka na skorumpowanych" ukazał się 25 września w wydaniu online i dwa dni później w druku.

Kard. Giovanni Angelo Becciu został opisany we włoskich mediach jako osoba, która dopuściła się defraudacji i faworyzuje interesy rodziny.

Afera londyńska

Według ustaleń „L'Espresso" były kardynał w okresie działalności w Sekretariacie Stanu „przekierował całą kasę watykańską do byłego bankowca Enrica Crassa z Credit Suisse. Poznał go przy okazji operacji finansowych mających na celu zakup ropy angolskiej, które jednak nie doszły do skutku. Crasso poprzez swoje spółki (Sogenel Holding w Lugano i Azimut) kierował pieniądze watykańskie do funduszy spekulacyjnych w rajach podatkowych, po czym – przebywszy bardzo długą drogę – wracały one do kas watykańskich, przynosząc jednak bardzo skromne profity". Cała akcja nie była nielegalna. Zbyt skomplikowana i za mało zyskowna była jednak droga olbrzymich sum, aby ktoś w końcu nie zapytał, o co w tym wszystkim chodzi.

Już pod koniec ubiegłego roku włoskie media pisały o Funduszu Centurion z siedzibą na Malcie; według wiarygodnych źródeł przynajmniej dwie trzecie powierzonych mu pieniędzy pochodziło z Sekretariatu Stanu, czyli najważniejszego i najbliższego papieżowi Franciszkowi departamentu watykańskiego. Funduszem zarządzał właśnie 71-letni Włoch Enrico Crasso, właściciel Sogenel Holding, który był punktem odniesienia dla wielu transakcji finansowych prowadzonych przez lata przez Watykan. Zarządzał on pośrednio tzw. skarbem Stolicy Apostolskiej, który szacowano wtedy na 650-700 mln euro. Jak podały włoskie media, pieniądze z Funduszu Centurion zainwestowano m.in. w wodę mineralną Aqua Pejo i Goccia di Carnia, w holding Italia Independent Group należący do Lapo Elkanna, a także w produkcję filmu o Eltonie Johnie.

W czerwcu br. wybuchła „afera londyńska" dotycząca nieruchomości, w którą – jak wtedy pisała włoska prasa – Watykan miał zainwestować miliony euro z pieniędzy pochodzących również ze świętopietrza, czyli zbieranych na tacę we wszystkich kościołach świata 29 czerwca i przeznaczonych bezpośrednio na działalność charytatywną Ojca Świętego. Gianluigi Torzi, włoski finansista i broker pracujący w Londynie, wyznaczony do zawarcia umowy kupna nieruchomości, a także do zarządzania nią, został wezwany do Watykanu na przesłuchanie w ramach prowadzonego śledztwa i aresztowany. Postawiono mu zarzuty sprzeniewierzenia, oszustwa, wymuszenia i prania pieniędzy. Wypuszczono go z watykańskiego aresztu po kilku dniach, gdy zaczął współpracować z papieskim wymiarem sprawiedliwości, reprezentowanym przez promotora sprawiedliwości Gian Piera Milana i jego zastępcę Alessandra Diddiego. O podejrzanych operacjach watykańskich związanych

eprasa.pl ce31bfa68a

z inwestycjami w nieruchomości za granicą zrobiło się głośno już w październiku ub.r. Do tej pory jednak cała sprawa nie jest jasna.

Tygodnik „L'Espresso" napisał, że Enrico Crasso przedstawił kard. Becciu włoskiego biznesmena Lorenza Vangelistiego, dyrektora generalnego Gruppo Valeur, który wraz ze wspólnikiem Alessandrem Nocetim jest bohaterem skandalu wokół budynku przy Sloane Avenue w Londynie. Za tę prestiżową nieruchomość w 2013 r. zapłacono 160 mln dol. Były doradca finansowy Gruppo Valeur, który rozmawiał z dziennikarzem „L'Espresso", wyjaśnił, jak spółka pozwoliła na tranzyt watykańskich pieniędzy. Wyjawił, że była to jedna z wielu inwestycji, które Stolica Apostolska przeprowadziła nieudolnie, tracąc wiele milionów euro.

Pieniądze watykańskie trafiały do funduszy spekulacyjnych w rajach podatkowych.

Rodzinne biznesy kardynała

To nie wszystko. Według doniesień „L'Espresso" (które ukazały się, przypomnijmy, dopiero dzień po dymisji Becciu) kardynał miał wykorzystać część pieniędzy pochodzących ze świętopietrza oraz podatków, jakie Włosi dobrowolnie przekazują na Kościół, przekierowując je do spółdzielni lub firm zarządzanych lub należących do jego trzech braci. Jak wynika z dokumentów, do których miał dostęp tygodnik, Becciu w roli substytuta do spraw ogólnych w Sekretariacie Stanu dwukrotnie zwrócił się do Konferencji Episkopatu Włoch i uzyskał dofinansowanie dla działającej z ramienia Caritasu w Ozieri na Sardynii spółdzielni SPES, której właścicielem jest brat byłego kardynała, Antonino. Spółdzielnia dzięki pośrednictwu hierarchy miała otrzymać 300 tys. euro w 2013 r. i kolejne 300 tys. w roku 2015 w formie bezzwrotnych pożyczek. Pieniądze te pochodziły ze świętopietrza. Prośba o trzecie dofinansowanie w wysokości 100 tys. euro została skierowana do Episkopatu Włoch dwa lata temu, a pieniądze miały zostać przeznaczone na przyjęcie imigrantów.

Tygodnik „L'Espresso" ujawnił również, że gdy Becciu był nuncjuszem apostolskim w Angoli i na Kubie, zlecił drugiemu bratu, Francescowi, który jest właścicielem stolarni, modernizację i wystrój kilku kościołów w tych odległych krajach. Becciu rzekomo wykorzystał też fundusze Watykanu, aby sprzyjać spółce Angel's, której trzeci brat, Mario Becciu, profesor psychologii na Uniwersytecie Salezjańskim w Rzymie, jest przedstawicielem prawnym i udziałowcem w 95%. Firma zajmuje się doradztwem oraz dystrybucją żywności i napojów, a także piwa o nazwie Pollicina, rozprowadzanego tylko „w niektórych miejscach i na zamówienie odpowiednio adresowane przez organy kościelne".

Z kolei dziennik „La Repubblica", który również pisał o tej sprawie, ujawnił, że „osoby poinformowane stwierdziły, iż wskazanie zakupu produktów firmy Angel's pochodziło bezpośrednio od kard. Becciu lub od bliskich mu ludzi". Prefekt Giovanni Angelo Becciu został opisany we włoskich mediach jako osoba, która dopuściła się defraudacji i faworyzuje interesy rodziny.

Obrona byłego purpurata

Prawdopodobnie Franciszek, dowiedziawszy się o planowanej publikacji „L'Espresso", poprosił prefekta Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych, którego sam powołał na to stanowisko w 2018 r. i uczynił kardynałem, o podanie się do dymisji i zrzeczenie się prerogatyw. Komunikat zawiadamiający o rezygnacji Becciu został wydany przez watykańskie biuro prasowe 24 września, już po godz. 20, co stanowiło prawdziwy ewenement. Być może papież chciał ubiec włoską prasę i pokazać, że walka z korupcją w Watykanie to prerogatywa jego pontyfikatu.

Giovanni Angelo Becciu początkowo milczał, jednak na konferencji prasowej zwołanej następnego dnia przedstawił swoją linię obrony. Jak napisał katolicki dziennik „Avvenire", były kardynał potwierdził absolutną wierność papieżowi, ale ze spokojną stanowczością odrzucił wszystkie zarzuty. Stwierdził, że nie popełnił defraudacji, gdyż 100 tys. euro ze świętopietrza, które przekazał Caritasowi w diecezji Ozieri, nadal tam jest, ponieważ zostało przeznaczone na projekt wymagający większych nakładów finansowych, co zostało potwierdzone przez biskupa diecezji sardyńskiej, prałata Corrada Melisa, który praktycznie jako jedyny wystąpił w obronie byłego kardynała. Becciu podważał wiarygodność artykułu opublikowanego przez „L'Espresso", mówiąc, że opisano w nim rzeczy nieprawdziwe, co może się zakończyć pozwem, jak doradził mu jego adwokat. Tłumaczył, że przeznaczył pieniądze na pomoc Caritasowi na Sardynii ze względu na zaistniałą tam trudną sytuację wynikłą z bezrobocia. Wyjaśnił, że gdy był nuncjuszem w Angoli i na Kubie, poprosił brata, by przysłał mu parę drzwi do kościołów, gdyż w tamtych krajach nie było ani odpowiedniego drewna, ani wykwalifikowanej siły roboczej. Zaprzeczył, jakoby kiedykolwiek faworyzował zakup jakichkolwiek produktów, a zwłaszcza piwa dystrybuowanego przez firmę trzeciego brata.

Becciu opisał również swoje spotkanie z papieżem, które było już wcześniej zaplanowane w ramach jego funkcji prefekta Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych i podczas którego został poproszony przez Franciszka o dymisję. „Do godz. 18 w czwartek czułem się przyjacielem papieża, wiernym wykonawcą jego woli. Następnie papież powiedział mi, że stracił do mnie zaufanie, gdyż otrzymał raport z magistratury (watykańskiej – przyp. aut.), opierający się na pewnych wskazówkach włoskiej gwardii finansowej, według którego miałbym popełnić defraudację", opowiedział dziennikarzom. Według niego Franciszek był zdenerwowany i było mu przykro. Cała rozmowa

Kard. Becciu miał przekierować część pieniędzy pochodzących ze świętopietrza do spółdzielni lub firm zarządzanych lub należących do jego braci.

FOT. GUGLIELMO MANGIAPANE/REUTERS/FORUM

eprasa.pl ce31bfa68a

trwała dziesięć minut i podczas niej nie poruszono kwestii afery londyńskiej. Pytany o związki z byłym bankowcem Enrikiem Crassem Becciu odpowiedział, że spotykał się z nim raz w roku, a kontakty zawodowe były utrzymywane przez jego personel administracyjny. Jeśli chodzi o dwóch pośredników, Nocetiego i Vangelistiego, były kardynał oświadczył, że nigdy ich nie spotkał. Jego zdaniem stał się ofiarą nieporozumienia, które – ma nadzieję – wkrótce zostanie wyjaśnione.

Nowe watykańskie dochodzenie

Jak w czerwcu br. podała włoska agencja Adnkronos, śledztwo w sprawie niejasnych operacji finansowych prowadzonych przez Sekretariat Stanu Stolicy Apostolskiej rozpoczęło się w październiku ub.r. na wniosek Franciszka, ostrzeżonego przez dyrekcję Instytutu Dzieł Religijnych IOR (instytucji finansowej Watykanu – przyp. aut.). Doprowadziło ono do przeszukania w biurach Sekretariatu Stanu i Urzędu Informacji Finansowej (watykańskiego organu do walki z praniem brudnych pieniędzy i terroryzmem – przyp. aut.), który został powołany przez Benedykta XVI w 2010 r. W ubiegłym roku w związku z tą sprawą Watykan odwołał dwóch ważnych menedżerów i troje pracowników. Byli to prałat Mauro Carlino – świeżo mianowany przez papieża Franciszka na szefa Biura Informacji i Dokumentacji Sekretariatu Stanu, Tommaso Di Ruzza – dyrektor Urzędu Informacji Finansowej (zięć byłego prezesa Banku Włoch Antonia Fazia), a także Vincenzo Mauriello i Fabrizio Tirabassi – protokolanci z biur Sekretariatu Stanu oraz Caterina Sansone – urzędniczka administracyjna Sekretariatu Stanu. Po aresztowaniu w czerwcu br. brokera Gianluigiego Torziego był przesłuchiwany również Enrico Crasso. 15 lipca br. włoska policja, po otrzymaniu nakazu z włoskiej prokuratury, do której wystąpiła magistratura watykańska, dokonała w jednym z rzymskich hoteli przeszukania w pokoju Raffaele Mincionego, włoskiego finansisty i brokera, od którego w 2013 r. były kardynał Becciu zakupił słynną nieruchomość w Londynie.

Najprawdopodobniej w ciągu najbliższych dni lub tygodni wszystkie elementy tej watykańskiej mozaiki trafią na swoje miejsce i dowiemy się, jak naprawdę wyglądała „afera londyńska" oraz inne spekulacje, jakie substytut do spraw ogólnych w Sekretariacie Stanu Stolicy Apostolskiej prowadził w latach 2011-2018. Konsekwencje ich mogą być nieobliczalne, a raczej nieprzeliczalne. Tygodnik „L'Espresso" wspomina o dziurze finansowej astronomicznej wielkości 454 mln euro.

Niektórzy już dziś całą sprawę nazywają aferą Vatileaks 3, z tą jednak różnicą, że po raz pierwszy opiera się ona nie na dokumentach, które wyciekły z Watykanu, ale na wewnętrznym dochodzeniu watykańskim przeprowadzonym z woli papieża. To postęp. Prędzej jednak wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, niż skandale finansowe zakończą się w Watykanie.

Agnieszka Zakrzewicz

eprasa.pl ce31bfa68a

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Rekonstrukcja rządu przyniosła redukcję resortów, za to ich nazwy rozrosły się ponad miarę. Takie Ministerstwo Kultury, Dziewictwa Narodowego i Sportu – czyż nie łatwiej byłoby je nazwać po prostu Ministerstwem Kultury Fizycznej? Pan Gliński od początku prezentował na swoim stanowisku maniery i kompetencje wuefisty, teraz wreszcie dostała mu się stosowna działka. Tylko że on jest z tych wuefistów upierdliwych, którzy zamiast pozwolić chłopakom grać w gałę na każdej lekcji, każą ćwiczyć układy gimnastyczne do akademii na cześć i ku chwale. Tak czy owak, w polskiej piłce, która jest prawdziwą królową kibicowskich pragnień, spieprzyć już niczego bardziej się nie da – Gliński trafia na grunt zaorany, może go najwyżej udeptywać, niczego bardziej nie zepsuje. Być może powinien popracować nad dziennikarzami działów sportowych i także z nich uczynić sekcję propagandową, która zajmie się mentalem kibicowskim, tak żebyśmy zaczęli wreszcie czerpać dumę z odniesionych porażek, czytaj: poniesionych zwycięstw moralnych. Ministerstwo Kultury Fizycznej powinno stworzyć akademię resentymentu pod hasłem „Nikt nie zwycięża tak, jak my przegrywamy" – by świat zaczął nam zazdrościć tego, jak umiemy się cieszyć z klęsk. Symbolem doskonałości niech pozostanie wynik 1:27.

Tymczasem nominacja katolskiego taliba na szefa superresortu szkolnictwa jest klasycznym dla strategii kaczorka przejechaniem kijem po prętach klatki; skupia zainteresowanie i słuszny gniew, po to by odwrócić uwagę od innych łajdactw, cichcem dokonywanych. Zapewne to również gest w stronę radykałów, skoro projektowana „piątka Kaczyńskiego" wzburzyła wieś i sporą część elektoratu rolniczego zraziła bezpowrotnie. Mieszkam na Wiejskiej, w oku cyklonu, przez okno słyszę od niemal dekady każdą demonstrację pod parlamentem i ledwie co przeszedł mi pod balkonem marsz protestacyjny rolników + futerkowców. Znakomicie nagłośniony, bo choć nie zebrało się ich nawet tysiąc, słychać było, jakby sto tysięcy par butów maszerowało żałobnie z Chopinem, a potem darło się z Bogiem („Rota") i Kaczmarskim („Mury"). Biedny ten Kaczmarski, poobijany w grobie, tak musi się w nim przewracać, skoro wszyscy z lewa i prawa wyszarpują sobie bezprawnie jego pieśń. Właściwie biedny po wielekroć, bo i pieśń niezupełnie jego, w dodatku nasz bard wyhodował sobie raka i przepił życie, tymczasem autor prawzoru „Murów", Lluís Llach, wciąż hoduje sobie winogrona w Prioracie i zarabia miliony na winopijcach.

Normalną reakcją obronną wszystkich obywateli, którym status finansowy na to pozwala, powinno być teraz natychmiastowe przeniesienie dziatwy ze szkół państwowych do prywatnych, najlepiej zagranicznych. Niezamożna większość społeczeństwa nie może niczego zrobić, dzieci będą indoktrynowane religijnie i ideologicznie, chowane na wzorowych kaczystów – nieprzesadnie wyedukowanych, za to żarliwych nacjonalistów. I o to przecież właśnie chodzi – żeby społeczeństwo podzielić, i oddzielić, jeszcze bardziej: na wykształconą mniejszość i niedokształconą większość. Rzecz prosta, skoro wszelkie sondaże wskazują, że kaczyzm wybiera dla Polski warstwa wykształcona gorzej, jakiż miałaby mieć władza interes w poprawie jakości szkolnictwa? Im gorzej, tym lepiej. Polska może być biedna, tępa i zajadła, byle była katolicka. Nie zielona, nie tęczowa, lecz brunatna, narodowa.

Czytam właśnie, że wedle Jacka Żakowskiego ta rekonstrukcja rządu oznacza, że wywołana przez PiS wojna klasowa przeszła w fazę wojny domowej: czas narodowego socjalizmu zostanie zastąpiony czasem nacjonalistycznego zamordyzmu. Chleb się kończy, czas na igrzyska. Skądinąd ciekawe, że słowo wojna jest na co dzień używane po wielekroć w mediach – ale w zasadzie nigdy nie dotyczy to konfliktów zbrojnych. Naparzają się tu i tam, teraz znowu w Górskim Karabachu, ale to nie żadna wojna, tylko eskalacja konfliktu. Tam, gdzie ludzie do siebie strzelają, to nie wojna, mamy za to wszędzie wokół wojny symboliczne: kulturową, informatyczną, ekonomiczną, ideologiczną. Pulsująca artyleria, zbombardowane miasta i trupy na ulicach – to nie jest wojna, jak u Magritte'a, gdzie fajka nie jest fajką. Wojna jest wyrazem stabuizowanym jako określenie realnego

„To nie jest wojna"

desygnatu, panoszy się za to w wymiarze metaforycznym. Oficjalnego wypowiedzenia wojny to już chyba nie doczekamy się nigdy, chyba że ze strony rozmaitych watah terrorystycznych, które ochoczo deklarując wojnę, symbolicznie wzmacniają swoją podmiotowość. Wojna przestała być *sexy* – cóż za dramat dla prawicowych mediów.

Obejrzałem sobie właśnie ukraiński dokument „Ziemia jest niebieska jak pomarańcza", głównego laureata tegorocznej edycji festiwalu Millennium Docs Against Gravity. Pokazuje rodzinę bez mężczyzn, żyjącą w donbaskim mieście na linii frontu – tam wojna dawno przestała być medialnie gorąca, teraz tli się podskórnie jak płonące hałdy toksycznych odpadów, ale truje nie mniej niż w 2014 r. To przygnębiająca opowieść o tym, jak ludzka zdolność asymilacji pozwala przywyknąć do wojny jak do naturalnego zjawiska przyrodniczego: matka nie wyjechała w porę, teraz ma do siebie żal, że skazała dzieciaki na dorastanie w strachu. Gdzieś tam w tunelu świeci się światełko, bo córka dostaje się na studia filmowe, prawdopodobnie właśnie z puli stypendium socjalnego dla pokrzywdzonych przez wojnę. Najbardziej świadoma z całego rodzeństwa, robi film o swojej okolicy. Mówi, że wojna to dla niej pustka i złowieszcza cisza – mówi o miejscach, w których wcześniej było gwarno, a nagle ucichły, ale w domyśle wiemy, że to omowność wydrążenia psychicznego. Wojna psuje regulator dźwięku – zamiast umiarkowanego gwaru jest tylko kontrast ciszy przestraszonych ludzi i morderczego hałasu wybuchów.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ce31bfa68a

Rewolucja (nie) jeździ metrem

Komunikacja miejska stała się zarzewiem największego współczesnego konfliktu społecznego w Chile

Daniel Brusiło
Korespondencja z Chile

Metro w Santiago, stolicy Chile, należy do najnowocześniejszych systemów transportu miejskiego w Ameryce Południowej. Wszechobecny metal odbija się w szklanych barierach oddzielających perony, a betonowymi korytarzami każdego dnia przechodzą dziesiątki tysięcy mieszkańców miasta. Jazda czerwonymi wagonikami wydawała mi się nadzwyczaj komfortowa, miałem bowiem w pamięci klejące się masy ludzkie w metrze w Meksyku. Wtedy jeszcze nie zwracałem uwagi na to, że poruszam się głównie po ścisłym centrum. Moją ciekawość przykuwał jeden szczegół – dlaczego nie zatrzymujemy się na niektórych nieoświetlonych stacjach? Później dowiedziałem się, że niedziałające stacje widma zostały zdemolowane i podpalone w niedawnych zamieszkach. Dlaczego te neutralne, zdawałoby się, obiekty użyteczności publicznej, służące tysiącom ludzi, stały się celem ataku?

Unikaj

Od października ub.r. w Chile mają miejsce największe protesty od czasu zrzucenia jarzma wojskowej dyktatury i powrotu demokracji w 1990 r. Przez wszystkie miasta w kraju przelała się fala brutalnie tłumionych manifestacji, w których obywatele domagali się zmiany konstytucji wprowadzonej przez Augusta Pinocheta w 1980 r. Dokument, spisany we współpracy z grupą młodych ekonomistów wykształconych w USA pod okiem Miltona Friedmana, spowodował minimalizację wydatków publicznych, otwarcie krajowego rynku dla zagranicznych korporacji czy zniesienie kontroli cen. Najważniejszym założeniem neoliberalnego, wolnorynkowego eksperymentu, jakim stała się chilijska gospodarka, była powszechna prywatyzacja, na której ucierpiały służba zdrowia, system emerytalny oraz bankowy, edukacja czy transport. Kontynuowanie tej polityki po upadku dyktatury generałów sprawiło, że społeczeństwo chilijskie jest dzisiaj jednym z najbardziej nierównych pod względem przychodu. 10% najbogatszych Chilijczyków skupia w swoich rękach 65% bogactwa kraju, podczas gdy biedniejsza połowa ludności kumuluje jedynie 2,1% tegoż majątku. Niemal każdy ma kredyt w banku, zaciągnięty na pobyt w szpitalu, kontynuowanie edukacji na prywatnych uczelniach czy opłacanie wysokich kosztów życia. Zadłużenie średniego gospodarstwa domowego w 2019 r. wyniosło 74,9% – przeciętnie 7,5 z każdych zarobionych 10 pesos służy spłacie długu w prywatnych bankach. Doprowadziło to do sytuacji, w której głównym beneficjentem systemu gospodarczego jest wąska grupa polityków i przedsiębiorców, zwanych tu *pirañas*. Większość społeczeństwa pogrąża się w biedzie.

> Chilijskie społeczeństwo jest jednym z najbardziej nierównych pod względem przychodu.

Protesty wybuchły po podniesieniu o 30 pesos – ok. 15 gr – cen na przejazdy metrem w Santiago. Najpierw uczniowie i studenci zapoczątkowali akcję masowego niepłacenia za przejazdy komunikacją miejską – *evade* (unikaj), ale w ciągu kilku dni konflikt przerodził się w masowe zamieszki na terenie całego kraju. W największych miastach Chile prezydent Sebastián Piñera wprowadził godzinę policyjną, do pilnowania porządku na ulicach skierowano wojsko. Codziennością stały się starcia manifestantów z oddziałami prewencji. Ponad 30 osób poniosło śmierć, tysiące zostało rannych, ponad 300 osób straciło oko w wyniku postrzału z policyjnej broni gładkolufowej.

Wysoki komisarz Narodów Zjednoczonych ds. praw człowieka w raporcie na temat sytuacji w Chile wskazał liczne przypadki nadużywania siły przez zbrojne oddziały *carabineros* (policji), w tym tortury, gwałty i nielegalne zatrzymania. Jako główną przyczynę wybuchu konfliktu podaje zaś ogromne zróżnicowanie społeczno-ekonomiczne. Manifestanci atakowali banki, demolowali supermarkety, salony samochodowe oraz stacje komunikacji miejskiej, utożsamiane z wyzyskiem obywateli przez warstwy rządzące. Do końca lutego w Santiago tłum zniszczył 118 spośród wszystkich 136 stacji metra – 18 zostało częściowo uszkodzonych przez ogień, siedem zaś spłonęło doszczętnie. Spalono także siedem pociągów, a ogólne straty oszacowano na 376 mln dol.

Wieczny tłok

Co sprawiło, że akurat metro stało się miejscem wielowarstwowego konfliktu, który trawi chilijskie społeczeństwo? Aby znaleźć odpowiedź na to pytanie, należy się cofnąć do lat 30. XX w., kiedy rozpoczęła się wzmożona urbanizacja największych miast kontynentu: Santiago, São Paulo czy Buenos Aires. Populacja stolicy Chile rosła w tym czasie w tempie 4-5% rocznie i był to rozwój, nad którym rząd nie do końca zapanował. Postępująca w kolejnych dekadach koncentracja kapitału i nowych miejsc pracy w centrum miasta powodowała, że biedniejsi mieszkańcy przenoszeni byli na coraz dalsze peryferie. Nowe dzielnice nie powstawały dzięki szerzej zakrojonemu planowi urbanizacyjnemu, lecz rozlewały się po przedmieściach Santiago. Dziś są to najczęściej

eprasa.pl ce31bfa68a

Przyczyną protestów są ogromne nierówności społeczne.

osiedla o małej gęstości zaludnienia, zamieszkane przez osoby o niskim statusie społecznym. Położone są przeważnie w dużej, nawet kilkudziesięciokilometrowej odległości od centrum, w którym skoncentrowane są usługi i miejsca pracy. A to wymusza codzienne korzystanie z samochodu lub komunikacji miejskiej.

Juan Carlos Muñoz, dyrektor Centrum Zrównoważonego Rozwoju Miejskiego w Santiago, podkreśla, że chilijska stolica zbudowana jest na kształt neofeudalny. Poszczególne dzielnice reprezentują określony status majątkowy ich mieszkańców. Bliżej centrum położone są *barrios altos*, czyli dzielnice bogatych obywateli. Ci mają własne samochody, a bliskość miejsc pracy pozwala także na korzystanie z rowerów lub spacery. Oprócz transportu miejskiego mają do dyspozycji hulajnogi elektryczne, rowery miejskie czy wypożyczalnie aut na godziny. Mieszkańcy *barrios bajos*, czyli biednych, położonych na dalekich przedmieściach osiedli, są skazani na codzienne korzystanie z zatłoczonego metra i wiekowych, wiecznie spóźnionych autobusów.

Segregacja przestrzeni

Wolnorynkowy system gospodarczy sprawia, że większość inwestycji poprawiających jakość transportu powstaje w centrum miasta i w bogatych *barrios altos*. Plany modernizacji przestarzałej sieci nie obejmują natomiast ubogich, peryferyjnych dzielnic, przez co komunikacja zbiorowa jest odbierana przez prekariat miejski, stanowiący zdecydowaną większość jej użytkowników, jako kolejne narzędzie wyzysku, pogłębiające segregację ekonomiczną w obrębie miasta. Transport jest drugim wydatkiem w chilijskim gospodarstwie domowym i stanowi 17% budżetu przeciętnej rodziny, wyprzedzając koszty utrzymania mieszkania (14,3%). Jeżeli weźmie się pod uwagę niskie średnie zarobki (wypłata połowy zatrudnionych nie przekracza 400 tys. pesos, ok. 2 tys. zł), wysokie opłaty za korzystanie z komunikacji miejskiej (koszt jednego biletu to 800 pesos – ok. 4 zł) oraz niską jakość świadczonych usług, nie dziwi fakt, że kolejna podwyżka cen za przejazdy metrem podziałała niczym iskra wpadająca do beczki z prochem. Powrót do demokracji nie tylko nie przekreślił neoliberalnej spuścizny generałów, lecz nawet rozwinął ją do tego stopnia, że społeczeństwo chilijskie zmuszone zostało do powiedzenia „dość!" i wyjścia na ulice.

Juan Carlos Muñoz podkreśla, że chilijski rząd jest dobry w pobieraniu podatków, gorzej z ich późniejszą sprawiedliwą redystrybucją. Rozwiązaniem problemu może być tworzenie takich planów zagospodarowania przestrzennego, które skończą z widoczną dziś segregacją socjoprzestrzenną. Przestrzeni miejskiej potrzebna jest różnorodność i demokratyzacja, a nie postępująca polaryzacja utrwalająca podziały społeczno-ekonomiczne. Należy stawiać na lokalny rozwój dzielnic: dywersyfikować metody transportu miejskiego i zastąpić monokultury strefami o charakterze mieszanym. Niezbędne będą także inwestycje w transport miejski, lecz w miejscach, gdzie faktycznie jest on jedyną opcją, a nie kolejną z wielu możliwości.

Szansą na zmianę jest zaplanowane na 25 października referendum konstytucyjne. Pandemia koronawirusa sprawiła, że uliczne walki zmieniły charakter – nowym punktem zapalnym w Santiago stał się głód spowodowany biedą i wprowadzonym w połowie marca 2020 r. lockdownem, który odciął tysiące mieszkańców od źródeł dochodu. Przez przymusowe zamknięcie i totalną kwarantannę, której podlega dziś stolica Chile, front starć przeniósł się z ulic do internetu. Jak pokazują konta znajomych Chilijczyków w mediach społecznościowych, opór przeciwko zakłamaniu i hipokryzji rządzących rośnie z każdym dniem. Mieszkańcom pozostaje zatem dalsza walka lub, jak to zaproponował minister ekonomii Juan Andrés Fontaine, wystarczy wstawać wcześniej i korzystać ze zniżek przysługujących podróżującym metrem pomiędzy godz. 6 i 7 rano. ■

Do końca lutego w Santiago tłum zniszczył 118 spośród wszystkich 136 stacji metra.

FOT. DANIEL BRUSILO

eprasa.pl ce31bfa68a

Nicolas Sarkozy

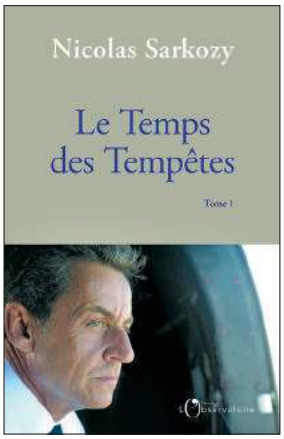

Czas burz

Polska była rządzona przez bliźniaków Kaczyńskich. Osobistości dziwaczne, a pod pewnymi względami nie z tego świata

Musiałem pilnie ruszyć w pielgrzymkę po Europie, by przekonywać do konieczności i możliwości zawarcia uproszczonego traktatu (w 2007 r. prezydent Francji Nicolas Sarkozy w sytuacji pata z przyjęciem konstytucji Unii Europejskiej wystąpił z pomysłem uproszczonego traktatu – przyp. red.). Tym razem miałem przed sobą wyjątkowo trudne zadanie, ponieważ chodziło o etap w Warszawie. Polska jest wielkim europejskim krajem o liczbie ludności niemal takiej jak Hiszpania, czyli prawie 40 mln. Znaczy zatem wiele, nawet jeśli Polacy nie mają żadnego doświadczenia „europejskiego" kompromisu. Ich często tragiczna historia sprawiła, że z reguły są trudnymi rozmówcami. By rzecz nazwać po imieniu: w kwestii zapewnienia bezpieczeństwa Polacy większym zaufaniem darzyli Amerykanów (i robią tak nadal). I szczerze mówiąc, trudno uznać, że zupełnie nie mają racji. Przed kilkoma laty stało się to zresztą powodem głośnego starcia z Jakiem Chirakiem, który potraktował ich jako „źle wychowanych", gdyż woleli zakupić bojowy samolot amerykański zamiast naszego. Udając się do Warszawy, miałem w głowie ten incydent. Moje zadanie było tym bardziej utrudnione, że w tym momencie Polska była rządzona przez bliźniaków Kaczyńskich. Osobistości dziwaczne, a pod pewnymi względami nie z tego świata. W szczególności chlubili się głośno tym, że nie posiadali ani książeczki czekowej, ani karty kredytowej. To wystarczy, by wiedzieć, do jakiego stopnia byli przeciwnikami wszelkich nowości!

Z dwójki braci jeden był dominujący, a drugi – zdominowany. A ponieważ urządzili się tak, że byli premierem i prezydentem, trzeba było negocjować z oboma bliźniakami. Podporządkowany był prezydentem, dominujący zaś premierem. Nie ułatwiało to sprawy, gdyż zgodnie z obowiązującym protokołem dyskutować powinienem z tym pierwszym. Tymczasem prezydent Lech Kaczyński nigdy nie podejmował decyzji bez konsultacji z bratem – premierem Jarosławem Kaczyńskim. Jednak podczas spotkań na szczycie i międzynarodowych konferencji to polski prezydent reprezentował swój kraj. Całe godziny podczas przerw w posiedzeniach musiałem poświęcać na rozmowy z premierem Polski, który pozostawał w kraju. Było to oryginalne, komiczne, chwilami śmieszne. Ale trzeba było iść tą drogą, ponieważ uproszczony traktat powinien być przyjęty jednogłośnie. Zgoda Polski była zatem niezbędna. Na rezygnację z niej nie mogłem sobie pozwolić. Co więcej, Polacy bardzo zręcznie skupili wokół siebie grupę krajów Wschodu, aby pogłębić współpracę i wzmocnić możliwości swojego wpływu.

Bracia Kaczyńscy, podobnie jak ich partia i większość Polaków, byli nader powściągliwi w kwestii jakiejkolwiek możliwości zacieśnienia więzów europejskich. Zdecydowanie opowiadali się za przynależnością do klubu Europa, co mimo wszystko zapewniało im pewne bezpieczeństwo wobec Rosji,

Od lewej: przewodnicząca Rady Krajowej UP Elżbieta Zakrzewska, Danuta Polak, laureat Przemysław Talkowski i przewodniczący Unii Pracy Waldemar Witkowski.

ZA DZIENNIKARSKĄ NIEZALEŻNOŚĆ I SPOŁECZNĄ WRAŻLIWOŚĆ

Kolejnym laureatem Nagrody im. Aleksandra Małachowskiego przyznawanej przez Unię Pracy został Przemysław Talkowski. Od prawie 10 lat prowadzi on w niedzielę na antenie Polsatu i Polsat News program „Państwo w państwie". Każde wydanie to kolejny, rzetelnie udokumentowany reportaż o naruszaniu prawa przez urzędników.

Przewodniczący Unii Pracy Waldemar Witkowski, wręczając laureatowi w imieniu Kapituły statuetkę, podkreślił, że nagrodę przyznaje się „za niezależność dziennikarską i stanie po stronie obywateli w walce z bezdusznością urzędniczą i sądową".

To drugie w tym roku zawodowe wyróżnienie red. Talkowskiego. Za wrażliwość na problemy społeczne oraz promowanie postaw obywatelskich otrzymał także Złotego Prusa, prestiżową nagrodę Stowarzyszenia Dziennikarzy RP.

W poprzednich latach laureatami Nagrody im. Aleksandra Małachowskiego zostali m.in: Jacek Żakowski, Rafał Woś, Monika Olejnik i Robert Walenciak. *AM*

eprasa.pl ce31bfa68a

Prezydent Nicolas Sarkozy spotkał się 14 czerwca 2007 r. z premierem Jarosławem Kaczyńskim.

ale nie chcieli słyszeć o najmniejszym nawet postępie na drodze do federacji. Nie rezygnowali z naszej szczodrości w kwestii europejskich funduszy strukturalnych. Można by nawet powiedzieć, że byli na nie łasi, ale – przykładowo – zamykanie kopalń zgodnie z zasadami ochrony środowiska przyjętymi wspólnie przez Europę w ogóle nie wchodziło w grę.

Podobnie rzecz się miała z polityką fiskalną, dziedziną, w której zamierzali robić wszystko, co uważali za dobre dla Polski, nie przejmując się w najmniejszym stopniu dumpingiem fiskalnym. Co więcej, polscy przywódcy, nie tylko bracia Kaczyńscy, odnosili się obsesyjnie do Rosji generalnie, a Putina w szczególności. Dla nich to było jasne: znajdowaliśmy się ciągle w stanie zimnej wojny. Nie można zatem okazywać bodaj najmniejszego zaufania ich wielkiemu sąsiadowi i jego prezydentowi.

Z tego punktu widzenia Europa nigdy nie była wystarczająco silna, stanowcza, agresywna. Żądali zatem głośno solidarności Europejczyków w tej kwestii. Tutaj Europy było za mało. Wszędzie indziej – było jej zbyt wiele. Wszystkim mającym nadzieję na porozumienie w sprawie uproszczonego traktatu, nieodpowiadającego wielkiej europejskiej ambicji, ale mimo wszystko pozwalającego Unii przejść przez pewną liczbę etapów – rysował się dość ponury obraz. Podczas europejskiego *tournée* musiałem każdorazowo dostosowywać argumentację: jedni – jak Hiszpanie – zarzucali mi chęć cofnięcia Europy, drudzy – jak Polacy – zamiar posuwania się zbyt szybko.

Na szczęście Polska kochała i kocha Francję. Mamy wspólną historię, podczas której często znajdowaliśmy się ramię w ramię. Zostałem więc przyjęty jako przyjaciel z kraju uznawanego za ważnego sojusznika. Owszem, liczyliśmy się mniej niż Amerykanie, ale fakt, że dysponujemy bronią atomową, nie miał w oczach moich rozmówców drugorzędnego znaczenia.

Nie mówili oni w żadnym innym języku poza polskim. Korzystaliśmy więc z usług tłumaczy, co nie ułatwiało nawiązywania bardziej osobistych kontaktów. Rozmówcy wysłuchiwali mnie grzecznie, nawet z uwagą, zadawali pytania i jako szczwani negocjatorzy powstrzymywali się od dostarczania mi nawet najmniejszej wskazówki co do swojej odpowiedzi, odsuwając wyrażenie ostatecznego stanowiska do najbliższego szczytu.

Wszystko było grubymi nićmi szyte. Przygotowywali się do licytacji, doprowadzenia do blokady i oczekiwania, byśmy ustąpili w tym lub innym punkcie, który uznawaliby wówczas za ważny. Robiłem dobrą minę do złej gry. Pocieszałem się tym, że nie posunęli się do publicznego skandalu, czyli natychmiastowej blokady propozycji.

Podróż kończyłem, składając wizytę premierowi. Jego stanowisko było identyczne.

Ten epizod pozwolił mi przynajmniej na kontynuowanie prób przekonywania ostatnich opornych, rezerwując sobie kwestię polską na zakończenie.

„Europejska droga krzyżowa" zatem trwała. Co samo w sobie stanowiło dobrą wiadomość.

Tłum. Andrzej Bilik

Fragment *Czasu burz* (*Le Temps des Tempêtes*), książki byłego prezydenta Francji Nicolasa Sarkozy'ego, wydanej nakładem Éditions de l'Observatoire, która stała się bestsellerem lata we Francji i krajach sąsiednich.

Francuska dziennikarka:
Kim naprawdę jest Viktor Orbán?

35 zł

WWW.SKLEP.TYGODNIKPRZEGLAD.PL

Wpłat 35 zł prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską.
Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł,
paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

E-BOOK tylko 14,90 zł

FOT. EAST NEWS/AFP, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl ce31bfa68a

Horyzont nie taki ciemny

Wyścig szczurów niekoniecznie musi prowadzić do lepszego rozwoju badań naukowych

Marek Czarkowski

Ciemny horyzont

Unijne dotacje ujawniły nędzę polskiej nauki

Lucjan Pawłowski

W artykule „Ciemny horyzont" (PRZEGLĄD nr 34) Marek Czarkowski przedstawił katastrofalny stan nauki polskiej, opierając się na udziale polskich naukowców w grantach unijnych i na rankingu uczelni opublikowanym przez „Timesa" w 2020 r.

Rzeczywiście w tego typu rankingach wypadamy słabo. Są to jednak specyficzne zestawienia, w których o miejscu decyduje nie tylko poziom prowadzonych badań naukowych, ale także zaplecze organizacyjne, a z tym nie jest najlepiej, ponieważ w ostatnim okresie kilku ministrów przeprowadzało głęboką dezorganizację nauki, nazywaną kolejnymi reformami.

Udział w unijnych programach zależy od przedstawionej koncepcji badawczej i pozycji naukowej zespołu aplikującego oraz zbiurokratyzowanego pod względem formalnym wniosku. W latach 2005-2007 byłem członkiem zespołu kwalifikującego granty unijne w obszarze Environment and Sustainable Development (Środowisko i Zrównoważony Rozwój).

W krajach starej Unii zespół naukowy opracowuje jedynie koncepcję badań, a całą formalną stronę wniosku, dość skomplikowaną, przygotowują wyspecjalizowane zespoły. Mój zespół uzyskał finansowanie jednego z projektów tylko dlatego, że nawiązałem współpracę z Francuzami. Przedstawiłem im cel i zakres badań, natomiast cały wniosek został opracowany przez profesjonalny francuski zespół. Przyznam, że mając duże doświadczenie w analizie składanych do naszego zespołu wniosków, miałbym trudności z porządnym przygotowaniem wniosku pod względem formalnym.

Miejsce w rankingach takich jak „Timesa" czy szanghajski również wymaga odpowiedniego przygotowania wniosku, a z tym nie jest u nas najlepiej.

W ocenie działalności naukowej dość powszechnie przyjmuje się liczbę opublikowanych prac jako miarę aktywności naukowej i liczbę cytowań jako miarę jakości publikacji. Traktując łącznie wszystkie dyscypliny naukowe, Polska zajmuje pod względem opublikowanych prac 17. miejsce w świecie i drugie po Rosji w Europie Wschodniej. W zakresie liczby cytowań 21. miejsce w świecie i drugie w Europie Wschodniej. Najwyżej plasują się polscy chemicy, a poszczególne dyscypliny zajmują następujące pozycje:

Dyscyplina	Pozycja pod względem opublikowanych prac		Pozycja pod względem liczby cytowań	
	Świat	Europa Wschodnia	Świat	Europa Wschodnia
Chemia	16	2	17	2
Nauki inżynierskie	17	2	23	2
Inżynieria środowiska	17	1	22	1
Matematyka	16	1	22	2
Nauki medyczne	21	2	20	1
Inżynieria materiałowa	15	2	17	2
Nauki artystyczne i humanistyczne	13	2	29	2

Przy jednym z najniższych poziomów finansowania badań naukowych polska nauka funkcjonuje całkiem przyzwoicie.

Jak widać, polska nauka funkcjonuje całkiem przyzwoicie, tym bardziej że jest znacznie słabiej od innych finansowana.

Jednym z parametrów charakteryzujących finansowanie badań naukowych jest procent PKB, jaki państwo przeznacza na naukę. Najwięcej wydają Izrael (5%) i Korea Południowa (4,8%), z krajów europejskich: Szwecja (3,3%) i Dania (3,1%). Natomiast z krajów Europy Wschodniej najwięcej przeznaczają na naukę Słowenia (1,9%), Czechy (1,9%) i Węgry (1,6%); średnia dla Unii Europejskiej to 1,36% PKB. Polska spośród 28 krajów Unii w 2017 r. zajęła 20. miejsce, przeznaczając na badania 1,03% PKB.

Przy jednym z najniższych poziomów finansowania badań polscy naukowcy zajmują więc całkiem przyzwoitą pozycję zarówno pod względem aktywności mierzonej liczbą publikacji, jak i jakości tych publikacji mierzonej liczbą cytowań.

Truizmem jest twierdzenie, że o przyszłości Polski zadecydują absolwenci uczelni, zdolni do wydajnej, twórczej pracy i w gospodarce, i w administracji państwowej oraz samorządowej. Użyłem określenia twórcza praca, bo szybko zmieniające się, o rosnącej złożoności stanowiska pracy wymagać będą pracowników twórczych, z inwencją, gdyż tylko tacy, a nie odtwórczy wyrobnicy, mogą nawiązać kontakt z błyskawicznie rozwijającą się technologią. Jestem przekonany, że twórczego podejścia do pracy może nauczyć tylko nauczyciel akademicki, który sam uprawia twórczość weryfikowaną na forum międzynarodowym poprzez publikację prac w czasopismach międzynarodowych. Poddanie publikowanych prac pod osąd środowiska międzynarodowego gwarantuje, że zawierają one elementy nowości naukowej.

Szkoda, że w wypadku awansów naukowych nie ustalono jednoznacznego kryterium minimalnej liczby prac opublikowanych

eprasa.pl ce31bfa68a

w międzynarodowych czasopismach, poniżej której uzyskanie poszczególnych stopni w karierze byłoby niemożliwe. Brak takiego jasnego kryterium powoduje, że wymagania co do jakości dorobku naukowego znacznie różnią się w zależności od sekcji Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów.

Ostatnio przedstawiciele dużych uczelni, w wyścigu do skromnych środków przeznaczanych przez państwo na uniwersytety, starają się przeforsować zasadę uniwersytetów flagowych. Ich wprowadzenie oznaczałoby marginalizację uczelni mniejszych, odgrywających istotną rolę w rozwoju kulturalnym i gospodarczym mniejszych miast. Marginalizacja regionalnych ośrodków akademickich z pewnością spowolni rozwój poszczególnych regionów Polski. Pojawia się retoryczne pytanie, czy chodzi o to, aby niedorozwój całych regionów był dziedziczny.

Drugim modnym ostatnio zawołaniem jest wzywanie do konkurencyjności jako sposobu na jakość. Autorzy tej koncepcji chyba nie zetknęli się z badaniami prowadzonymi na wysokim poziomie międzynarodowym. W tych badaniach niezbędna jest współpraca dużej liczby zespołów z wielu krajów. Konkurencja jest zaprzeczeniem współpracy – wymaga zachowania tajemnicy, aby wypaść lepiej. Nauka to ciągłe rozpoznawanie nieznanego, tu znaczenie ma swobodna wymiana informacji na temat nawet wstępnych koncepcji.

Aby prowadzić badania na wysokim poziomie międzynarodowym, niezbędna jest współpraca dużej liczby zespołów z wielu krajów.

Przed laty, współpracując z biurem projektów BIPROWOD, pracowałem nad nowymi technologiami oczyszczania ścieków i uzdatniania wody. Początkowo każdy koncentrował się na swojej idei, dopracowując ją do pełnego projektu autorskiego, najczęściej kończącego się zgłoszeniem patentowym. Po pewnym czasie przyjęliśmy zasadę, że zgłoszenia patentowe składamy wspólnie. Znikło współzawodnictwo, a zaczęła się współpraca, każdy bez obawy o utratę autorstwa patentu dzielił się nawet wstępnymi koncepcjami, które potem były rozwijane. W konsekwencji liczba zgłoszeń patentowych wzrosła ponadtrzykrotnie. To tej współpracy zawdzięczam współautorstwo ponad 90 patentów. Wyścig szczurów niekoniecznie więc musi prowadzić do lepszego rozwoju badań naukowych.

Prof. Lucjan Pawłowski jest członkiem PAN i Europejskiej Akademii Nauk i Sztuk Pięknych

Nz. od lewej: prezes Stowarzyszenia Prasoznawczego „Stopka" prof. Ludwik Malinowski, Piotr Brysacz, dr Artur Gaweł, Maria Danielska, prof. dr hab. inż. Andrzej Jakubiak, wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Magdalena Gawin, dr Marek Łuczak, reprezentacja Rydlówki – filii Muzeum Krakowa.

GLOGERY 2020
Wręczono nagrody XXXI edycji Konkursu o Nagrodę i Medal Zygmunta Glogera. Kapituła w składzie prof. Tadeusz Panecki (przewodniczący), prof. Adam Dobroński, prof. Dariusz Rott, prof. Ludwik Malinowski – prezes Stowarzyszenia Prasoznawczego Stopka, dr Włodzimierz Karol Pessel, red. Jerzy Domański i sekretarz Natalia Jankowska uhonorowała następujące osoby i instytucje.

NAGRODA I STOPNIA

Prof. dr hab. inż. Andrzej Jakubiak za znaczące osiągnięcia w popularyzowaniu dorobku kultury muzycznej, zwłaszcza w środowisku inteligencji technicznej.

NAGRODA II STOPNIA

Komisarz dr Marek Łuczak za duży wkład w odzyskiwanie zaginionych dzieł sztuki i wyjaśnianie losów zabytków na terenie Pomorza Zachodniego.

NAGRODA III STOPNIA

Dr Artur Gaweł za badania nad budownictwem drewnianym i obrzędowością pogranicza Mazowsza i Podlasia oraz realizację autorskiej wizji muzeum;

Rydlówka – filia Muzeum Krakowa za działalność edukacyjną i popularyzatorską zakorzenioną w lokalnej tradycji.

WYRÓŻNIENIA

Piotr Brysacz za działalność publicystyczną i organizatorską w zakresie dialogu wschodniego;

Dr Barbara Ogrodowska za wieloletnią popularyzację wiedzy dotyczącej polskiej kultury ludowej;

Maria Danielska za upowszechnianie kultury krajów nordyckich na Śląsku.

Coroczny Konkurs o Nagrodę i Medal Zygmunta Glogera organizowany jest od 1983 r. przez Społeczne Stowarzyszenie Prasoznawcze Stopka im. Stanisława Zagórskiego. Współorganizatorem wydarzenia jest Narodowe Centrum Kultury, a partnerami są Urząd Marszałkowski Województwa Podlaskiego i Urząd Miejski w Łomży. Nagroda jest przyznawana za szczególne zasługi w badaniu, ochronie i rozwoju kultury polskiej. Mogą ją otrzymywać Polacy mieszkający w kraju i za granicą. Jak co roku rozdaniu nagród towarzyszyła sesja naukowa pod hasłem „Oblicza solidarności".

Natalia Jankowska

FOT. JERZY CHABEREK

eprasa.pl ce31bfa68a

Gdy dom jest miejscem pracy

W przyszłości przy poszukiwaniu pracy jednym z atutów będzie umiejętność wykonywania jej zdalnie

Helena Leman, Beata Dżon, Violetta Waluk

Jak długo można mówić do ekranu – podsumowuje nauczycielka z Pomorza, zadowolona, że wreszcie wrócili do szkoły. – Ten czas pokazał, jak bardzo jesteśmy nieprzygotowani do takiej pracy, nie mamy dostępu do systemu komputerowego muzeum, nie ma służbowych telefonów czy komputerów, wszystko polega na korzystaniu z własnego sprzętu, prądu i dostępu do internetu, czasami niewystarczającej szybkości, więc trzeba było dokupić dostęp – ocenia jedna z kustoszek Muzeum Śląska Opolskiego. Mimo wszystko aż 89% pracowników chciałoby zdalnie kontynuować pracę po ustąpieniu pandemii, a takie rozwiązania rozważa 70% pomorskich przedsiębiorców. Jak więc wygląda praca na odległość w terenie?

Pomorze: może presja mediów pomoże?

Według danych GUS z czerwca w pierwszym kwartale tego roku zlikwidowano ok. 120 tys. miejsc pracy, z czego 30 tys. w związku z epidemią koronawirusa. Z drugiej strony pracodawcy otworzyli się na możliwość pracy zdalnej. Na koniec marca swoje obowiązki wykonywało w Polsce na odległość 11% pracujących, przy średniej unijnej 15%. Dobijaliśmy do niej w niektórych regionach, np. w Warszawie zdalnie pracowało od 14,1 do 17%. Najmniej popularna była praca zdalna w regionach warmińsko-mazurskim, świętokrzyskim i podlaskim, gdzie tak pracowało od 7,3 do 8%. Ta forma pracy była stosowana w szerszym zakresie w sektorze publicznym niż prywatnym – w końcu marca w ten sposób świadczył pracę co szósty pracownik sektora publicznego i co 12. pracujący w sektorze prywatnym.

Przykładem ostrożności prywatnych pracodawców w tej kwestii jest zachowanie pomorskiej firmy odzieżowej LPP, w której pracę zdalną wprowadzono, dopiero gdy na jednym z lokalnych portali pojawiły się wpisy typu: „Przełożeni nie zgadzają się na pracę zdalną, siedzimy po kilkanaście osób w pomieszczeniach. Może presja mediów pomoże?”.

Raport z badań przeprowadzonych przez Centrum Analiz Fundacji Prospekt przy współpracy z Pracodawcami Pomorza oraz Gdańską Fundacją Przedsiębiorczości wskazuje, że do działów, które nie muszą pracować stacjonarnie, zaliczono IT, księgowość, marketing/PR i dział prawny. Najważniejsze zagrożenia, jakie niesie praca zdalna, to zdaniem respondentów słabsza komunikacja zespołowa (73% wskazań), niewystarczająca kontrola pracowników (48%), spadek efektywności pracy (40,5%), słabsza motywacja pracowników (32,4%), zagrożenie bezpieczeństwa danych (29,7%) i utrudniony ich przepływ (27%). Do korzyści zaliczano niższe koszty utrzymania miejsc pracy i nietracenie czasu na dojazdy, mniejszą emisję spalin itd.

Nie tak różowo

Pracę zdalną wiosną przećwiczyli nauczyciele. – Na początku e-lekcji sprawdziłem obecność, niby wszyscy byli, lecz gdy po 15 minutach prosiłem o wypowiedź Kasię czy Bartka, zapadała cisza. Czułem, jakbym mówił do ściany. Często trzy czwarte klasy zgłaszało kłopoty ze sprzętem i trudno było ustalić, czy kombinowali, czy było tak rzeczywiście, takie lekcje to fikcja. Uczniowie są za młodzi, żeby podchodzić do sprawy odpowiedzialnie – opowiada nauczyciel szkoły średniej z Pomorza.

Wielu zaś mówi, że ucząc zdalnie, pracowało dłużej niż podczas nauczania stacjonarnego. Musieli też dokupować sobie sprzęt, szybszy internet, kamerki itp. Ewie z Trójmiasta

PRACA ZDALNA DO KODEKSU

Według obecnie obowiązującego Kodeksu pracy nie ma w naszym kraju takiego pojęcia jak praca zdalna, od 2007 r. jest w nim zapisana tylko telepracа. Wymaga ona spełniania przez pracodawców np. przepisów BHP, co w wypadku pracy zdalnej jest fikcją. Stąd działania nad zmianą kodeksu, które prowadzi Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Jak stwierdziła minister Marlena Maląg, praca zdalna ma zastąpić dotychczas istniejącą w kodeksie telepracę. Zgodnie z propozycją resortu pracodawca będzie zobowiązany dostarczyć pracownikowi służbowe materiały i narzędzia niezbędne do wykonywania pracy zdalnej, a także pokryć koszty związane z ich użytkowaniem.

eprasa.pl ce31bfa68a

TROCHĘ W DOMU, TROCHĘ W BIURZE

Z ogólnopolskiej sondy przeprowadzonej przez portal Pracuj.pl wynika, że Polacy najchętniej wybieraliby modele mieszane – 40% chciałoby mieć możliwość przyjścia do biura raz w tygodniu, a 39% móc pracować poza biurem tylko przez kilka dni w miesiącu. Co 10. badany chciałby przejść całkowicie na telepracę. 60% badanych uważa, że są tak samo efektywni, jak wykonując obowiązki w biurze. Problemem pracy zdalnej są nie wyzwania techniczne lub technologiczne, ale kwestie tzw. miękkie, czyli motywacja, zaangażowanie oraz kontrola pracy.

podczas e-szkoły wydawało się, że pracuje 24 godziny na dobę. Najwięcej czasu zajmowały jej nie lekcje, ale to wszystko, co działo się po nich. – Rodzice dzwonili i mejlowali o różnych porach, dopytując się o każdą ocenę, do tego dochodziło przygotowanie zajęć zdalnych, a dla dyrekcji dokumentów, których podczas pandemii jakby przybyło, plus różnego rodzaju szkolenia, rady pedagogiczne online itp. – wymienia.

Według rozporządzeń wydawanych pod koniec marca przez MEN to dyrektorzy szkół mieli decydować o sposobie wynagradzania nauczycieli podczas pracy zdalnej. Wykorzystują to niektóre samorządy prowadzące szkoły, obcinając środki za nadgodziny i inne dodatki. 62% nauczycieli w tym okresie dostało niższą pensję – alarmował w maju ZNP. W województwie pomorskim pierwsze pozwy w tej sprawie wpłynęły do sądów w czerwcu br. Związki stoją na stanowisku, że nauczyciele powinni otrzymywać takie samo wynagrodzenie, jakie mieli przed zawieszeniem zajęć, zwłaszcza jeśli z dokumentacji wynika, że pracowali w godzinach nadliczbowych. Lecz wolnoamerykanka trwa. 11 września czytam post ze Stężycy na Kaszubach, w którym ktoś pisze, że dotąd nie wypłacono nauczycielom pieniędzy za nadgodziny w czasie zdalnego nauczania, tj. od marca do czerwca.

Na pracy zdalnej oszczędzają nie tylko samorządy. „Teraz to my, pracownicy, ponosimy wiele kosztów, za które wcześniej płaciła firma. Płacimy za prąd, wodę itp. Tylko kilka korpo w Trójmieście w ramach pracy zdalnej dorzuciło swoim pracownikom parę setek do wypłaty. Reszta na razie o tym nie myśli", pisze internauta.

„Praca zdalna jest fajna, ale nie na dłuższą metę. Jestem spoza Gdańska, muszę dojeżdżać w jedną stronę prawie półtorej godziny, ale praca sprawia mi przyjemność tu, gdzie ją wykonuję, i w pewnym sensie rekompensuje mi to problem dojazdu", pisze ktoś inny.

Generalnie pracować w domu jest wygodnie, ale gdy pracodawca zaczyna taki stan przedłużać, narasta niepokój. Znajoma, której syn pracuje w banku, odetchnęła z ulgą, gdy wreszcie wezwano go do firmy. Część jego współpracowników nadal pracuje zdalnie albo w systemie mieszanym. Zwłaszcza starsze osoby czują się niepewnie, gdy za długo pracują zdalnie. – Zawsze jest ten lęk, że moje stanowisko może okazać się niepotrzebne – tłumaczy mi jeden z rozmówców. Obecne przepisy nie określają jasno maksymalnego okresu wykonywania pracy zdalnej, polecenie jej może zostać wydane w dowolnej formie, również ustnie, nie musi zawierać uzasadnienia. Lecz ustawa przewiduje, że pracodawca może polecić taką pracę tylko w celu przeciwdziałania COVID-19.

Ciągły monitoring i kontrola czasu pracy wprowadzone przez niektóre firmy są też źródłem dyskomfortu i poczucia izolacji. – Jak nas fizycznie nie widzą, to ciągle podejrzewają, że nie pracujemy – mówi ktoś.

Jednak do Okręgowej Inspekcji Pracy w Gdańsku nie trafiły żadne sygnały odnośnie do pracy zdalnej. Agnieszka Dobrodziej twierdzi, że wręcz przeciwnie – pracownicy traktują pracę zdalną jako przywilej.

Opolszczyzna: mogliśmy zrobić to, na co zwykle nie mamy czasu

Na Opolszczyźnie zdalnie od połowy marca do 18 maja działali pracownicy Muzeum Śląska Opolskiego. – My, muzealnicy, pracujemy przede wszystkim z zabytkiem, a w czasie pandemii i izolacji musiałam się ograniczyć do pracy opartej na fotografiach, posiadanej wiedzy i własnej bibliotece oraz internecie – opowiada jedna z kustoszek.

Czas pracy w domu i ograniczonej obecności w biurze wykorzystała m.in. na pisanie tekstów, uzupełnianie kart inwentarzowych, co wymagałoby

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl ce31bfa68a

w normalnych warunkach nawet kilku miesięcy. Niebezpieczeństwo takiej pracy w domu to jej wydłużony czas, choć w biurze pracuje się od godz. 7 do 15, co z kolei dyrekcja skrupulatnie kontrolowała w pracy zdalnej. – Nasza praca to także praca koncepcyjna, nosimy w głowie pomysły, potem je rozwijamy, a to nie jest limitowane czasem, natomiast nakazano nam codzienne sprawozdania z pracy zdalnej. W normalnym trybie sprawozdania pisze się raz na pół roku, to pokazuje nadmierną kontrolę kosztem naszego czasu, to również założenie nieuczciwości pracowników.

Innym niebezpieczeństwem, na które zwracają uwagę opolscy muzealnicy, jest brak we właśnie tworzonym regulaminie pracy obowiązków pracodawcy, są tylko wymogi wobec pracownika. No i kontrola. Nie ma słowa o stworzeniu miejsca pracy, przekazaniu narzędzi czy programów, bezpieczeństwie, przejęciu przez pracodawcę części kosztów np. prądu. Okres pracy na odległość w przypadku Muzeum Śląska Opolskiego pokazał, że nie jest ono przygotowane do takiej formuły ani systemowo, ani mentalnie, jeśli chodzi o zaufanie wobec pracowników. Bo twórczy pracownicy sobie poradzą w każdych warunkach.

W Muzeum Śląska Opolskiego nakazano pracownikom codzienne sprawozdania z pracy zdalnej.

Inaczej działo się u największego polskiego autobusowego przewoźnika międzynarodowego, w firmie Sindbad z Opola. Nie wszystkie działy mogły być objęte pracą zdalną, ale infolinia i dział marketingu, czyli ok. 20 osób, pracowały w ten sposób. Pozostałe działy pracowały rotacyjnie w biurach, część pracowników przebywała na urlopach. Dziś tylko pojedyncze osoby pracują zdalnie. – Ten okres pokazał nam, że jesteśmy systemowo i technologicznie przygotowani do pracy na odległość, pracownicy mają sprzęt, dostęp do systemu praktycznie w każdym miejscu, system także ewidencjonuje ich pracę, ale tak jest bez względu na to, czy pracują w domu, czy w biurze. Nasze zespoły w biurze nie stykają się ze sobą, ale gdyby nastąpiła w ich ramach konieczność np. kwarantanny, jesteśmy do tego przygotowani – podsumowuje wiceprezes Sindbada, Bogdan Kurys.

Również Muzeum Ziemi Prudnickiej dobrze sobie poradziło. – Kiedy zamknęliśmy w połowie marca muzeum, udzielałem zgody każdemu, kto chciał przejść na zdalną formę pracy, ja również pracowałem zdalnie – mówi jego dyrektor, dr Wojciech Dominiak. – Mogliśmy wykonać te prace, na które zwykle nie mamy czasu, zaczęliśmy np. reorganizację magazynu z 30 tys. zabytków. Ale my jako zespół dobrze się czujemy ze sobą, brakowało nam siebie, od maja pracujemy znowu razem. Przyjęła się nowa formuła promocji np. książek wydanych przez muzeum – fizycznie obecne niewielkie grono publiczności i przekaz online. Odkryliśmy też nowe możliwości działań w postaci przygotowywania filmów, choćby o działaczu Filipie Robocie czy cykl „Muzeum Podręczne".

Dolny Śląsk: zdalnie w budownictwie

Na Dolnym Śląsku już w trzecim tygodniu kwietnia 60% zatrudnionych pracowało poza siedzibą firmy. Nawet w tak specyficznych branżach jak przemysł i budownictwo 5% załogi wykonywało pracę zdalną, w usługach – trzy razy więcej. O korzyściach powiedziano sporo. Są to możliwości sprawnego pogodzenia obowiązków zawodowych i prywatnych, duże oszczędności czasu i kosztów dojazdów. Dla niektórych ważne jest i to, że pracę można wykonywać w stroju nieformalnym. W domu, w ciszy łatwiej się skupić, z drugiej strony doskwiera brak kontaktów z kolegami, świeżych informacji, co słychać w firmie itp. Pracodawcy mówią też o trudnościach w komunikacji między nimi a pracownikami. W sumie jednak zdecydowana większość pracujących w tym systemie chciałaby zachować to na stałe. Z pewnością w przyszłości przy poszukiwaniu pracy jednym z atutów będzie umiejętność wykonywania jej zdalnie.

W Państwowej Inspekcji Pracy na początku obowiązywania ustawy covidowej konsultanci udzielali w czasie dyżurów wielu porad związanych z pracą zdalną. Podwładni pytali przede wszystkim o sprawne ewidencjonowanie wykonanych zadań i generalnie o sposoby rozliczeń z pracodawcą. Szefowie zaś nie za bardzo dowierzali swoim pracownikom. Denerwowały ich nieoczekiwane przerwy w pracy, które tłumaczono chwilowym brakiem prądu albo problemami z łącznością internetową lub wręcz zalaniem komputera. Radą na to ma być sprawdzanie na bieżąco korespondencji elektronicznej albo w ogóle monitorowanie pracowniczych komputerów. Firmy szczególnie obawiają się nielojalności zatrudnionych, którzy mogliby wykonywać również inne prace, nawet dla konkurencji. Udowodnić to w tej sytuacji jest dość trudno.

Czy kontrole PIP w domach nie byłyby straszakiem dla nieuczciwych lub tylko niezorganizowanych? Takich, co to w szlafroku i kapciach, z późną poranną kawą w dłoni długo nie mogą zabrać się do roboty. Ta wizja inspektora straszaka tak spodobała się niektórym, że wypuścili w internecie fake newsa. Rzekomo są już odpowiednie przepisy, a inspektorzy wyruszają w teren. Nic bardziej błędnego, zapewnia Tomasz Zalewski, rzecznik prasowy PIP. Nie ma takich przepisów, a inspektorzy na pewno nigdzie i nikomu nie zakłócą miru domowego.

Helena Leman, Beata Dżon, Violetta Waluk

eprasa.pl ce31bfa68a

Do lasu nie tylko po grzyby

Helena Leman

Dzisiaj do lasu niektórzy wpadają jak do marketu, chcą zostać szybko obsłużeni i pędzić dalej

Na obrzeżach Czerska rankiem pachnie grzybami, jakby ktoś rozsypał maślaki wokół. Choć do najbliższego zagajnika jeszcze kawałek, ten zapach jest wszechobecny, w zależności od tego, jak wiatr zawieje, raz słabszy, raz intensywniejszy. Kiedyś prawie wszyscy żyli tutaj z darów boru, dzisiaj czasy się zmieniły, z 12 skupów runa leśnego w Czersku zostały dwa.

– Prowadziłem taki punkt kilka lat temu – opowiada pan Józef – woziłem grzyby do Kinic pod Brusami i do samych Brus, w których jest jedno z największych grzybiarskich zagłębi w województwie pomorskim, kolejne jest w powiecie bytowskim. Z Kinic podczas dużego wysypu wyjeżdżały nawet dwa tiry dziennie. Część runa szła na eksport do zachodniej Europy. Zrezygnowałem z działalności, bo siły już nie te i z roku na rok grzybów jakby mniej, a też zbierać ich nie ma kto. Zostali tylko renciści i emeryci jak ja.

Mimo to z grzybobrań nie rezygnuje. Dzisiaj miał szczęście, jego godzinny urobek, nie licząc dojścia na miejsce, to skrzynka i dwa wiaderka borowików, koźlaków i podgrzybków. Borowiki już pociął i właśnie je suszy.

– Do lasu trzeba wychodzić wcześnie. Dziś, jak wracałem, spotkałem troje zbieraczy, co zmierzali na moje miejsce. Teraz możecie sobie iść, pomyślałem z satysfakcją – śmieje się, tłumacząc, że czasami odstrasza konkurencję, celowo zostawiając na widoku obrane nóżki, żeby inni widzieli, że ktoś tu już był, i nie szperali. Prawdziwy grzybiarz swoje miejsca, czyli grzybniki, chroni, dba, żeby ich nie zadeptano, a małe grzybki zostawia, aby dorosły.

U Ewy Lipskiej w firmie przy ulicy Starogardzkiej w Czersku pomarańczowieją na paletach dorodne kurki. Kobieta mówi, że to kurki z Litwy. Jej zakład, który nastawia się na import i eksport i pracuje cały rok, nie trudni się skupem grzybów od pojedynczych osób. Po to ma sieć punktów rozrzuconych po wioskach, w promieniu 50 km od Czerska. – W tym roku z lokalnych skupów dostajemy niewiele, sierpniowe upały wysuszyły grzybnię, czekamy na deszcz – dodaje szefowa.

Ewa Jastak w swoim skupie.

W skupie od rana do wieczora

W Złotowie za Czerskiem, w budce przy szosie mieści się skup, który współpracuje z firmą pani Ewy. Jest otwarty, mimo że dochodzi godz. 19, wystarczy zadzwonić dzwonkiem. Na rowerze podjeżdża chłopczyk z siatką borowików, dostaje 20 zł. Większość grzybów, które przywiózł, to borowiki z żółtym podbiciem, za które płaci się mniej niż za te z białym. Cena za kilogram białych to 13-14 zł, a za najtańsze „seledynki" można dostać jedynie 3 zł za kilo, jak za koźlaki, podgrzybki są droższe.

Prowadząca skup pani Gabrysia wyjaśnia, że chłopiec zagląda tu często, jest z dużej rodziny i po szkole zawsze zdąży coś nazbierać. Po nim z tatą przychodzą dwie dziewczynki w wieku „zerówkowym". Mają ładnie posegregowane borowiki, ale białych niewiele. Dostają po 6 zł każda. – Na lody starczy – żartuje pani Gabrysia. – My nie zbieramy na lody, lecz na karuzelę – odpowiadają rezolutnie. Rzeczywiście w centrum Czerska kręci się wielka karuzela; gdy przyjeżdżam po trzech dniach, już jej nie ma. Ciekawe, czy małe grzybiarki zdążyły się na niej przejechać.

W skupie w Czersku przy stawie czuwa Ewa Jastak. Sezon zaczyna się dla niej z początkiem lipca i trwa do końca października, a właściwie do pierwszych większych przymrozków. Widać, że lubi tę pracę, sama przerabia dary lasu. Pochodzi z okolic Brus, opowiada, że najsmaczniejsze rydze jadła w dzieciństwie bez przypraw, pieczone wprost na „placie", czyli na rozgrzanej płycie opalanej drewnem westfalki. Rydze w jej skupie kosztują tyle co kanie, po 12 zł za kilo.

– Teraz jest właśnie czas na rydze, a w tym roku ich nie ma – ciągnie. Wszyscy liczą, że jak napada, to może jeszcze się pokażą, to jesienne grzyby. – Gorzej może być z borowikami, ich wysyp opóźniła sierpniowa susza, a we wrześniu przyszło ochłodzenie, u nas kilka dni temu temperatura w nocy spadła poniżej zera, a borowik lubi wygrzaną ziemię. Skupujemy też maślaki, po 4 zł, ale tylko ciemne, żółte są jadalne, ale niedopuszczone do handlu. Te najbardziej chyba aromatyczne grzyby są najlepsze w śmietanowym sosie, a gąski w zupie. Najpierw robi się wywar na piersi z kurczaka z warzywami i do tego dodaje się pokrojone w paski gąski. Takie gąskowe flaczki to rarytas. Z kani smaży się kotlety

eprasa.pl ce31bfa68a

jak schabowe, obtoczone w jajku i bułce tartej. Kania skupowana jest z obrączką, ruchomym pierścieniem na nóżce, ponieważ to ją odróżnia od muchomora.

Naszą pogawędkę co chwila przerywają klienci, dzisiaj było ich tutaj ponad 60. Starszy mężczyzna z Gutowca przywozi kosz i karton czerwonej, dorodnej żurawiny. Ewa ją waży i gotówka wędruje z rąk do rąk. Zbieracz dostaje 261 zł. – Zbliża się weekend, będzie z czym pójść do Biedronki – żartuje. Tak naprawdę mężczyzna dorabia w ten sposób na wyjazdy, lubi podróżować na emeryturze.

– Żurawina jest najlepsza po pierwszych przymrozkach, ale ludzie nie dadzą jej dojrzeć, gdyż kilogram kosztuje 15 zł, a owoc jest ciężki, no i lepiej zbiera się teraz, zanim przyjdą jesienne szarugi i bagna podmokną. Ważne, żeby zerwać żurawinę białą, nie zieloną, i potem ją przetrzymać, aż nabierze koloru – tłumaczy Ewa, dodając, że nie wszyscy zbierają runo leśne dla zarobku.

– Mam takiego klienta, który robi to dla przyjemności, i ja go rozumiem. Dla mnie również już sama wędrówka po lesie jest odprężeniem i frajdą, a gdy znajdę jeszcze dorodnego borowika, to dopiero jest radość! Głaszczę go, całuję jak największy skarb. Tę pasję i wrażliwość wynosi się z domu.

W lesie można zarobić

W poniedziałek po deszczowym weekendzie wybieram się z Czerska do Brus, 20 km przez lasy. Po drodze spotykam 81-latkę, która penetruje przydrożne rowy. Mówi, że dzisiaj szczęścia do grzybów nie ma, ale przed deszczami nazbierała ich dużo. Dla niej też liczy się sam pobyt w lesie. Dzięki temu, że codziennie jeździ na rowerze po leśnych ścieżkach, ma sprawne kolana. Nad naszymi głowami krzyczą dzikie gęsi, na łąkach zbierają się żurawie, w miękkim świetle jesieni świat jakby wypiękniał. Za Bielawami, wioską złożoną z leśnych przysiółków rozrzuconych na kilku kilometrach, znajduję w rowie rydze i nie dowierzam… Zaglądam do Kinic, by w lokalnej firmie skupującej runo pochwalić się zdobyczą. Renata Talecka, jej pracownica, śmieje się, że miałam fart, bo ona w tym roku jeszcze rydzów nie znalazła. Przy okazji wyjaśnia, jak sprawdzić prawdziwość rydza. – Wystarczy naciąć nóżkę, jeśli zbieleje, znaczy, że to rydz.

Firma, w której pracuje, istnieje od 1992 r., zajmuje się skupem i przerabianiem runa leśnego. Główny jej zakład przetwórczy jest w Brusach. – Oprócz grzybów, które mrozimy, suszymy i marynujemy w słoikach, robimy przetwory z żurawiny, borówki, jarzębiny i czarnego bzu. W Kinicach prowadzimy tylko skupy, jeden dla zbieraczy indywidualnych, drugi dla hurtowników, którzy przywożą do nas towar z obszaru do 200 km. Przy dużym wysypie borowików eksportujemy je do Włoch. Lecz w tym roku sezon na grzyby jest średni.

Ceny w skupie w Kinicach są porównywalne do cen w Złotowie i Czersku, tylko kani tu nie skupują, bo to grzyb kruchy i delikatny. Po chwili rozmowy Renata Talecka musi wracać do pracy, na plac wjeżdża tir i trzeba zacząć rozładunek.

Kilka kilometrów przed Brusami skręcam na Żabno, tam mieści się kolejna tego typu firma. – W 1994 r. kupiliśmy tutaj gospodarstwo rolne – opowiada Małgorzata Skurczewska, jej szefowa. – Najpierw powstał skup, pozyskujemy runo z trzech województw: z pomorskiego, zachodniopomorskiego i wielkopolskiego, przy zakładzie działa poza tym mały punkt dla indywidualnych zbieraczy. W 2007 r. otworzyliśmy przetwórnię z magazynami, suszarniami, mroźniami i linią technologiczną do przetwarzania grzybów i owoców leśnych. Przetwarzamy jagodę i żurawinę, robimy syropy z kwiatów i owoców bzu czarnego, mniszka lekarskiego, czyli popularnego mlecza, z pędów sosny, od niedawna powstają też konfitury ze zwykłych owoców, np. malina w lekkim syropie czy konfitura z truskawek z dodatkiem rabarbaru. Grzyby mrozimy, suszymy, marynujemy. Choć nasz biznes, jak mówimy, uzależniony jest od humorów Pana Boga, a ceny produktów często musimy negocjować przed sezonem, kiedy nie wiemy, co nam urośnie, pozwala on żyć nie tylko nam, ale i naszym pracownikom. Zatrudniam 10 osób całorocznie, a w sezonie nawet do 60. W lesie zarobić mogą również zbieracze. Znam takich, co wyciągają 10 tys. i więcej podczas sezonu. A są to pieniądze nieopodatkowane.

Pani Małgorzata podkreśla, że ten rok to nie był rok dla kurek, lecz dla jagód. – Takiego wysypu jagód jak tegorocznego lata nie pamiętam, to naprawdę był wysyp stulecia – dodaje. Jej zakład także wysyła produkty za granicę, do Włoch i Niemiec. Prowadzenie firmy to dla niej nie tylko pasja, ale i rodzinne tradycje oraz styl życia. Pochodzi z Kujawsko-Pomorskiego, jej mąż jest leśnikiem,

eprasa.pl ce31bfa68a

Przerób czarnych jagód w firmie Małgorzaty Skurczewskiej w Żabnie.

a jego brat współwłaścicielem firmy w Kinicach.

– Z lasem związana jestem od dzieciństwa, mieszkało się w lesie, moja mama jeszcze za PRL prowadziła punkt skupu runa w państwowym przedsiębiorstwie Las. Gdy Lasy zaczęły się chylić ku upadkowi, postawiłam na własny biznes. Mam nadzieję, że moja córka przejmie po mnie firmę i tradycja będzie kontynuowana – podsumowuje.

Podobne pokoleniowe korzenie ma firma Ewy Lipskiej z Czerska.

Zbieractwo się nie obroni

„Grzybów było w bród: chłopcy biorą krasnolice, / Tyle w pieśniach litewskich sławione lisice (…). Panienki za wysmukłym gonią borowikiem, / Którego pieśń nazywa grzybów pułkownikiem. / Wszyscy dybią na rydza; ten wzrostem skromniejszy / i mniej sławny w piosenkach, za to najsmaczniejszy (…). Inne pospólstwo grzybów pogardzone w braku / Dla szkodliwości albo niedobrego smaku", tak opisywał grzybobranie Adam Mickiewicz w „Panu Tadeuszu". Także na Kaszubach dawniej zbierano tylko grzyby szlachetne, przede wszystkim borowiki, nazywane tu właśnie prawdziwkami, a dopiero potem koźlaki, kurki, rydze, gąski, ale już maślaki żółte, tzw. pampczi, uważane były za paskudne. Gorsze grzyby zostawiano w lasach dla przyjezdnych. W okresie PRL kwitła bowiem turystyka grzybowa, a zakłady pracy organizowały wycieczki autokarowe na grzybobrania.

– Te czasy już minęły – mówi Małgorzata Skurczewska. – Bez grzybów można się obejść, to towar z wyższej półki, dla smakoszy, nie pierwszej potrzeby. W dobie marketów i fast foodów zmieniają się nawyki jedzeniowe i gusta klientów. Nie obroni się też zbieractwo, młodzi ludzie są nastawieni na konsumpcję, na wygodę. Standard życia się podniósł i nikt nie chce biegać z koszykiem po lesie. Kiedyś do skupu w Żabnie przychodziły matki z umorusanymi od jagód dziećmi, dziś młode matki albo wyjechały stąd i pracują w Holandii, w Niemczech, albo korzystają z programów społecznych. Nie ma co ukrywać, że program 500+ ma duży wpływ na rozleniwienie społeczeństwa. Za 10-20 lat, gdy odejdzie starsza generacja zbieraczy, będziemy jedli grzyby z Chin czy innych krajów, jak na Zachodzie, bo naszych nie będzie miał kto zbierać.

Pan Józef dorzuca, że na rynku już są tańsze grzyby z Białorusi i Ukrainy. – Dzisiaj do lasu niektórzy wpadają jak do marketu, chcą zostać szybko obsłużeni i pędzić dalej. Brakuje im spokoju, narzekają na komary, na kleszcze, na to, że mokro. Najlepiej by wjechali samochodami w najbardziej ustronne miejsca, ale straż leśna czuwa i sypią się mandaty, choć niektórym i tak się udaje. Sam czasami korzystam z samochodu, ale zostawiam go na parkingu, dalej idę piechotą, do chodzenia jestem przyzwyczajony. Nie boję się, że się zgubię, wystarczy, że jak rano wyjdę ze słońcem, to muszę wracać pod słońce, a mam i inne sposoby na orientację w terenie. Uczono mnie, że las jest naszym dobrodziejstwem, że trzeba go szanować. Życie stałoby się smutne, gdyby zamknięto lasy.

Szefowa skupu w Złotowie się zastanawia: – Mieliśmy w tym roku wielki urodzaj czarnych jagód, ale nie było ludzi do zbierania, a przecież trwały wakacje. Za kilogram czarnych jagód płaciłam 8,50 zł, rekordzistka, kobieta w średnim wieku, zebrała jednego dnia 30 kg. Nie wiem, czy dla młodych to obciach tak zarabiać? A jeszcze kilka lat temu chętnych było wielu.

W skupie w Kinicach też słyszę, że ludzie widocznie pieniędzy mają dosyć, skoro na grzybobrania nie chodzą. Inna sprawa, że wiele przydomowych lasków w okolicy Brus zostało przetrzebionych przez wichurę z 2017 r. – Tak to wyskoczyło się z domu na parę minut, w znajome miejsca, a teraz trzeba jechać dalej – tłumaczy ktoś.

Tradycje zbieractwa próbują podtrzymywać lokalne inicjatywy. Zbigniew Krzoska, sołtys Gutowca w gminie Czersk, wraz z radą sołecką od dziewięciu lat organizuje Gutowieckie Święto Grzyba. W jego przeddzień gotowany jest wielki kocioł zupy grzybowej i szykowane są różne potrawy z grzybów. Podczas święta najpierw odbywa się konkurs w rzucaniu drewnianym grzybem, wyrzeźbionym przez samego sołtysa, a drugą konkurencją jest grzybobranie. W zeszłym roku najwięcej grzybów zebrał Józef Kiedrowski, a największego prawdziwka znalazł Grzegorz Narloch, w kategorii rodzin wygrała zaś rodzina Markiewiczów, za nią była rodzina Galikowskich. W tym roku impreza się nie odbędzie z powodu epidemii, jak informuje mnie sam sołtys, który właśnie wrócił z grzybów.

Helena Leman
h.leman@tygodnikprzeglad.pl

FOT. HELENA LEMAN

eprasa.pl ce31bfa68a

MARIUSZ KWIECIEŃ
– światowej sławy baryton, dyrektor artystyczny Opery Wrocławskiej

Kariera na nowo

Polacy, którzy odnieśli sukces na świecie, to ludzie bardzo światli, otwarci, życzliwi. I tak jesteśmy kojarzeni

Rozmawia Beata Dżon-Ozimek

Zniknął pan ze sceny.

– Moja kariera skoczyła w zupełnie innym kierunku, zostałem w sierpniu dyrektorem artystycznym Opery Wrocławskiej, więc tam będzie się skupiała w większości moja działalność artystyczna. Nie planuję dalszych występów na scenie, koncertów ani recitali, natomiast planuję przygodę w innej roli w jednej z większych oper w Polsce.

Decyzja o zakończeniu kariery śpiewaka wielu zasmuciła, niektórych zaszokowała.

– Kręgosłup nie pozwala mi wychodzić na scenę. Jestem po dwóch operacjach, teraz szykowała się kolejna i wtedy może powrót na scenę albo koniec intensywnego śpiewania. Koncerty, recitale to nie jest mój żywioł, ja jestem zwierzakiem scenicznym i jeżeli nie będę wychodził na scenę, to zdecydowałem się na ten dość radykalny krok. Do tego dołożył się bardzo trudny okres koronawirusowy, kiedy teatry zaczęły się zamykać i wszystkie okoliczności pchały mnie ku temu. Wierzę, że pewne sytuacje, okoliczności popychają człowieka w różne kierunki, nie do końca przewidywalne. Podjąłem tę decyzję po dłuższym przemyśleniu i jestem w pełni do niej przekonany.

Rzeczywiście nie słyszę w pana głosie żalu czy rozterki.

– Zawód śpiewaka jest cudowny, ale bardzo wymagający. To poświęcenie rodziny, przyjaciół, wewnętrznego spokoju dla fanów, dla podróży. I dopóki wszystko dobrze ze zdrowiem, jest wspaniale. Natomiast w momencie kiedy trzeba się ograniczać, nadmiernie kontrolować, a w dalszym ciągu są pewne problemy, przestaje mieć to sens, bo to walka z wiatrakami, skazana na przegraną. Czy zatem stałoby się to w tym roku, czy za dwa-trzy lata, i tak by się stało. Przeszedłem kolejną operację w zeszłym roku. Podczas „Wesela Figara" z kolei pękła mi łąkotka w kolanie i w połowie spektaklu musiałem zejść ze sceny, a potem poddać się operacji. Są sygnały, które daje życie, ja muszę je zauważyć i do nich się dostosować. Decyzja jest przemyślana i jestem do niej w stu procentach przekonany, dlatego tego żalu w głosie pani nie słyszy. Nie ma wyjścia, życie toczy się dalej. Jest tyle fantastycznych rzeczy, które można zrobić, poświęcając się sztuce, operze akurat w tym przypadku. Być może gdy włączę sobie DVD czy jakieś moje nagrania, targnie moją duszą, ale to temat zamknięty.

Przed panem egzamin w Akademii Muzycznej w Katowicach.

– Otworzyłem przewód doktorski, praca doktorska o „Dichterliebe" Roberta Schumanna jest napisana, piszę o połączeniu jego problemów psychicznych z przepiękną muzyką, którą tworzył do tekstów Heinricha Heinego. W Katowicach jest piękna Akademia Muzyczna, współpracuję z tamtejszym wydziałem wokalnym. Pani dziekan Ewa Biegas udostępniła mi wspaniałego reżysera dźwięku, salę i mieliśmy niedawno okazję sobie pośpiewać, ponagrywać piękną muzykę. Może uda mi się jeszcze w tym roku obronić.

Czyli czas pandemicznych ograniczeń się przydał.

– Oczywiście dla mnie ten czas też nie był łatwy, tak jak dla wszystkich ludzi, którzy przechodzili stres, *lockdown* i musieli pozostawać w domach. Starałem się go wykorzystać

Nie planuję występów na scenie, koncertów ani recitali, natomiast planuję przygodę w innej roli w jednej z większych oper w Polsce.

eprasa.pl ce31bfa68a

do maksimum. Zgromadziłem masę książek i artykułów, publikacji dotyczących doktoratu i udało mi się w ciągu trzech miesięcy napisać moim zdaniem bardzo ciekawą pracę doktorską. Łączę w niej moje zainteresowanie nie tylko muzyką, znakomitym kompozytorem Schumannem i świetnym poetą Heinem, ale również psychologią. Uczyłem się w klasie psychologiczno-pedagogicznej, pisałem maturę z psychologii i przez całe życie nie była mi obojętna. Akurat nadarzyła się okazja, bo jeden z moich ulubionych cyklów, „Dichterliebe", to dzieło Schumanna, który zmagał się z chorobami o podłożu psychicznym. Chciałem wykorzystać tę wiedzę i pasję do psychologii połączyć z pasją do muzyki. A ponieważ mieszkam na skraju lasu, codziennie tam wychodziłem, podziwiałem wiosnę, po raz pierwszy mogłem zobaczyć, jak wszystko zaczyna zielenieć w ogrodzie, bo nigdy nie miałem na to czasu. Wiosna zawsze była dla śpiewaków intensywnym czasem, występowało się w różnych miejscach.

Te trzy miesiące to był czas spokoju, nawet trochę nudy i takiego nicnierobienia, do czego nie byłem przyzwyczajony od 25 lat. To naprawdę znakomity moment, żeby się zastanowić nad sobą, nad przyszłością, zrobić sobie podróż przez całe życie, wyciągnąć wnioski.

Pana pasją poza muzyką jest projektowanie wnętrz, praca z kolorem. Z jakim kolorem pozostał pan po tych trudnych miesiącach?

– Ostatnio jest tak, że bezkolorze to jest moje ulubienie, dlatego że lubię wszelkie odcienie ziemi, szarości, naturalne kolory drewna, oczywiście czernie, biele, natomiast żaden kolor jako kolor nie jest mi jakoś wyjątkowo bliski. Być może jeszcze zielony.

Porozmawiajmy o nowej pracy.

– Planujemy zrobić piękny teatr. Kierujemy się w stronę młodych artystów i w przyszłym sezonie chciałbym otworzyć duże, być może największe w Polsce studio operowe dla młodych śpiewaków. Planujemy jedną premierę w sezonie oddać studentom bądź ludziom tuż po studiach. Robimy dwie obsady w tym roku, będzie to „Cosi fan tutte", w pierwszej obsadzie będą śpiewacy, którzy skończyli studia, mają już ukształtowane plany na przyszłość, natomiast w drugiej skupimy się na studentach z polskich uczelni muzycznych.

Trudno w Polsce o takie inicjatywy, by młodym artystom udostępnić prawdziwą scenę opery z całą obsadą i maszynerią.

– Właśnie, oddać im scenę z orkiestrą, dyrygentem, scenografią; prawdziwy spektakl na prawdziwej scenie, na który przyjdzie publiczność. W Polsce nie spotkałem się z czymś takim. Dostrzegłem ogromny walor takiego przedsięwzięcia, będąc członkiem Lindemann Young Artist Development Program w Nowym Jorku przy Metropolitan Opera. Później podczas moich wojaży po świecie widziałem bardzo podobne działania w Londynie w Royal Opera House, gdzie jest duże studio operowe i tam z młodymi ludźmi intensywnie się pracuje i pozwala im wejść na scenę. Dlatego jest to godne uwagi – pełne przygotowanie, kontakt z reżyserem, ze sceną, z orkiestrą, zmierzenie się z trudnościami, które niesie ten zawód, jest niezwykle ważne, żeby młodym ludziom uświadomić, na co się decydują, jak to wygląda, jak pięknie, ale jak trudno zdobyć sławę, karierę i mistrzostwo.

Nastała w świecie bylejakość, brak chęci poszukiwania, wiary, że można, że da się zmienić, że da się lepiej.

Panuje stagnacja, nie ma liderów, za którymi chciałoby się podążać.

Ale nie chodzi tylko o śpiewaków.

– W młodości tkwi cały nasz potencjał artystyczny na przyszłość, dlatego chcemy ich kształtować, a jest coraz więcej wspaniałych śpiewaków, tancerzy i choreografów, reżyserów i dyrygentów. Z nimi będziemy chcieli współpracować, bo to studio, które chcę otworzyć przy Operze Wrocławskiej, byłoby też jakąś drogą dla młodych dyrygentów, pianistów akompaniatorów, którzy chcieliby z tą młodzieżą śpiewającą współpracować.

Ambitne plany wymagają czasu i dobrego zespołu.

– To, co będziemy próbowali zrobić we Wrocławiu, rozsądnie dzieli się na dyrektor naczelną Halinę Ołdakowską, dyrektora artystycznego – czyli mnie – który będzie odpowiadał za stronę artystyczną, i na dyrektora muzycznego, Bassema Akiki, który odpowiada za orkiestrę, za to, żeby to wszystko wspaniale działało muzycznie. Mamy do pomocy jeszcze kierownika baletu Marka Prętkiego, który z entuzjazmem zabrał się do pracy z baletem. Będziemy również próbowali we Wrocławiu zrobić festiwal dla młodych tancerzy, może konkurs choreografów. Być może będzie to w lipcu, na otwartym powietrzu, żeby szeroka publiczność mogła to ocenić. Na razie musimy zacząć.

Pracuje pan stale z młodzieżą w Akademii Muzycznej w Krakowie.

– Jestem tam zatrudniony i mam swój przedmiot, interpretację muzyki wokalnej. To są zajęcia z młodzieżą, która już ma za sobą trzy-cztery lata nauki, i pracujemy nad techniką, interpretacją. W akademii w Katowicach mam zwykłe kursy mistrzowskie, podobnie w Akademii Operowej przy Teatrze Wielkim w Warszawie, prócz tego daję kursy w Akademii Muzycznej w Poznaniu, w Bydgoszczy i we Wrocławiu.

Rozmawiamy w Lublinie, w Centrum Spotkania Kultur, przy okazji kursów mistrzowskich Antonina Campi Opera Masterclass 2020.

– Bardzo lubię pracować z młodzieżą, młodzi ludzie są niesamowicie wdzięczni za wszelką pomoc, uwagi, które my, śpiewacy ze sporym dorobkiem artystycznym, jesteśmy w stanie im przekazać. A Lublin także dlatego, że zaprosiła mnie Ewa Vesin, współtwórczyni tego wydarzenia, znakomita śpiewaczka, mieliśmy okazję razem występować na scenie. Zresztą ja ją zawsze podziwiałem jako sopran, kiedyś mezzo, za nieprzeciętny głos i warunki głosowe, ale też aktorskie.

Zapewne pani wie, że przez całą karierę było dla mnie bardzo ważne, żeby tam było obecne aktorstwo, żeby to był teatr operowy, a nie „wychodzi śpiewak i śpiewa". Dlatego Ewa jest jedną z tych nie tak wielu osób, które potrafią połączyć niezwykle trudną sztukę śpiewania z równie trudną sztuką bycia na scenie, grania, interpretowania. Oprócz tego Kasia Trylnik, która jest moją koleżanką

FOT. PRZEMYSŁAW GĄBKA

eprasa.pl ce31bfa68a

z czasów studiów i ze sceny – to nasza trójka wykładowców. Jest to cudowna okazja, żeby, po pierwsze, spotkać się z młodzieżą, po drugie, z kolegami, przyjaciółmi ze sceny; fantastyczna okazja do pobycia razem. Oprócz tego nigdy nie byłem w Lublinie. Jestem zachwycony tym miastem. A takie kursy są idealną okazją, żeby posłuchać takich osób, żeby z nimi popracować, poznać i później być może zaprosić do udziału w spektaklach we Wrocławiu.

Nie rozważał pan obsadzenia siebie jako osoby znanej, z poglądami, w zupełnie innej roli? Myślę o polityce.

– Staram się być człowiekiem apolitycznym, natomiast nie da się nie dostrzec pewnych kwestii, to dotyczy nie tylko naszego kraju, ale generalnie świata. To deficyt autorytetów, ludzi mądrych, wykształconych, z potężną wiedzą historyczną, kulturalną, gospodarczą. Nastała w świecie taka bylejakość, brak chęci poszukiwania, wiary w to, że można, że da się zmienić, że da się lepiej. Panuje pewnego rodzaju stagnacja, nie ma liderów, za którymi chciałoby się podążać, więc to jest bardziej ta moja polityczna myśl. Ja sam, poprzez swoje postępowanie, uczestnictwo w życiu kulturalnym na całym świecie, zawsze byłem utożsamiany z Polską, bo jestem Polakiem.

Politycznie byłem w pewnym sensie przez ostatnie 25 lat ambasadorem Polski na świecie i ludzie, którzy ze mną się spotykali, pytali, czy Polacy są zawsze tacy uśmiechnięci, bo ja jestem człowiekiem uśmiechniętym, optymistycznie nastawionym do życia. Mówiłem: „Tak, oczywiście, przyjedźcie do Polski, zapraszam, zobaczcie, jakimi jesteśmy ludźmi". Akurat mamy to szczęście, że ci wszyscy wielcy Polacy, którzy zrobili fantastyczne kariery na świecie, to ludzie bardzo światli, otwarci, życzliwi, pełni entuzjazmu – i tak jesteśmy kojarzeni. Można powiedzieć, że jest to w pewnym sensie uprawianie propolskiej polityki na świecie. Życzyłbym sobie, żeby tak zostało, bo tworzenie programu z udziałem artystów z całego świata w Operze Wrocławskiej to pewnego rodzaju uprawianie polityki, a chcielibyśmy zacząć liczyć się w świecie jako placówka kulturalna.

Czego życzyć nowemu dyrektorowi artystycznemu Opery Wrocławskiej?

– Nie wiem, czego mnie można życzyć, natomiast ja życzę, żeby publiczność, która będzie przychodziła do nas do opery, czuła się usatysfakcjonowana, żebyśmy wspólnie mogli stworzyć przepiękny teatr, do którego każdy będzie z ogromną przyjemnością przychodził, żeby zobaczyć nietuzinkowe produkcje i usłyszeć czasem mało znane, ale znakomite głosy. Staramy się wybierać artystów nie tylko z najwyższej półki, ale również tych, którzy mają coś wyjątkowego do zaoferowania publiczności, życzę zatem, żeby publiczność chciała przychodzić do Opery Wrocławskiej. Podświetliliśmy budynek na kolor zielony, żeby pokazać: tu jest nadzieja, emanujemy zielenią, pozytywną energią. Chcemy, żeby publiczność pamiętała, że gramy dla niej, że staramy się zrobić wszystko, co w naszej mocy w tym trudnym czasie.

Beata Dżon-Ozimek

eprasa.pl ce31bfa68a

KURTYNA W GÓRĘ

MASKA PRZYJAŹNI

Francuska czarna komedia z przymieszką thrillera psychologicznego aż prosiła się o realizację sceniczną. Niemal wszystko tu polega na inteligentnie napisanym dialogu, który prowadzą Wojciech Malajkat (Bernard) i Marcin Stępniak (Adrien) w rolach zaprzyjaźnionych wspólników z firmy architektonicznej. Właśnie zdobywają korzystny kontrakt, a Bernard obchodzi 50. urodziny, jest więc dubeltowa okazja do świętowania. Ale Adrien zamiast na wieczorne przyjęcie urodzinowe wybiera się na spotkanie swojego klubu. Jego członkowie zbierają się w każdy pierwszy czwartek miesiąca na kolacji, noszą klubowe krawaty i nazywają się „jeżami". Bernard docieka, dlaczego Adrien woli to spotkanie od jego urodzin, zaczyna go zżerać zazdrość. Ten drobny zgrzyt niweczy koleżeńską harmonię, uruchamia lawinę niechęci i wzajemnych podejrzeń.

Lekka z pozoru komedyjka okazuje się wnikliwym obrazem relacji między długo współpracującymi ludźmi, ich wzajemnych uzależnień, bliskości i obcości. Fabrice Roger-Lacan z biegłością psychologa maluje je błyskotliwym dialogiem, w którym przeglądają się wszystkie nagromadzone urazy – te zaś doprowadzą do zaskakującego finału. Aktorzy eskalują napięcie pomiędzy bohaterami, którzy z coraz większym trudem znoszą wzajemną obecność. Wojciech Malajkat mistrzowsko portretuje zaborczego Bernarda. Partneruje mu jako broniący swojej prywatności Adrien jego niedawny student Marcin Stępniak, laureat nagrody rektora Malajkata. Godzina trzymającej w napięciu rozgrywki ludzi, którzy pod maską przyjaźni skrywają wrogość.

Tomasz Miłkowski

Fabrice Roger-Lacan, „Cravate Club", tłumaczenie Katarzyna Skawina, reżyseria Wojciech Malajkat, Teatr Polonia, mała scena Fioletowe Pończochy, premiera 24 września 2020

NA EKRANACH

SKANDAL. EWENEMENT MOLESTY

reż. Bartosz Paduch, prod. Polska, już w kinach

Lata 90., dziki kapitalizm orze Polskę od Bałtyku po Tatry. Rodzice urabiają się po łokcie, a dzieciaki próbują znaleźć na siebie pomysł. Część idzie w przekręty, niektórzy, jak Vienio, Włodi i Kaczy, tworzą bity i klecą rymy. Prekursorzy polskiego hip-hopu mają w sobie niezgodę na zastaną rzeczywistość, młodzieńczy bunt i dużo do powiedzenia o tym, co czują współczesne chłopaki, nieustawione w nowym systemie, dla których największą rozrywką jest przesiadywanie pod trzepakiem na ursynowskim blokowisku. Kiedy dokumentalista zajmuje się hip-hopem

jako gatunkiem i bada jego pierwociny na ziemiach polskich, film ma wartość faktograficzną. Choć nawet specjalistom (a kogo tu nie ma!) włącza się nostalgia, paradoksalnie pomaga to filmowi, bo podkreśla, jak ważny był ów muzyczny przełom dla zaangażowanych w niego. W sumie jednak dostajemy sentymentalną fotografię z przeszłości, która ładnie wygląda, ale nie wnosi do tematu zbyt wiele.

Artur Zaborski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Meg Elison

Księga bezimiennej akuszerki

tłum. Maria Smulewska
Rebis, Poznań 2020

Reklamowane jest to jako „Opowieść podręcznej" w postapokaliptycznym świecie, nawiązuje do tej formułki także okładka polskiego wydania. Jakoś trzeba było zwrócić uwagę odbiorcy na bardzo przecież interesujący debiut Meg Elison, tym bardziej że w zapasie są jeszcze dwa tomy, a nie wiem, czy na „brutalny obraz resztek ludzkości po pandemii" znalazłoby się dziś wielu chętnych. Z książką Margaret Atwood ta powieść ma tyle wspólnego, że mówi o odczłowieczeniu kobiet, idącym nawet dalej niż w Gileadzie. Autorka nie ma złudzeń – jeśli nieliczni ocalali (a są to głównie mężczyźni) wszystko, co niezbędne do przetrwania, zaspokojenia potrzeb, zdobywają szabrem, podobnie będą traktować seks. Kobieta jest do kopulacji tak jak zwierzę do zjedzenia. Jeżeli się którąś złapie, staje się własnością, a z tą można postępować jak teraz niektórzy ze zwierzętami. Dowiadujemy się jednak od razu, że społeczność ludzka będzie się odtwarzać. Większość potrzebuje życia w grupie: w bandzie, wśród współwyznawców, w „roju", bo niektóre kobiety otoczyły się „trutniami". Podstawą odbudowy – i to niesie nadzieję – wydaje się demokracja (jednak!) i uczciwość wspólnoty, bo nawet religia się wyradza, gdy towarzyszy jej kłamstwo.

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ce31bfa68a

Polscy uczniowie jak przygięte staruszki

Nagminnie do ortopedów trafiają nastolatki, które nigdy nie były badane pod tym kątem i mają skoliozę kwalifikującą się do leczenia gorsetem

Rozmawia Anna Brzeska

DR MACIEJ OZONEK
– ortopeda dziecięcy, specjalista ortopedii i traumatologii narządu ruchu

Co najmniej od kilku lat mówi się o zbyt ciężkich plecakach polskich uczniów. Czy mimo nawoływań ekspertów problem wciąż występuje?

– Tak, taka jest smutna rzeczywistość, mimo że zarówno WHO, jak i Amerykańska Akademia Pediatrii oraz polskie Ministerstwo Edukacji Narodowej mają jasne wytyczne, podparte badaniami, ile powinien ważyć plecak dziecka i jak powinien być skonstruowany. Przyjmuje się, że jego masa może stanowić od 10 do 15% masy ciała dziecka. Jeśli dziecko w wieku wczesnoszkolnym waży od 20 do 35 kg, plecak z zawartością powinien ważyć od 2 do 3,5 kg. Trudne jest sprostanie tym wymogom, bo większość plecaków już waży około kilograma, może nieco mniej. Jeśli do tego dorzucimy kanapkę, butelkę z wodą czy bidon z herbatą, jabłko i banana, limit wagowy mamy niemal wykorzystany.

Bez książek i zeszytów.

– Właśnie. W 2016 r. MEN, prócz informacji o masie plecaków, wydało wytyczne dla szkół, zgodnie z którymi powinny one przygotować dla uczniów miejsce (np. szafki) do pozostawienia części książek. Wykonanie tych zaleceń nie zostało natomiast w żaden sposób uregulowane. Mamy więc do czynienia z sytuacją, w której nie każda szkoła takie miejsce przygotowała. To zależy od dyrektora.

Z doświadczeń ze szkołą mojego dziecka wiem, że nawet jeśli miejsce jest, nauczyciel nie zawsze dba o to, by dziecko zostawiało książki w szkole. Często zadawana jest praca domowa zarówno z podręcznika, jak i z ćwiczeń, przez co dziecko i tak musi wszystko zabierać do domu.

– Tak. I o ile młodsze dzieci, które mają w planie mało przedmiotów, jakoś ten jeden podręcznik czy ćwiczeniówkę ze sobą przytargają, o tyle z potrzebami starszych uczniów nikt się nie liczy. Mają po trzy klasówki tygodniowo, prace domowe zadawane na bieżąco itd., więc muszą te książki nosić ze sobą codziennie. W efekcie widzimy dzieci idące do szkoły przygięte pod ciężarem plecaka niczym staruszki. Dlatego duża część odpowiedzialności spoczywa na rodzicach – muszą pilnować, by dzieci zabierały ze sobą rzeczywiście tylko niezbędne rzeczy. Niestety, oznacza to konieczność przepakowywania plecaka na następny dzień i upewnienia się, czy dziecko nie zostawiło w nim książek do przedmiotów, których danego dnia nie ma w planie.

A co sądzi pan o plecakach na kółkach albo walizeczkach? Spotkałam się w tym przypadku ze sprzecznymi opiniami.

– Temat nie jest dobrze zbadany, ale obecnie nie zaleca się rutynowego stosowania plecaków na kółkach ze względu na – uwaga – możliwość potknięcia się o nie. Jeśli uczniowie prowadzą takie plecaki na zatłoczonym korytarzu, rzeczywiście nie jest to zbyt bezpieczne ani praktyczne. Plecak na kółkach to jednak kwestia bardzo indywidualna i trzeba zacząć od tego, by dziecku niczego nie narzucać. Bo jeśli używałoby go jako jedyne w klasie, mogłoby to np. narazić je na żarty ze strony kolegów.

Poza tym jeśli dziecko musi przejść długi odcinek, trzymając jedną ręką rączkę plecaka, to chyba niezbyt zdrowe.

– Ale dzieci są sprytne i mają dwie ręce – nie muszą przecież prowadzić plecaka ciągle tą samą ręką. Wybór między zwykłym tornistrem a takim na kółkach powinien też zależeć od potrzeb komunikacyjnych dziecka. Czasem ten drugi wariant może być niemożliwy do zastosowania, jeśli dziecko musi np. przechodzić zabłoconą ścieżką przez pole. Nie ma tu więc jednoznacznej odpowiedzi – powinniśmy kierować się zdrowym rozsądkiem.

eprasa.pl ce31bfa68a

Jakie są skutki noszenia zbyt ciężkich plecaków? Ktoś może powiedzieć, że starsze pokolenia też je nosiły i „jakoś żyją”.

– Tak, gdy my chodziliśmy do szkoły, nikt nad tym problemem specjalnie się nie pochylał. W piśmiennictwie medycznym zwykle podnoszony jest temat zespołów bólowych kręgosłupa u dzieci i zmian postawy ciała. Jeśli chodzi o plecaki jako czynnik ryzyka, należy o tym rozmawiać tak jak o kardiologii i wpływie palenia papierosów na częstotliwość zawałów – nie jest to ryzyko jednoskładnikowe. I tu można postawić duży znak zapytania, na ile ryzyko jest związane z przeciążeniem plecaka, a na ile ze zbyt długim siedzeniem. Problemem jest bowiem to, że dzieci po kilku godzinach siedzenia w szkole wracają do domu i nadal siedzą – najpierw nad lekcjami, potem na kanapie z nosem w telefonie lub przy biurku przed komputerem.

Czyli brak ruchu.

– Tak, jeśli chodzi o krzywe kręgosłupy, podniósłbym raczej kwestię zbyt małej aktywności ruchowej dzieciaków. Pierwszą sprawą są tu lekcje WF – jak są prowadzone, ile razy w tygodniu i na ile nauczyciel rzeczywiście zdaje sobie sprawę z potrzeb dzieci jako populacji, która w przyszłości może być obciążona zespołami bólowymi kręgosłupa. Drugą – na ile realizowana jest potrzeba pozaszkolnej aktywności ruchowej. W mojej praktyce znacznie częstszym niż ciężkie plecaki powodem zgłaszania się młodzieży z bólami jest nieprawidłowa pozycja przy siedzeniu w trakcie zajęć. Uczniowie są zwykle wychyleni do przodu albo zjeżdżają pod ławkę, nieprawidłowo obciążając kręgosłup. Po czym okazuje się, że po zadbaniu o właściwą postawę czy wymianie krzeseł – do czego szkoły też są bardzo różnie przygotowane – dolegliwości bólowe ustępują. Podstawą, by zmienić sytuację, w której w populacji bardzo często występują zespoły bólowe i przeciążeniowe kręgosłupa, jest zatem promowanie aktywności fizycznej i zdrowego trybu życia u młodzieży.

Czy jeśli dziecko ma nieco zbyt ciężki plecak, ale regularnie uprawia sport, ma dobrze dopasowane krzesło i właściwą pozycję przy biurku lub ławce – i nie zgłasza, że coś je boli, możemy przestać się martwić?

– Jeśli dziecko nie zgłasza dolegliwości i my jako rodzice kontrolujemy w miarę możliwości masę plecaka, powinno być w porządku.

Tylko co, jeśli – tak jak mówiliśmy na początku – nie da się bardziej zredukować masy plecaka, a nadal jest zbyt ciężki?

– Zawsze możemy próbować wywierać nacisk na dyrekcję, powołując się na wspomniane wytyczne MEN z 2016 r., i sugerować rozwiązania, które pozwolą dzieciom zostawiać część książek w szkole. Przyznam jednak, że nie pamiętam w swojej praktyce pacjenta, u którego zespoły bólowe czy wady postawy byłyby wynikiem wyłącznie noszenia ciężkiego plecaka.

Co zatem można doradzić rodzicom?

– Nad dzieckiem, które ma trochę zbyt ciężki plecak, nie ma wad postawy i nie zgłasza, że bolą je plecy, rodzice muszą po prostu czuwać. Nagminne jest, że do ortopedów trafiają nastolatki, które nigdy nie były badane pod tym kątem. Ich pediatrzy nie zadali sobie tego trudu – zwykle z braku czasu i w wyniku skupienia się na innych problemach, takich jak powiększone migdałki czy trądzik. W efekcie dzieci te mają w wieku kilkunastu lat skoliozę II stopnia, która kwalifikuje się do leczenia gorsetem. Dlatego ważne jest, by dziecko jeszcze między 6 a 10 rokiem życia przynajmniej raz pokazać ortopedzie.

W Polsce ten problem jest traktowany po macoszemu również dlatego, że nie mamy osobnej specjalności ortopedia dziecięca. Na skutek tego, niestety, odpowiedzialność za zdrowe kręgosłupy dzieci przenoszona jest na chirurgów dziecięcych. Ja jako ortopeda nie zajmuję się wyrostkiem robaczkowym i nie chciałbym, by człowiek, który zna się przede wszystkim na schorzeniach jamy brzusznej, leczył moje dziecko ze skoliozy. Zwróćmy więc uwagę na to, by w sprawach potencjalnych wad postawy kierować się do ortopedów zajmujących się w swojej praktyce zdrowiem dzieci, nie zaś do chirurgów dziecięcych.

Groźniejsze od ciężkiego plecaka jest to, że dzieci po kilku godzinach siedzenia w szkole wracają do domu i nadal siedzą.

Powodem zgłaszania się młodzieży z bólami kręgosłupa jest nieprawidłowa pozycja przy siedzeniu w trakcie zajęć.

Mamy zatem kilka kwestii do zapamiętania: dbałość o ruch, właściwą postawę przy siedzeniu, możliwie odciążony plecak – oraz przynajmniej jedną wizytę profilaktyczną u ortopedy. Na co jeszcze powinniśmy uważać?

– Dodałbym tu parę słów na temat ruchu – jest niezbędny, ale trzeba zachować umiar. Uczniowie szkół sportowych (czy np. szkółek piłkarskich) mają bardzo obłożony program, jeśli chodzi o ćwiczenia fizyczne, a do tego uprawiają sporty po godzinach – i to już zwykle są profesjonalne treningi.

Tendencja do profesjonalizacji sportu dzieci i młodzieży to problem ostatniej dekady – mamy więc do czynienia z grupą dzieci w wieku od 7 do 15 lat, których organizm jest niesamowicie przeciążony. Są obarczone zwiększonym ryzykiem wystąpienia chorób Osgooda-Schlattera (jałowa martwica guzowatości kości piszczelowej, występuje u dzieci i młodzieży) czy Haglunda-Severa (martwica guza kości piętowej; również jest to choroba typowa dla fazy wzrostu kośćca). Z kolei dzieci trenujące gimnastykę artystyczną i akrobatykę częściej są narażone na występowanie kręgoszczeliny bądź kręgozmyku. Związane z nimi dolegliwości bólowe bywają bagatelizowane przez trenerów i rodziców – ci wychodzą z założenia, że skoro dziecko trenuje cztery razy w tygodniu, to „ma prawo boleć”. Tymczasem jeśli ból utrzymuje się dłużej niż tydzień, wymaga to diagnostyki.

Przede wszystkim trzeba pamiętać, by aktywność fizyczna była dostosowana do możliwości uczniów.

a.brzeska@tygodnikprzeglad.pl

FOT. WWW.FACEBOOK.COM/MACIEJ-OZONEK-ORTOPEDA-DZIECIĘCY

eprasa.pl ce31bfa68a

Andrzej G. Kruszewicz

Wierność i skoki w bok

Prawdziwa monogamia w świecie zwierząt jest bardzo trudna, a wręcz nieopłacalna

Zarówno u zwierząt, jak i ludzi, odwzajemnione i trwałe uczucie to jedno z najcenniejszych dóbr. Może ono łączyć partnerów przez długie lata – jak w przypadku łabędzi, żurawi czy wilków. Monogamia złożona z trzech elementów, czyli wierności seksualnej, społecznego przywiązania do partnera oraz wspólnej opieki rodzicielskiej dotyczy jedynie 5% spośród wszystkich gatunków zwierząt.

Prawdziwa monogamia w świecie zwierząt jest zatem bardzo trudna, można wręcz zaryzykować twierdzenie, że nieopłacalna. Dlaczego więc niektóre zwierzęta całe życie spędzają z jednym tylko partnerem? Wśród ssaków zaledwie ok. 5% gatunków jest monogamicznych. Znacznie lepiej wygląda to u ptaków. Ponad 90% ich gatunków łączy się w pary, które wspólnie wychowują potomstwo. Często jest to co prawda wierność sezonowa, na czas odchowywania piskląt, które przez pierwsze tygodnie wymagają bardzo intensywnej opieki – głównie dostarczania ogromnej ilości pokarmu. A do tego równie dobrze nadają się obydwoje rodzice. (…) Tym, co trzyma ptaki razem jest na pewno fakt, że się dobrze znają i wiedzą, że mogą na siebie liczyć.

Im dłużej partnerzy są razem, tym mniejsza szansa, że się rozstaną. Od wieków symbolem wierności były łabędzie. I choć dzięki badaniom genetycznym wykryto, że czasem samiec łabędzia wychowuje nie swoje dzieci, to generalnie łabędzie pozostają sobie wierne przez całe życie. Poznają się i dobierają w pary, kiedy mają cztery lub pięć lat, i jeśli są ostrożne i dopisuje im szczęście, spędzają ze sobą kolejne 20 lat. Zdarza się, że po śmierci partnera drugi ptak pozostaje do końca sam.

Wierne są sobie również gęsi i żurawie – ptaki, które żyją stosunkowo długo i odbywają dalekie wędrówki. (…) Monogamia ma u ptaków głęboki sens, bo dzięki niej nie tracą one czasu na zdobywanie nowych partnerów i mają go więcej na rozród. A że odbywają wędrówki, czas jest dla nich wyjątkowo cenny.

Spośród ssaków (…) wierności dochowują rownież wilki stojące na czele watahy, czyli grupy rodzinnej. (…)

ŻURAWIE

Zlotowiska żurawi mogą gromadzić setki, a nawet tysiące ptaków. Można tam zaobserwować bardzo interesujące zjawisko. Młode po raz pierwszy poznają inne ptaki. Młode żurawie zaprzyjaźniają się pierwszej jesieni lub pierwszej zimy i trzymają się razem nawet przez siedem lat (w tym wieku samce osiągają dojrzałość). Świat żurawi to świat miłości, wierności, ale przede wszystkim przyjaźni.

Żurawie japońskie, które co roku podczas zalotów tańczą przed swoimi partnerkami, to również ciekawy przykład monogamii wśród ptaków. Samce przybierają skomplikowane pozy i wykonują układy choreograficzne, ale ten wyszukany taniec jest przeznaczony dla pierwotnej wybranki, jakby chciały ją utwierdzić w stałości swoich uczuć.

Wilki dojrzałe płciowo i zdolne do rozrodu nie rozmnażają się, pozostawiając ten przywilej jedynie dominującej parze rodzicielskiej, określanej mianem alfa.

Podobne zwyczaje panują wśród dobrze nam znanych rodzimych żurawi. W okresie godowym wykonują one skomplikowane i głośne trele oraz prezentują układy taneczne. Każda para zazdrośnie broni zajmowanego obszaru przed innymi ptakami. Ptaki te również łączą się w pary na całe życie. W tej sytuacji nie dziwi nas, że w wielu kulturach żuraw uosabia wierność małżeńską, miłość, a nawet żądzę kochanków. (…)

Żyjący w naszym warszawskim ogrodzie zoologicznym żuraw koroniasty również jest monogamiczny. Samce i samice nie szczędzą sobie czułości i nawet poza okresem lęgowym dbają o siebie wzajemnie, np. czyszcząc sobie pióra. Komunikują się za pomocą miękkich, przypominających trąbienie dźwięków. Samica składa zazwyczaj od dwóch do czterech jaj, wysiadywanie ich jest natomiast zadaniem obojga rodziców. Wyklute po miesiącu pisklęta szybko

eprasa.pl ce31bfa68a

osiągają samodzielność – już w drugim dniu życia opuszczają gniazdo i podążają za rodzicami. (…)

ŁABĘDŹ NIEMY

Łabędzie, jak przystało na symbol wiernych kochanków, łączą się w pary na całe życie i przez wiele lat towarzyszą sobie w dobrych i złych chwilach. Samiec jest wierny seksualnie swojej partnerce i społecznie przywiązany do niej. Mimo że tworzą parę już od pewnego czasu, gdy tylko nadejdzie wiosna i słońce zacznie mocniej przygrzewać, zaczynają niejako od nowa zabiegać o swoje względy. W tym czasie towarzyszą sobie na każdym kroku niczym para zakochanych nastolatków, pływając blisko siebie i obejmując się zgrabnie wygiętymi szyjami. Gdy w końcu miłość osiągnie apogeum, samica układa głowę na wodzie i w ten sposób zaprasza samca do zbliżenia. Po niezwykle widowiskowym, okraszonym trzepotem skrzydeł akcie miłosnym, następuje czas stabilizacji.

Samica wybiera w trzcinach, na wysepce lub na płyciźnie spokojne miejsce i nie ruszając się z miejsca, zbiera wkoło siebie fragmenty roślin. W ten sposób powstaje duży stos, na którym składa kilka jaj. Przez miesiąc, gdy ona niestrudzenie siedzi na tym szybko, acz skutecznie zbudowanym gnieździe, samiec zamienia się w strażnika i obrońcę. I tak co roku… Rodzice umiejętnie wprowadzają młode w dorosłość, zapewniając pożywienie, bezpieczeństwo oraz ucząc

Gdy jeden **łabędź** z pary ginie, drugi… umiera z żalu i tęsknoty. A zwykle długo powraca w miejsce, gdzie ostatni raz widział partnera.

je sztuki latania. Gdy zaś jedno z nich ginie, drugie… umiera z żalu i tęsknoty. A zwykle bardzo długo powraca w miejsce, gdzie ostatni raz widziało partnera. Nawet gdy zostało po nim tylko kilka piórek, bo resztę zjadł lis.

Zbiornik retencyjny Mosty to jedno z moich ulubionych miejsc na Polesiu, kiedyś prowadziłem tutaj badania i dobrze znam ten zbiornik. Przeżyłem tam niezwykłą przygodę – widziałem siatki rozłożone przez kłusownika, w które złapała się łabędzica i utonęła. Przepływałem tamtędy codziennie i codziennie przy tej łabędzicy był samiec. On ciągle nie mógł zrozumieć, że stracił partnerkę – choć z samicy pozostała już tylko kupa pierza. Jeżeli szukamy przykładów miłości i uczciwości małżeńskiej, to takim przykładem jest właśnie łabędź niemy. (…)

WILKI

Wilki są gatunkiem ściśle społecznym, tworzącym rodziny spokrewnionych ze sobą osobników. Na ogół żyją w parach, które spędzają razem całe swoje życie (lub aż do śmierci jednego z nich). Wilki są zwierzętami wiernymi i solidarnymi. W grupie reprodukcja ograniczona jest tylko do jednej pary, pozostałe natomiast wspólnie wychowują jej potomstwo i uczą je polować, aby zapewnić rodzinie pożywienie. Takie grupy rodzinne określane są mianem watah lub sfor.

Grupowe życie wilków czyni je bardzo towarzyskimi. Samotne wilki to najczęściej osobniki młode, migrujące w poszukiwaniu nowego terytorium, a czasem chore lub stare, odrzucone przez stado.

Para nie tworzy się nagle. To proces, na który składa się wiele zabiegów i podchodów. Młode samce potrafią odbijać wilczyce innym, niezbyt rozgarniętym samcom. Jednak wilczy plan jest taki, by łączyć się w pary na całe życie. Jeśli samica traci partnera, często nie rozgląda się za nowym kawalerem, lecz przejmuje rolę przywódcy stada (tymczasowo). Najczęściej zostaje we wdowieństwie do końca swoich dni. Najbardziej zaskakujący jest jednak fakt, że osobniki dojrzałe płciowo i zdolne do rozrodu nie rozmnażają się, pozostawiając ten przywilej jedynie dominującej parze rodzicielskiej, określanej mianem alfa. Wilki dojrzewają płciowo mniej więcej w wieku dwóch lat. Mimo to w naturze rozmnażają się zwykle dopiero po osiągnięciu piątego roku życia, i to pod warunkiem że są osobnikami alfa.

Praktycznie każdego roku przez kilka miesięcy poprzedzających ruję trwa ustalanie i utrwalanie hierarchii w watasze. W tym okresie może nastąpić reorganizacja i wyłonienie nowej pary alfa. W okresie godowym samice same wybierają partnerów i nie wahają się o nich walczyć z innymi samicami. Ciąża trwa około dwóch miesięcy. To samica zazwyczaj wybiera miejsce, w którym przyjdą na świat młode. Decyzja ta ma niezwykle poważne znaczenie dla przeżycia szczeniąt. (…)

BOBRY

Liczne badania wykazały, że u niektórych lubianych i podziwianych gatunków monogamicznych powody wierności nie są bynajmniej romantyczne. W rzeczywistości zwierzęta te próbują tylko uniknąć kłopotów ze znalezieniem nowego partnera. Bobry są właśnie takim gatunkiem. Jedną z głównych i najważniejszych czynności w życiu bobrów – oprócz prokreacji – jest budowanie nor, w których spędzają większość czasu. Zamieszkują jamy wykopane w brzegach rzek lub

FOT. PIXABAY /MOONZIGG, PIXABAY /CHRISTELS

eprasa.pl ce31bfa68a

jezior porośniętych wierzbami i topolami, ponieważ kora tych drzew jest ich głównym pożywieniem. W przypadku braku dogodnych miejsc budują kopce z gałęzi i mułu, otoczone wodą, zwane żeremiami.

Dbając o swoje potomstwo, bobry muszą równocześnie pracować od rana do wieczora, aby prąd rzeczny nie zniszczył efektów ich ciężkiej pracy. Czują się bezpiecznie, kiedy wejście do nory czy żeremi znajduje się odpowiednio głęboko pod wodą. Żeby zapobiec ewentualnemu odsłonięciu wejścia do nory, gryzonie te budują tamy, żeby kontrolować poziom wody w miejscu, w którym żyją.

Bobry żyją w rodzinnych stadach liczących nawet do 10 osobników. Wśród nich zazwyczaj jest para dorosłych zwierząt i młode z obecnego miotu oraz z poprzednich miotów (najczęściej nie starsze niż dwuletnie). Odchowane potomstwo odchodzi, kiedy rodzina znów się powiększa, a więc najczęściej w maju i czerwcu. Młode opuszczają rodzinny dom i budują własny, zwykle w odległości nie większej niż 20 km wzdłuż cieku wodnego, nad którym przyszły na świat.

Pora godowa bobrów przypada zwykle na styczeń i luty, jednak ze względu na wszechobecne zmiany klimatyczne może trwać nawet od grudnia do maja. Bobry wówczas wychodzą z żeremi, popiskują, żerują i kopulują – oczywiście w wodzie. Raz w roku, po ciąży trwającej średnio 105 dni, w maju lub czerwcu na świat przychodzą 2-4 młode. Samica rodzi, siedząc na ogonie zwanym kielnią, i przednimi łapkami pomaga maleństwom wydostać się na świat. Noworodki ważą ok. 500 gramów i są dobrze rozwinięte. Mają otwarte oczy, dobrze słyszą, a krągłe ciałka pokrywa gęste, jedwabiste futerko. Ale choć umieją pływać już kilka godzin po narodzinach, nie są w stanie opuścić nory bez wiedzy dorosłych. Małe bobry to bowiem nie pływacy, tak jak ich rodzice, ale raczej małe baloniki – nie dość, że są lekkie, to jeszcze ich długie futerko chwyta pęcherzyki powietrza. Owszem, unoszą się na wodzie, ale o nurkowaniu nie ma mowy.

Jeśli zdarzy się, że jedno z bobrzych rodziców umiera, drugie – z natury praktyczne – nie zostaje długo samotne. Na ogół znajduje sobie partnera. Nie porzuci go jednak. Można więc mieć nadzieję, że ten związek także będzie trwał do końca życia.

W przypadku tego gatunku monogamia i praca zespołowa są ze sobą ściśle związane. To doskonały przykład pragmatycznego podejścia do wspólnego życia. Co więcej, bobrza rodzina prowadzi swoistą politykę regulacji narodzin. Zajmowane przez nią terytorium ma przecież określoną pojemność i wydajność. Bobry uwzględniają te czynniki w swoim „porodowym" kalendarzu. Średnia rodzina bobrów składa się z 4-5 osobników, łącznie z parą rodzicielską. Jeśli zagęszczenie jest zbyt duże, przez jakiś czas nie dochodzi do rozrodu.

Naturo, jak pięknie zaplanowałaś ten gatunek…

PAPUŻKI NIEROZŁĄCZKI

W kontekście wierności absolutnej trudno je pominąć. Zwane są romantycznie *Agapornis* (z gr. *agape* – miłość i *ornis* – ptak). Swoją nazwę zawdzięczają wyjątkowo silnej więzi panującej między partnerami. Samiec i samiczka tworzą trwałe związki monogamiczne i przebywają zawsze razem. W naturze gnieżdżą się w dziuplach drzew, które dostosowują do swoich potrzeb. Większość gatunków tych ptaków nie wije gniazd. Samica składa kilka niewielkich, czysto białych jaj, które wysiaduje około miesiąca. Samiec pomaga jej w tym, ale jego głównym zadaniem jest obrona terytorium. Młode są gniazdownikami. Przebywają w dziupli kilkadziesiąt dni. Rodzice karmią je zwracanym z wola, częściowo strawionym pokarmem.

Wrony siwe, żyjące tuż obok nas, całe życie spędzają w jednym związku. A bywa to długie życie, bo może trwać nawet 70 lat.

Zdarza się, że gdy jedno z papuziej pary umrze, drugie – z tęsknoty – wyskubuje sobie pióra. Dzieje się tak jednak głównie w hodowli. W naturze nie ma czasu na długą depresję. W kolonii lęgowej za dużo się dzieje. Po śmierci partnera papużka może poszukać nowego i stworzyć kolejny związek. Jednak wiele z nich tak boleśnie doświadcza straty partnera, że czasami kończy się to nawet śmiercią.

Nierozłączki są prawdziwymi mistrzami w okazywaniu sobie czułości. Nieustannie się adorują, cmokają i czyszczą sobie nawzajem piórka. Patrząc na woliery z większą liczbą papug, bardzo łatwo można wyróżnić pary, ponieważ te nieustannie się do siebie tulą.

Papużki nierozłączki słabo latają, a loty na dłuższe odległości są w ich przypadku praktycznie niemożliwe. Za to wspaniale wspinają się po gałęziach, pomagając sobie dziobem. Są bardzo towarzyskie i na ogół tworzą bardzo hałaśliwe stada.

WRONY

Rzadko zwracamy na nie uwagę. Wrony siwe, żyjące tuż obok nas, całe życie spędzają w jednym związku. A bywa to długie życie, bo trwać może nawet 70 lat. Wrony łączą się w pary w wieku dwóch lat i potrafią wspólnie przeżyć wszystkie pozostałe lata. I to zgodnie. On popisuje się przed nią powietrznymi saltami i piruetami, a ona, urzeczona jego sprawnością i odwagą, podzieli się z nim znalezionym orzeszkiem. Wcześniej jednak, jako prawdziwa i zaradna gospodyni, zgniata partnerowi skorupkę. Nie ma dziadka do orzechów, więc w warunkach wielkomiejskich posługuje się samochodami. Po prostu rzuca orzeszek pod ich koła. W innych warunkach musi wystarczyć zrzucenie go z góry na twarde podłoże. Więź łącząca parę wron jest bardzo głęboka; okazuje się, że gdy jastrząb zaatakuje jednego z partnerów, drugi, ryzykując życie, próbuje go ratować. A czasem przyłączają się nawet wrony z sąsiedztwa. (…)

Wrona – wierna i zdecydowana uczynić wiele, by zapewnić partnerowi bezpieczeństwo – nie jest ulubioną sąsiadką innych przedstawicieli swojego gatunku. Cechą charakterystyczną wron jest również duża agresja wobec „swoich", przejawiająca się w plądrowaniu gniazd kuzynów. Stadka rozbójników łączących się w zorganizowane grupy są jedną z głównych przyczyn strat wronich rodzin.

Taka to już dwoistość wroniej natury.

Fragmenty książki Andrzeja G. Kruszewicza *Sekretne życie zwierząt*, Rebis, Poznań 2020

eprasa.pl ce31bfa68a

List 50

Władza udaje, że nie rozumie listu 50 ambasadorów w sprawie sytuacji osób LGBT w Polsce.

A list jest napisany wyjątkowo jasno. „Uznajemy przyrodzoną i niezbywalną godność każdej jednostki, zgodnie z treścią Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka – piszą ambasadorowie. – Szacunek dla tych fundamentalnych praw, zawartych w zobowiązaniach OBWE oraz obowiązkach i standardach Rady Europy i Unii Europejskiej, jako wspólnot praw i wartości, zobowiązuje rządy do ochrony wszystkich swoich obywateli przed przemocą i dyskryminacją oraz do zapewnienia im równych szans".

A jeżeli ten prosty komunikat, oznaczający, że zdaniem autorów polski rząd nie chroni osób LGBT przed przemocą i dyskryminacją, nie wystarcza, to jeszcze bardziej lapidarnie napisała o tym na Twitterze ambasador USA Georgette Mosbacher: „Prawa człowieka to nie ideologia – są one uniwersalne. 50 ambasadorów i przedstawicieli się z tym zgadza".

Innymi słowy, pani ambasador Stanów Zjednoczonych, protegowana Donalda Trumpa, która przyzwyczaiła się już, że mówi rządzącym Polską, które przepisy prawa mogą uchwalać, a które nie, co kupować, a czego nie, i jest nad Wisłą słuchana, teraz zabrała głos w sprawie traktowania mniejszości LGBT. Bardzo ciekawe, jak zostanie potraktowana.

Na razie nasi ministrowie udają, że to jakaś pomyłka. Bo przecież, jak mówią, w Polsce są i demokracja, i tolerancja, a wszyscy są równi wobec prawa. Więc o co chodzi? „Te kwestie nie są intensywnie podnoszone w relacjach między korpusem dyplomatycznym a MSZ" – tak mówi o liście szef MSZ Zbigniew Rau. „Podpisanie się pod listem ma raczej charakter pewnego ideologiczno-politycznego eventu" – to z kolei mądrość szefa KPRM, Michała Dworczyka.

Polscy ministrowie zatem sugerują, że ambasadorowie podpisali się pod listem, nie za bardzo wiedząc, pod czym się podpisują, bo taka jest akurat moda. Innymi słowy, sugerują, że ambasadorowie nie wiedzą, co czynią.

Takie sugestie są obraźliwe i dla ambasadorów, i dla państw, które ich do Polski wysłały. Jest oczywiste, że każdy ambasador, zanim złożył podpis pod listem, skonsultował ten krok ze swoją centralą. List jest więc nie tyle „eventem", ile głosem państw, które reprezentują.

Tym państwom: Stanom Zjednoczonym, Francji, Niemcom, Wielkiej Brytanii, Włochom, Czechom, Australii, Japonii, Argentynie itd., nie podoba się zorganizowana akcja wymierzona przeciw osobom LGBT – uchwały gmin przeciwko „ideologii" LGBT, motywy kampanii prezydenckiej Andrzeja Dudy, dyskryminacyjny język polityków PiS. I o tym piszą, wyrażając zaniepokojenie, że Polska ucieka ze strefy państw cywilizacji zachodniej. Współbrzmią z tym słowa przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen: „Strefy wolne od LGBTQ to strefy wolne od ludzkości. Nie mają miejsca w naszej Unii".

W tym kontekście warto zwrócić uwagę na to, kto listu nie podpisał – a są to ambasadorowie Rosji, Białorusi, Węgier, Turcji, Iranu…

Oczywiście list 50 nie wstrząśnie Polską, wiele nie zmieni. Jest tylko sygnałem, w którą stronę nasz kraj zmierza. I że świat ten zwrot widzi. Dobrze mieć tego świadomość.

Attaché

Ucz się, ucz, bo nauka to potęgi klucz. Lekcje w Solapur w indyjskim stanie Maharasztra z powodu koronawirusa są prowadzone na świeżym powietrzu.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl ce31bfa68a

JOLKA

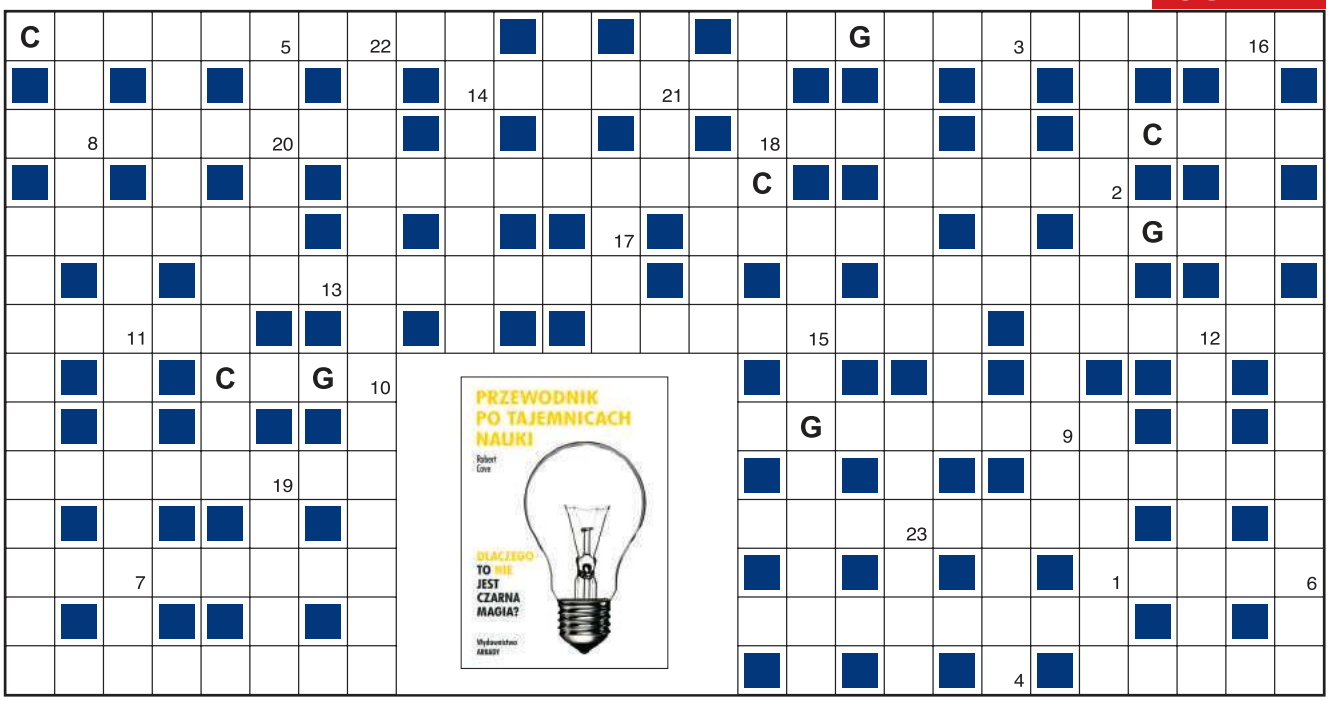

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery C i G ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- bywa czasowo niedostępny
- kapitan „Pequoda”
- ciepłe pantofle domowe
- bajroniczny lub narodowy
- można przeciąć nimi drut
- z szoferką i paką
- format quarto inaczej
- tarcza Zeusa i Ateny
- legendarna kraina, mit z czasu podboju Nowego Świata
- przedmiot będący symbolem pojęcia, idei, czynności
- imię malarki Rosenstein i premier Norwegii
- akcesorium posiadacza smartfonu
- brak mu podstawowych wiadomości
- nie dziewczynka, lecz dopływ Wieprza
- jej królem Odyseusz
- Bach był nim przy kościele św. Tomasza w Lipsku
- stado owiec na wypasie w górach
- duser
- kreatywna – czyni cuda w budżecie
- wytwarza skupioną wiązkę światła
- zdobywca nagrody, zwycięzca
- statek kursujący regularnie na określonej trasie
- z pasami startowymi, drogami kołowania
- horror Kinga z akcją w hotelu Panorama
- łajdak, niegodziwiec
- nazwa, określenie
- ze sfermentowanego klaczy lub oślicy kumys
- niezapominajka
- refleks świetlny
- z Columbus, Cleveland i Cincinnati
- harowanie
- płynna część krwi lub limfy
- niemrawość, ociężałość i apatia
- Maur, dowódca weneckiej armii
- słowa ulatują, ono pozostaje
- miejsce po pożarze
- nie pociąga lenia
- zagrała Cecylię w filmie „Aria dla atlety”
- ministerstwo
- zdobyta talentem, wielkimi czynami
- dziewczyna z indeksem
- można się w nie puścić
- drążek pod kopułą namiotu cyrkowego
- niepoddawanie się przeciwnościom lub surowość
- nie każdy przerośnie mistrza
- posiadanie licznego potomstwa
- otwór wejściowy do kanału
- „Jańcio…” z Franciszkiem Pieczką
- komedia z Dyndalskim i Perełką
- nadnaturalne lub atmosferyczne
- na… mamie odmrozić sobie uszy
- fioletowy dla sędziego, czerwony dla prokuratora

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-981”. Do rozlosowania książki „Przewodnik po tajemnicach nauki” ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 11 października 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-978” z nr. 38: *Kto chce, ten szuka sposobu.*
Nagrody otrzymują: Jerzy Kruk z Wrocławia, Izabela Walaszek z Gliwic, Małgorzata Werens ze Stalowej Woli.

eprasa.pl ce31bfa68a

PENETRACJE

EDWIN BENDYK, PUBLICYSTA, PREZES FUNDACJI BATOREGO

Czy nie lepiej wykorzystać innowacyjność, ów zasób ostateczny, by stworzyć świat wysokiej jakości życia, która nie polega na wzroście, lecz na gospodarce stanu stałego, czyli wykorzystywaniu zasobów, tak by nie naruszać zdolności ekosystemu do regeneracji? Czas uznać, że kapitalizm, jaki znaliśmy, się skończył. Zamiast temu przeczyć, lepiej wykorzystać pozostałe zasoby na dokonanie cywilizacyjnej przebudowy i zamianę „niedobrowolnego de-wzrostu" na proces kontrolowany.

BOŻENA UŚCIŃSKA, PSYCHOLOŻKA

Prawica dobrze wie, że pedofilia jest dziś być może jedynym czynnikiem zdolnym radykalnie naruszyć fundamenty Kościoła. Zmienić jego strukturę i wizerunek. Wystarczy, że i w kraju między Odrą a Bugiem spełni się scenariusz z Chile. Jeśli papież Franciszek, zniecierpliwiony opieszałością hierarchów w rozliczaniu pedofilii, zdecyduje się odwołać cały Episkopat, nikt z polskich władz państwowych nie będzie mógł go przed tym powstrzymać. Wyborcy PiS zdają się ciągle jeszcze ślepi i głusi na grzechy polskiego kleru. Liczebność zwolenników PiS może jednak zasadniczo wkrótce się zmienić. Przebudziła się bowiem silnie zlaicyzowana polska młodzież – dobrze widząca i bardzo surowo oceniająca postępowanie rządzących – również w sprawie pedofilii w Kościele katolickim.

PROF. TOMASZ MARUSZEWSKI, PSYCHOLOG

Gdy czyjeś kłamstwo zostanie ujawnione, wtedy jego autor ma w zanadrzu cały repertuar wyjaśnień. Najpowszechniejsze polega na tym, że zarzuca się osobie ujawniającej to, że wyrwała wypowiedź z kontekstu. Łagodniejszą wersją jest stwierdzenie, że wypowiedź została źle zrozumiana. Natychmiast pojawiają się egzegeci, którzy wyjaśniają, co kłamca naprawdę miał na myśli. Inny sposób polega na atakowaniu osoby ujawniającej kłamstwo – przypisuje się jej nieczyste intencje. Repertuar takich zachowań jest znacznie szerszy.

KAZIK STASZEWSKI, MUZYK

Myślę, że cały czas jestem niezależny. Od lat wydaję płyty w wytwórni, w której nikt mi niczego nie może kazać. To komfortowa sytuacja. W tej branży, jak pewnie wszędzie, jest mnóstwo ludzi, którzy wykorzystują artystów. A ja jestem od tego wolny. Niczego nie muszę. Tak się chwalę tym, że nikt mi nic nie może kazać, ale te nieustanne pytania „Co robić?" – ze strony menedżera, zespołu, wytwórni płytowej – też bywają męczące. Zwracają się do mnie z każdą głupotą. Może dlatego, że jak sami coś zrobią, często tego nie akceptuję.

Pies Buddy ćwiczy stoicki spokój. A jego właścicielka, Jacqueline Funken z Niemiec, refleks w robieniu zdjęć.

FOT. MEDIADRUMWORLD.COM/@MR.BESTBUDDY/MEDIA DRUM/EAST NEWS

Aby język giętki…

WADIM TYSZKIEWICZ O TVP

Jeśli ktoś to ogląda codziennie, to jego mózg jest wyprany dokumentnie.

KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ O ŻARTACH Z PRAWICY

Dostarcza żartów praktycznie codziennie, bo ma polityków wyrazistych, a jednocześnie głupich.

PROF. MARCIN KRÓL O ELITACH

Po 1989 r. przestały w Polsce istnieć albo przestały mieć znaczenie elity artystyczne, intelektualne i duchowe.

SZCZEPAN TWARDOCH O UCHODŹCACH

Lewica broniła uchodźców, prawica atakowała uchodźców, tymczasem uchodźcy się tu jakoś nie garnęli, bo kto by, kurwa, chciał do Polski.

DANIEL PASSENT O „POLITYCE"

Nikt tu nie jest spadochroniarzem. Nowi nie wyrzucali starych, starzy robili miejsce młodym.

JAN ENGLERT DO BEATY ŚCIBAKÓWNY

Kiedy córka wyjechała do Nowego Jorku, powiedział do żony: „No i zostaliśmy jak ta para starców z psem".

NATALIA KUKULSKA O HEJCIE

Od zawsze jestem nazywana Żydówką, co nie jest prawdą, choć nie miałabym nic przeciwko. Moja mama i ja wciąż jesteśmy Żydówkami, to jest w komentarzach pod każdym tekstem.

HANNA BANASZAK O PIOSENKACH MŁYNARSKIEGO I PRZYBORY

Pisali dla mnie słowa, według których miałam być dziewczyną zalotną, apetyczną i uwodzącą mężczyzn.

DOROTA WELLMAN O MARCINIE PROKOPIE

Mógłby być moim synem, gdybym prowadziła rozwiązłe życie we wczesnej młodości. Nigdy nie daliśmy się podzielić, a wiele razy już próbowano.

eprasa.pl ce31bfa68a

Bycie niechlujem sporo kosztuje

Luksusowa marka Gucci wytrwale lansuje wyglądające na brudne odzież i obuwie. W zeszłym roku włoski dom mody wprowadził na rynek takież trampki, które kosztują równowartość 3,5 tys. zł, a elementem jego najnowszej, jesienno-zimowej kolekcji są dżinsy z „efektem plam". Posiadaczem ogrodniczek wyglądających, jakby były ubrudzone trawą, można zostać za niespełna 5 tys. zł, a podobne proste dżinsy kosztują tyle co trampki. „Gucci odkrywa nowe podejście do kultowej tkaniny, reinterpretując ją z wykorzystaniem różnych wzorów i technik prania, które zacierają granicę między *vintage* a współczesnością". Mamy nadzieję, że w kolejnych latach kreatorzy mody nie zaczną reinterpretować bielizny.

Wystawa, że głowa mała

W ramach walki z rasistowskimi stereotypami brytyjskie Pitt Rivers Museum usunęło z wystawy „Traktowanie zmarłych wrogów" *tsantsas*, czyli ludzkie głowy pomniejszone do rozmiaru pomarańczy. Do końca XIX w. wykonywały je plemiona Shuar i Achuar, zamieszkujące lasy deszczowe Ekwadoru i Peru. Należąca do Uniwersytetu Oksfordzkiego placówka przeprowadziła wśród odwiedzających ankietę i okazało się, że wiele osób postrzega kultury, które w taki sposób postępują z ludzkimi szczątkami, jako „dzikie", „prymitywne" lub „okropne". Starszyzna Shuar oświadczyła, że przodkowie przekazali kiedyś badaczom eksponaty, nie zdając sobie sprawy z możliwych konsekwencji wizerunkowych.

Po ile ulgowy do szczęścia?

Tymczasem w Kopenhadze podwoje otworzyło Muzeum Szczęścia. Za przedsięwzięciem stoi Instytut Badań nad Szczęściem, szerzej znany z corocznej publikacji raportu na temat poczucia dobrostanu w poszczególnych społeczeństwach. W placówce znajduje się m.in. sala historyczna, w której przedstawiono zmiany rozumienia szczęścia w ciągu wieków, oraz laboratorium, gdzie można poznać neurobiologiczne podstawy błogostanu. Muzeum angażuje odwiedzających także na poziomie osobistym, zmuszając ich do refleksji nad własnym życiem. – Mamy nadzieję, że goście wyjdą trochę mądrzejsi, szczęśliwsi i bardziej zmotywowani, by uczynić świat lepszym miejscem – deklarują animatorzy inicjatywy.

MEMY BEZ ŚCIEMY

Mały wielki gryzoń

Wielkoszczur gambijski o imieniu Magawa został uhonorowany medalem za męstwo w uznaniu zasług w ratowaniu ludzkiego życia. Siedmioletni bohater pełni służbę w Kambodży, gdzie posługując się węchem, wykrył już 39 min lądowych oraz 28 innych niewybuchów. Magawa, który stawia się w pracy każdego poranka, to jeden z podopiecznych belgijskiej organizacji pozarządowej APOPO, która szkoli wielkoszczury na saperów oraz analityków medycznych (badają ludzkie plwociny pod kątem gruźlicy). Jest pierwszym przedstawicielem swojego gatunku, któremu brytyjska charytatywna organizacja weterynaryjna PDSA przyznała prestiżowe odznaczenie. Szkoda, że nie widzieliśmy jego miny!

eprasa.pl ce31bfa68a

Duże, piękne i pomarańczowe. Dumni hodowcy warzyw z Polski i Holandii.

Zjeść kurę i mieć kurę

Amerykański *start-up* pracuje nad bezmięsnym mięsem dla zwierząt domowych. W laboratorium firmy udało się skłonić drożdże, by zaczęły produkować białko identyczne z kurzym. – Wyniki wstępnych testów z udziałem psich ochotników są bardzo obiecujące, a wartości odżywcze naszego produktu, jego smak i strawność tylko poprawią się na drodze do komercjalizacji. Nasz zespół naukowy pracuje ponadto nad produkcją innych białek mięsnych – poinformowała Pernilla Audibert, współzałożycielka Bond Pet Foods. Innowacyjna karma ma trafić na rynek w 2023 r. To będzie drobny krok dla człowieka, ale dla drobiu – ogromny.

Wolniej znaczy lepiej?

Tych, którzy chcą zwolnić tempo życia i z większą uwagą celebrować więzi międzyludzkie, może zainteresować Slowly, czyli smartfonowa aplikacja do pisania wirtualnych listów. W odróżnieniu od portali społecznościowych nie ma tu autopromocji, zdjęć czy długich opisów. Użytkownicy tworzą uproszczonego rysunkowego awatara, zaznaczają tematy, które ich interesują – i już mogą poznawać korespondencyjnych przyjaciół. Co istotne, list wysłany do wybranej osoby z dowolnego miejsca na świecie dociera do niej w takim samym czasie, jakiego poczta potrzebuje na dostarczenie papierowej korespondencji.

FOT. PACZAIZM.PL (2), WWW.FACEBOOK.COM/OGLADAMWIADOMOSCI, MARIUSZ KAPAŁA/GAZETA LUBUSKA/POLSKA PRESS/EAST NEWS, REX FEATURES/EAST NEWS

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporterz: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Katarzyna Chilecka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD CONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl ce31bfa68a

Dream State Jan Szczepkowski

W najnowszym cyklu wielkoformatowych płócien Jan Szczepkowski ukazuje poczet zagadkowych postaci, trwających bez ruchu w tajemniczym i sennym uniwersum, nad którym czas wydaje się nie mieć żadnej władzy. Artysta wykorzystuje charakterystyczny motyw kotary ukrywającej rysy portretowanych osób, dokonuje twórczej reinterpretacji europejskiego malarstwa pejzażowego XVIII i XIX w., osadza też w nowych kontekstach cytaty z kultury wizualnej pierwszej połowy XX w. Powstaje dzięki temu poetycka wizja świata, którego mieszkańcy, zaskakująco zdystansowani, intrygują widza i sprawiają, że obraz staje się kuszącą, być może niemożliwą do rozwiązania łamigłówką.

Galeria r_z / ORz ZPAP
Rzeszów, ul. Trzeciego Maja 16
do 19 października

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ce31bfa68a

GOMBROWICZ

TEATR POWSZECHNY
im. Jana Kochanowskiego www.teatr.radom.pl

14. MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL GOMBROWICZOWSKI
10-17 / 10 / 2020

9.10 / piątek

godz. 19.00 / duża scena

ZDZISŁAW PIERNIK/JERZY MĄCZYŃSKI – JERRY & THE PELICAN SYSTEM

Koncert / impreza towarzysząca

10.10 / sobota / PREMIERA

godz. 17.00 / scena kameralna

Teatr Powszechny im. Jana Kochanowskiego w Radomiu

PORNOGRAFIA

reżyseria: Jan Hussakowski

Uroczysta inauguracja XIV Międzynarodowego Festiwalu Gombrowiczowskiego

godz. 20.00 / duża scena

Fundacja Republika Marzeń, Warszawa

BIESIADA U HRABINY KOTŁUBAJ

reżyseria: Magdalena Piekorz

Otwarcie wystaw towarzyszących XIV MFG

11.10 / niedziela

godz. 16.00 / scena kameralna

Living Space Theatre

FERDYDURKE

reżyseria: Jakub Margosiak

godz. 19.00 / duża scana

Teatr Bagatela, Kraków

DIALOGI POLSKIE

reżyseria: Mikołaj Grabowski

12.10 / poniedziałek

godz. 17.00 / scena kotłownia

Teatr Resursa, Radom

POKÓJ JAKUBA

reżyseria: Robert Stępniewski

Impreza towarzysząca

godz. 18.00 / duża scena

Teatr im. Ludwika Solskiego, Tarnów

TRANS-ATLANTICO

reżyseria: Tomasz Gawron

13.10 / wtorek

godz. 18.00 / scena kameralna

Teatr Miejski im. Witolda Gombrowicza, Gdynia

BANKIET

reżyseria: Tadeusz Bradecki

14.10 / środa

godz 18.00 / duża scena

Teatr im. Wandy Siemaszkowej, Rzeszów

IWONA, KSIĘŻNICZKA BURGUNDA

reżyseria: Waldemar Śmigasiewicz

15.10 / czwartek

godz. 17.00 / scena kameralna

Akademia Sztuk Teatralnych im. Stanisława Wyspiańskiego, filia we Wrocławiu

IWONA, KSIĘŻNICZKA BURGUNDA

reżyseria: Radosław Rychcik

godz. 19.00 / duża scena

Teatr im. Stefana Jaracza, Olsztyn

OPĘTANI

reżyseria: Igor Gorzkowski

16.10 / piątek

godz. 17.00 / scena kameralna

Teatr Powszechny im. Jana Kochanowskiego, Radom

TANCERZ

reżyseria: Kinga Dębska

goodz. 19.00 / duża scena

Teatr Zagłębia, Sosnowiec

ŚLUB

reżyseria: Radosław Rychcik

17.10 / sobota

godz. 17.00 / duża scena

Teatr Maladype, Węgry

YVONNE

reżyseria: Zoltán Balázs

godz. 20.00 / scena kameralna

TRIPLE FISH

Belgia, koncert inspirowany twórczością Witolda Gombrowicza

Ogłoszenie werdyktu jury i zakończenie Festiwalu

Sfinansowano ze środków Urzędu Miejskiego w Radomiu oraz Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Przedsięwzięcie współfinansowane ze środków Samorządu Województwa Mazowieckiego

ORGANIZATORZY FESTIWALU:

radom siła w precyzji

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Projekt współfinansowany ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z funduszu promocji kultury

MECENAT:

Mazowsze. serce Polski

Węgierski Instytut Kultury Warszawa

Węgierski-Polski program współpracy przekładowej

ZAiKS

PATRONAT MEDIALNY:

TVP3 Warszawa, TVP Kultura, Zebrra.tv, wyborcza.pl Radom, teatralny, Polskie Radio RDC, Radio Radom, Plus radio 90,7 FM, Echo Dnia, eska, Teatr, Dziennik Teatralny, Przegląd, 100 lat Rzeczpospolita, rekord, dami, co za dzień.pl, 7 DNI, RADOMLED.PL

PARTNER GŁÓWNY:

Muzeum Wojska Wielkopolskiego

PARTNERZY:

Radom Arte, SDT Stowarzyszenie Dyrektorów Teatrów, Lizbon & Wielec Catering, Ośrodek Kultury i Sztuki "Resursa Obywatelska" w Radomiu, Ster Sp. z o.o., Nissan, American Corner Radom

TEATR POWSZECHNY im. Jana Kochanowskiego www.teatr.radom.pl

Plac Jagielloński 15, 26-600 Radom www.teatr.radom.pl

Kasa biletowa:
wt.- pt. w godz. 9.00-13.00 i 16.00-19.00
sb.- ndz. w godz. 16.00-19.00

Przedsprzedaż biletów:
tel: 48 386 52 67, sms: 604 56 64 06
e-mail: bilety@teatr.radom.pl

Teatr wyposażony jest w sprzęt dla słabosłyszących zakupiony ze środków PFRON.

Teatr Powszechny im. Jana Kochanowskiego jest instytucją artystyczną Miasta Radomia

MegaBilet

Teatr Powszechny im. J. Kochanowskiego w Radomiu

teatr.radom

eprasa.pl ce31bfa68a

ORGANIZATORZY:

Instytucja Samorządu Województwa Mazowieckiego

Mazowsze. serce Polski

MAZOWIECKI TEATR MUZYCZNY IM. JANA KIEPURY

PATRONI MEDIALNI:

RADIO 103FM kolor!

Przegląd

BILETY NA: WWW.MTEATR.PL

tel: 22 243 54 84

eprasa.pl ce31bfa68a